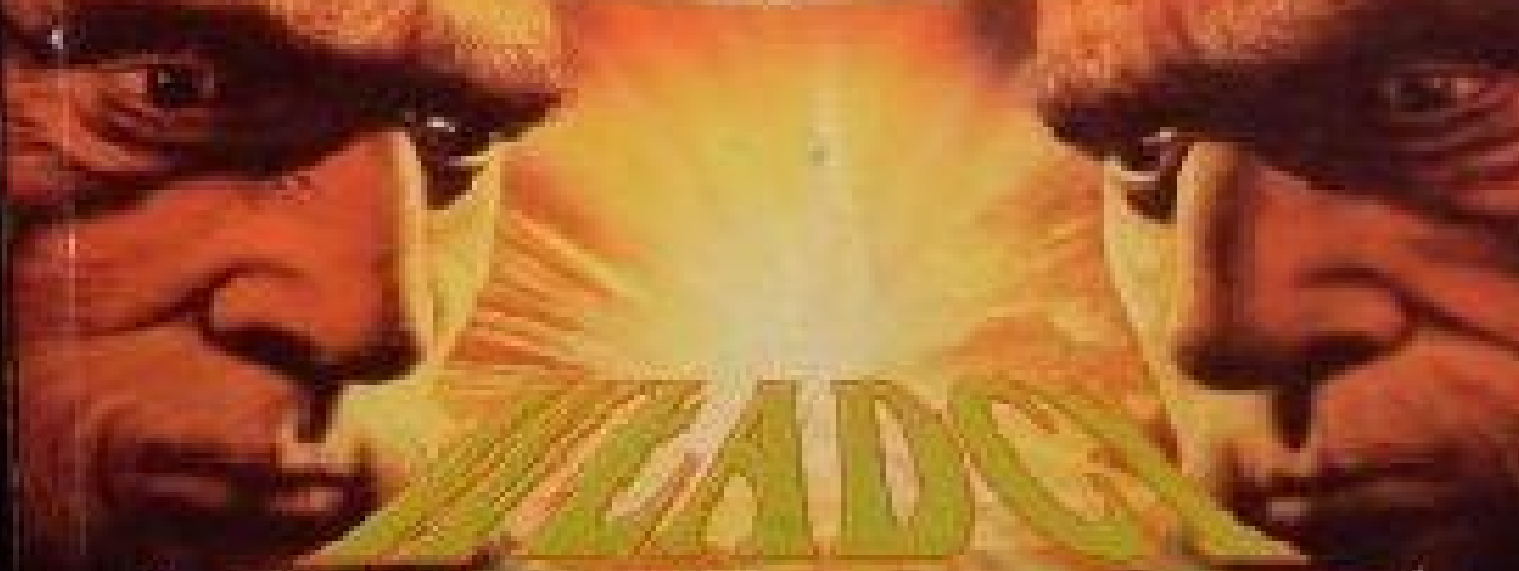


MISTRZOWIE ŚWIATA

HERBANK HERBER



NERBIOS

Frank Herbert

Władcy niebios

Tytuł oryginału THE HEAVEN MAKERS
Autor ilustracji STEVE CRISP

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Epilog](#)

Rozdział pierwszy

Pełen najrozmaitszych przeczuć, potwornie spięty badacz Kelexel dotarł na dno morza, do kreocentrum. Minął barierę, przypominającą w tym mdłym mętnozielonym świetle ogromną stonogę, i skierował znów pojazd na długą, szarą platformę do lądowania.

Wszędzie wokół wrzał ożywiony ruch. Połyskujące żółte płyty i kule łodzi roboczych przybywały i odpływały bez przerwy. Tam, nad oceanem, wstał już dzień, a tutaj, w centrali dowodzenia dyrektor Fraffin tworzył historię.

Być tutaj – pomyślał Kelexel. – Być w świecie Fraffina...

Wydawało mu się, że dysponuje swego rodzaju intymną wiedzą o tym świecie, wszak spędził tyle godzin przed pantovivorem, wpatrując się w historyjki Fraffina. Dla niego te odwiedziny były tylko jednym z etapów przygotowawczych studium, nad którym pracował, niczym więcej. Lecz. iluż Chemów chętnie stanęłoby na jego miejscu, krzycząc wniebogłosy z radości.

Ten poranek na powierzchni morza: rozdarte niebo, ławice chmur na szarobłękitnym, lekko połączanym nieboskłonie, i inne poranki, na zawsze utrwalone przez fotografów z grup roboczych. I ci tubylcy!

W uszach brzmiał mu jeszcze pomruk kapłanki, skłaniającej się przed Chemem, pozującym na bóstwo. Jak delikatne i powabne były te kobiety, jak powabne w pocałunkach!

Lecz owe czary istniały w tej chwili jedynie na taśmach filmowych, skrzętnie poukładanych na półkach archiwum Fraffina. Stworzenia owego świata już dawno wkroczyły na inną, choć nie mniej podniecającą niż poprzednia, drogę rozwoju.

Wspominając historyjki Fraffina uświadomił sobie swe obecne rozdarcie.

Nie stanę się słaby – postanowił.

Mimo całego panującego na lądowisku bałaganu, nadzór od razu zauważył nowo przybyłego. Natychmiast tuż przy łodzi opuścił się robot. Kelexel skłonił się przed jego jednym okiem i oznajmił:

– Jestem tu w odwiedziny. Nazywam się Kelexel.

Nie musiał dodawać, że jest bogaty – jego ubranie oraz wygląd pojazdu, którym przybył, wystarczały za cały komentarz. Szablowate, wygięte kształty zielonej łodzi zawsze wzbudzały najwyższy podziw i respekt dla godności jej właściciela. Jednocześnie ten, kto go obserwował, nie mógł pominąć milczeniem brązowookiego młodzieńca o szerokiej twarzy i srebrzystej cerze.

Pojazd, który odstawił na pas postojowy do inspekcji ekipy konserwatorów, był statkiem kurierskim, mogącym dotrzeć do każdego miejsca we wszechświecie Chemów. Na tego rodzaju maszyny stać było jedynie najzamożniejszych przedsiębiorców oraz bezpośrednich służących Prymasa. Nawet Fraffin nie posiadał czegoś podobnego.

Kelexel, turysta. Pod tą osłoną czuł się najbezpieczniej. Urząd do Zwalczenia Przestępczości z wielką przecznością przygotował jego wyprawę.

– Witamy, turysto Kelexel! – zawołał kontroler. Robot wzmocnił jego głos, by zdołał przekrzyczeć panującą

wokół wrzawę. – Zajmij rampę po prawej stronie. Nasz delegat już czeka, by cię powitać. Oby twój pobyt tutaj złagodził nieco nudę.

– Przyjmij mą wdzięczność – rzekł przybysz.

Rytuał... wszystko to tylko rytuał... – pomyślał. – Nawet tutaj. Włożył swe krzywe nogi w klamry i rampa transportowa zniosła go na platformę. Minęli czerwony luk, później pomknęli niebieskim tunelem, kierując się ku pomieszczeniu, gdzie na włączonych światłach sygnalizacyjnych i

ze zwisającymi kablami oczekiwało łoże delegata.

Kelexel zmierzył wzrokiem automatyczne czujniki; wiedział, że są bezpośrednio połączone z rejestrem osobowym Centrali. Jego kamuflaż zostanie poddany pierwszej ogniowej próbie.

Nie obawiał się o własną całość. Pod skórą miał pancerz, który wszystkich Chemów chronił przed zewnętrznymi niebezpieczeństwami. Poza tym było mało prawdopodobne, aby ktoś próbował stosować wobec niego prymitywne środki przymusu bezpośredniego.

Musiał się jednak liczyć z usiłowaniami storpedowania jego misji za pomocą bardziej subtelnych metod. Przed nim było tu już czterech badaczy. Wrócili z meldunkiem "żadnych przestępstw". A przecież wszystko wskazywało na to, iż w prywatnym królestwie Fraffina coś nie gra.

Wysoce niepokojący był fakt, że wszyscy czterej po powrocie zwolnili się ze służby, aby na zewnątrz, na obszarze granicznym założyć własne kreocentrum.

Jestem gotów, delegacie – pomyślał.

Wiedział, że podejrzenia Prymasa nie były bezpodstawne. Jego wy-trenowane zmysły i umysł zanotowały znacznie więcej, niż wymagało postawienie go w stan pełnej czujności. Oczekiwał tu objawów dekadencji; kreocentra jako posterunki zewnętrzne, z reguły miały takie tendencje. Jednak nie tylko to budziło jego ostrożność. Dysponował także innymi symptomami, i to w nadmiarze. Niektórzy

członkowie załóg zachowywali się z dużą rozwagą, przybierając wyraz twarzy, który dla oka doświadczonego policjanta zawsze stanowił sygnał ostrzegawczy. W dodatku nawet marni rękodzielnicy ubierali się z niedbałą elegancją, czego nigdzie jeszcze nie widział. Wydawało się jak gdyby panowało tu coś w rodzaju sekretnego porozumienia, którego powody jeszcze nie były mu znane.

Zaglądał tu do licznych pojazdów. Wszędzie widział urządzenia do kamuflażu wypucowane do zwierciadlanego połysku przez liczną obsługę. Stworzenia z tego świata dawno wyszły już poza owo stadium rozwoju, kiedy to Chem mógł im się pokazywać, nie zastanawiając się nad konsekwencjami tego czynu. Kierowała nimi jednak chęć zaspokojenia przyjemności, chęć złagodzenia wszechpotężnej nudy, a przecież kierowanie i manipulowanie inteligentnymi istotami było czymś w tym rodzaju. Z drugiej strony owa pobudzona świadomość mogła pewnego dnia usamodzielnic się i obrócić przeciwko Chemom.

Bez względu na to, jak wielka była chwała Fraffina, jedno było pewne – w którymś momencie wszedł na fałszywą ścieżkę. Przynajmniej to pozostawało oczywiste. Prostoduszna głupota jego postępowania napawała Kele-xela goryczą, którą zupełnie realnie czuł w ustach. Żaden przestępca nie mógł ujść śledztwa Prymasa; w każdym razie nie mógł być pewny swej bezkarności po wsze czasy.

Tutaj jednak trzeba zachować rozwagę. Było to bowiem kreocentrum Fraffina, a on był tym, który wprowadził nieco odmiany w monotonne życie nieśmiertelnych, lecz śmiertelnie znudzonych Chemów. Jego niezliczone historyjki zaprowadziły ich w całkiem nowe, fascynujące światy.

Czuł teraz, jak owe opowieści powracają w postaci wspomnień. Niewiarygodne, jak te stwory Fraffina potrafiły zniewolić wyobraźnię. Po części można to wytłumaczyć ich podobieństwem do Chemów – pomyślał Kelexel. Tak, zmuszały, by identyfikować się z ich snami i uczuciami.

Pamięć wypełniła jego umysł dźwiękami dzwonów, świstem napiętych cięciw, krzykiem, jazgotem, bitewną wrzawą, unoszącą się ze skrwawionych pól. Przypomniawszy sobie piękną niewolnicę z jej małym dzieckiem, za czasów Kambyzesa wypędzoną do Babilonu.

"Ofiara łuku" – tak brzmiał tytuł tej historyjki, przypomniał sobie Kelexel. Uważał, że jest to

jedno z największych osiągnięć sztuki Fraffima. Choć rzecz dotyczyła losu zwykłej kobiety, kreator uczynił z tego coś, czego nie sposób zapomnieć. Została ofiarowana Nin-Girsu, bogowi handlu i bóstwu opiekuńczemu wszystkich, którzy szukają sprawiedliwości. W rzeczywistości odezwał się tu głos jednego z manipulatorów Chemów, pozostającego na służbie u Fraffima.

Były tu imiona, postacie i wydarzenia, o których Chemowie nigdy by się nie dowiedzieli, gdyby zabrakło Fraffima. Ten świat, jego królestwo, był nieustannie bijącym źródłem historyjek. W uniwersum Chemów Fraffim stał się sławą pierwszej wielkości, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Zrzucenie z piedestału takiej osobistości nie było proste, wiedziano też, że nie będzie to popularne posunięcie, lecz Kelexel wiedział, że nie da się tego uniknąć.

Muszę cię zniszczyć – myślał, gdy podłączał się do mechanizmu delegata witającego. Bez specjalnego podniecenia spojrzął na urządzenia, które miały go sprawdzić i przejrzeć. Była to w końcu zupełnie normalna procedura, część składowa wielkiego systemu bezpieczeństwa, którego użyteczności nie negował żaden nieśmiertelny Chem. Dla zwykłego Chema nie stanowiło to żadnego zagrożenia; mogli się tego obawiać jedynie zjednoczeni współbracia oraz ci spośród nich, którzy stowarzyszyli się pod sztandarami jakichś błędnych idei.

Fałszywe założenia, fanatyczne plany, próby nielegalnego wzbogacenia się, chwytły poniżej pasa – to wszystko ciągle było możliwe. Z kolei Fraffim chciał mieć całkowitą

pewność, iż zwiedzający nie jest szpiegiem któregoś z konkurentów, bowiem mogłoby to narazić go na niemałe straty.

Jak niewiele w gruncie rzeczy wiesz o tym wszystkim – myślał Kelexel, poddając się badaniu. – Wystarczy mi tylko pamięć i zmysły, by cię zgubić.

Później zaczął się zastanawiać, na co przede wszystkim należałoby zwrócić szczególną uwagę, by wykryć ślady zbrodniczej aktywności Fraffina. Czy jego gospodarz hoduje swą trzodę także w egzemplarzach zminiaturyzowanych, aby sprzedawać potem to wszystko pod szyldem zwierząt domowych? Czy jego ludzie spoufalali się z tymi, którzy byli obiektami ich interesów? A może tym stworzeniom przekazywano potajemnie jakieś informacje? W końcu ciągle posiadają rakiety i satelity. Czy to możliwe, aby przejęli jakąś nie zameldowaną, groźną inteligencję, wyposażoną w niemały zapas czynników odpornościowych, zdolną sięgnąć w głąb Uniwersum i zmierzyć się z Chemami?

Coś w tym musi być – pomyślał. Wszędzie napotykał mnóstwo oznak, świadczących o tajonej świadomości winy oraz o konspiracji. Kto miał oczy, nie musiał długo wypatrywać, by móc to zobaczyć. Tylko czemu Fraffim ważył się na to głupie posunięcie? – zapytywał się w duchu. Zbrodniarz!

Rozdział drugi

Meldunek delegata powitalnego dotarł do Fraffina w momencie, gdy siedział przy swoim pantovivorze, kon-cypując ostatnie kadry historyjki, nad którą pracował.

Wojna... miła mała wojenka – rozmyślał. To dziwne, z jakimż zapałem te stworzenia oddają się wojaczce. Wojna wydawała się zaspokajać zakorzenione w nich potrzeby. A dla publiczności Chemów było to coraz bardziej fascynujące. Rozświetlone łuną pożarów noce, odgłosy śmiertelnej walki tych istot, postękiwania umierających. Jeden z ich przywódców przypominał mu Katona. Ten sam zamyślony wyraz twarzy, to samo wiecznie zwrócone ku wewnątrz spojrzenie stoika. A co do Katona, to była jedna z bardziej udanych historyjek.

Lecz trójwymiarowy obraz pantovivora wyblakł i znikł, ustępując pierwszeństwa aktualnościom, które chciała mu przekazać Ynvic; jej twarz patrzyła nań teraz z ekranu. Łysa czaszka odbijała smugi ostrego światła, brwi były podciągnięte ku górze. Spod ciężkich powiek spoglądała nań badawczym, przenikliwym spojrzeniem.

– Właśnie przybył turysta imieniem Kelexel... – obwieściła.

Spoglądając na tę twarz Fraffin pomyślał, że z pewnością przydałoby się jej odmłodzenie.

– Ten Kelexel jest najprawdopodobniej osobą, której się spodziewamy – dodała.

Fraffin drgnął i wyprostował się – w ustach zmełł niezwykle popularne w czasach Hannibala przekleństwo.

– Niech Baal wypali jego nasienie! Jesteś tego pewna?

– Zbyt doskonały jak na turystę – rzekła Ynvic. – Tylko Biuro umie tak perfekcyjnie pracować.

Fraffin wyciągnął się w fotelu i zamyślił się. Ynvic prawdopodobnie miała rację; inspekcji należało się spodziewać właśnie teraz. Na zewnątrz, w uniwersum na ogół nie mieli właściwego poczucia czasu. Dla nieśmiertelnych lata mijały z zastraszającą szybkością, lecz w obejściu z tymi stworzeniami liczyła się regularność. Tak, prawdopodobnie to on był oczekiwanym badaczem.

Rozejrzał się. Srebrne ściany przypominały mu, że znajduje się w swym atelier, służącym jednocześnie jako salon. Długie, niskie pomieszczenie było zastawione wszelkiego rodzaju maszyną, pomocniczą w tworzeniu coraz to nowych kreacji. Na ogół Ynvic nie miała śmiałości przeszkadzać mu w pracy i nie robiła tego z powodu byle głupstwa. Najwidoczniej ten Kelexel naprawdę ją zaalarmował. Westchnął.

Choć kreocentrum zostało ukryte na dnie oceanu, a dostępu strzegły najrozmaitsze bariery ochronne, wydawało mu się, że jest w stanie śledzić bieg Słońca i Księżyca, pewne konfiguracje ciał niebieskich zaś napełniały go przecuciem grożącego nieszczęścia. Z tyłu, na biurku leżał raport Lutta – głównego specjalisty od kwestii technicznych. Lutt donosił, że ekipa zdjęciowa, składająca się z trzech młodych wielce obiecujących ludzi, wybrała się na zewnątrz bez jakiegokolwiek osłony. Łatwo mogli spostrzec ich tubylcy i wywołałoby to całą lawinę ożywionych spekulacji.

Tego rodzaju dowcipy z rodowitą ludnością z powierzchni były starym, ulubionym sposobem zabijania czasu Chemów pracujących w Kreocentrum. Ale wszystkie te praktyki stanowiły już nieomal prehistorię. Odkąd zostały surowo zabronione, nie miał podobnych kłopotów. Dlaczego więc właśnie w tej chwili przypominano sobie owe sztubackie figle?

– Rzucimy temu Kelexelowi smaczny kąsek – odezwał się po chwili. – Zarządzam natychmiastowe zwolnienie tych trzech osiłków, którzy wystraszyli tubylców. Proszę też ostrzec asystenta, który wysłał ich na zewnątrz, nie zapoznawszy się wprzód, z kim ma do czynienia.

– Mogą puścić parę... – zawahała się Invic.

– Nie ośmiela się – odparł. – Wyjaśnisz im powody i powiesz, że tylko w drodze łaski ukarałem ich w ten sposób. To oczywiście skandal, ponieważ nie mogę się bez nich obyć, ale...

Wzruszył ramionami.

– Czy to już wszystko, co zamierzasz zrobić?

Fraffin przetarł oczy. Wiedział, co ma na myśli Ynvic, ale niechętnie godził się odstępować od planów, których realizację już rozpoczął. Gdyby w tej chwili wycofał swych manipulatorów, straciłby całą tak starannie przygotowaną produkcję, tubylcy zaś mogliby rzucić karty na stół i podczas konferencji zacząć rozstrząsać swe dylematy. Ostatnio z coraz większą wyrazistością zaczęła się ujawniać ta tendencja.

Ponownie pomyślał o problemach, oczekujących go na biurku. Było memorandum Albika, jednego z podreżyserów. Jak zwykle, skarga: "Jeśli jednocześnie mam robić tak wiele rzeczy, potrzebuję więcej maszyn i platform, więcej grup zdjęciowych, techników montażu i opracowania... Więcej... więcej..."

Fraffin poczuł tęsknotę za starymi, dobrymi czasami, kiedy to on oraz Bristala wystarczali do całej pracy reżyserskiej. Bristala był człowiekiem, który umiał podejmować decyzje. Całkiem nieźle radził sobie nawet wówczas, gdy brakło ludzi i sprzętu. Ale później asystent usamodzielniał się i przeniósł do całkiem innego świata, gdzie na własną rękę reżyseruje i boryka się z własnymi problemami.

– Może powinieneś sprzedać... Rzucił jej ponure spojrzenie.

– To niemożliwe. Dobrze wiesz, dlaczego.

– Dobry kupiec...

– Ynvic!

Wzruszyła ramionami.

Fraffin dźwignął się z fotela i podszedł do biurka. Jeden z wmontowanych w blat obrazów przedstawiał tę część Galaktyki, gdzie Chemowie zasiedlili gwiazdy zmienne. Wystarczyło jedno dotknięcie przełącznika, by obraz znikł i ukazała się panorama jego własnej małej planetki – niebiesko-zielonego świata otoczonego ławicami chmur.

W gładkiej, lśniącej powierzchni odbijało się jego oblicze, które znikło wraz z rodzimym krajobrazem, zastąpione obrazem przybysza: pociągła twarz, proste usta, zakrzywiony nos o wypukłych nozdrzach, ciemne zamyślane oczy obramowane gęstymi długimi rzęsami, wysokie czoło, przecięte podwójną fałdą, krótkie czarne włosy i srebrna skóra.

Twarz Ynvic przeniosła się z pantovivoru po łączach centrali i poszybował nad pomieszczeniem, zawisła bezcieleśnie nad biurkiem, wpatrując się weń w oczekiwaniu.

– Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. Znasz moje zdanie.

Fraffin rzucił jej szybkie spojrzenie. Ynvic, główny chirurg stacji, była bezwłosą Chem o okrągłej, księżycowatej twarzy. Pochodziła z rasy Ceyatrilów, prastarego plemienia, wiekowego nawet w świecie pojęć, w którym poruszali się nieśmiertelni. Ynvic żyła. Tysiące planet, podobnych do tego słońca, mogły powstać i przeminąć, a ona trwała, nie poddając się biegowi czasu. Chodziły plotki, że kiedyś była kupcem handlującym planetami, a nawet, iż należała do załogi Lavra, penetrującej inne wymiary istnienia. Oczywiście sama zainteresowana nie wypowiadała się na ten temat, plotkarze jednak uparcie obstawali przy swoim.

– Nie mogę tego sprzedać – powtórzył. – Przecież wiesz.

– Żaden Chem nigdy nie poprzestaje na jednym zdjęciu.

– Co mówią nasze źródła na temat tego... Kelexela?

– Że to bogaty kupiec, otoczony łaskami Prymasa. Właśnie otrzymał niedawno pozwolenie na rozmnożenie się.

– Myślisz, że to naprawdę nowy szpicel?

– Tak właśnie myślę.

Skoro Ynvic tak myśli, zapewne tak jest... Wiedział, że jest zbyt chwiejny. Nie mógł się zdecydować. Nie chciał przerywać tej miłej wojenki, nie chciał zarzucać wszystkich programów tylko dlatego, iż być może groziło mu jakieś niebezpieczeństwo.

Kto wie, może Ynvic rzeczywiście ma rację? Jestem już tutaj zbyt długo i zaczynam się utożsamiać z tymi małymi, biednymi, nieświadomymi niczego tubylcami. Powinienem opuścić tę planetę! Jak mogłem zacząć utożsamiać się z dzikusami? Nawet nie dzielimy tej samej śmierci: oni umierają, ja nie. Stałem się jednym z ich bogów. A teraz znowu Biuro nasyła szperacza, aby nas obserwował! Przykro pomyśleć, że to, czego ów człowiek szuka, może mu wpaść w ręce tak szybko.

– Z tym badaczem to nie taka prosta sprawa – odezwała się Ynvic. – Wydaje się, że pochodzi z naj-zamożniejszych bogaczy. Jeśli więc coś ci zaproponuje, powinieneś się zgodzić. W ten sposób wprawisz ich wszystkich w prawdziwe zdumienie. Cóż będą ci mogli zrobić? Potwierdzisz tylko swą niewinność, a cały personel weźmie twoją stronę.

– Niebezpieczne... – mruknął.

Patrzył na swoją prawą dłoń. To ona, moja ręka, jest we wszystkim, co dzisiaj zwą historyjkami – pomyślał. – Od czasów Babilonu, a może nawet jeszcze dłużej, jestem tym, który pociąga za sznurki ich losów...

– Kelexel prosił o chwilę rozmowy z Wielkim Fraf-finem – powiedziała Ynvic. – Był...

– Niech więc przyjdzie – skrzywił się. Stuknął pięścią w otwartą dłoń.

– Tak. Przyślij mi go tutaj.

– Nie! – zaproponowała kobieta. – Każ mu czekać. Niech twoi agenci...

– A jak to uzasadnię? Przecież już nieraz rozmawiałem z bogatymi kupcami.

– Jakkolwiek. Powiedz, że nawał pracy ci nie pozwala. Twórcze natchnienie, nagły przebłysk geniuszu artysty...

– Nie. Porozmawiam z nim. Czy w jakiś sposób wyposażyli go wewnątrz?

– Nie przypuszczam. Do tak prostackich metod Biuro raczej by nie sięgnęło. Ale dlaczego chcesz...

– Chcę go tylko wysłuchać.

– Do tego rodzaju zadań masz cały zastęp specjalistów.

– Ale on chce rozmawiać ze mną.

– To niebezpieczne. Będzie tu węszył aż do chwili, gdy nas wszystkich pochwyci w garść.

– Ktoś w końcu musi się zorientować, czym można go skusić.

– Dobrze wiemy, czym można go skusić – odparła nieustępliwie Ynvic. – Lecz niech tylko zorientuje się, że potrafimy się krzyżować z tymi dzikusami, a już go straciliśmy... i siebie wraz z nim.

– Nie jestem wymagającym pouczeń dzieckiem, Ynvic. Porozmawiam z nim.

– Naprawdę jesteś zdecydowany?

– Tak! – uciał krótko. – Gdzie mam go szukać?

– Na zewnątrz. Jest teraz na powierzchni wraz z grupą operatorów.

– Rzeczywiście – zorientował się. – Już go widzę. Oczywiście nie spuszczaamy go z oczu. Co myślisz o naszych stworzeniach?

– To co wszyscy inni: zbyt potężne, brzydkie – po prostu karykatury Chemów.

- Ale co mówią jego oczy?
- Interesują go tutejsze kobiety.
- No, tak – skinął głową Fraffin – tak właśnie myślałem.
- Z tego co widzę – uśmiechnęła się Ynvic – odłóżysz na bok ten dramat wojenny i weźmiesz się za jakąś historyjkę specjalnie dla naszego gościa?
- A co innego mi pozostaje? – Jego głos zabrzmiał nieoczekiwaną rezygnacją.
- Z kim chcesz to zainscenizować? – spytała nie bez zainteresowania. – Może z tą małą grupą z Delhi?
- Nie. Tych oszczędzam na wszelki wypadek. Użyję ich wyłącznie w razie nagłej konieczności.
- Szkoła dziewcząt z Leeds? – nie dawała za wygraną.
- Nic z tego. Nie nadają się. Ale wiesz co? – jego oczy zabłysły prawdziwą pasją. – A gdyby tak wmieszać go w jakąś przemoc? Co o tym myślisz? Skusi się?
- Bez wątpienia. A zatem szkoła morderców w Berlinie?
- Nie, nie – zaprotestował gwałtownie. – Mam coś znacznie lepszego. Porozmawiamy o tym, jak tylko go obejrzę. Gdy tylko wróci, niech do mnie przyjdzie.
- Chwileczkę – powstrzymała go Ynvic. – Chyba nie zamierzasz spróbować z immunem...
- A dlaczego by nie? – roześmiał się, zacierając rękę. – Powinniśmy przecież skompromitować tego szpicla.
- Wystarczy, aby go ujrzał, a może nas zrujnować!
- Immuna można zabić w każdej chwili.
- Ten Kelexel nie jest idiotą!
- Będę ostrożny.
- Nie zapominaj, drogi przyjacielu – zaczęła Ynvic niemal złowróbnym tonem – że tkwię w tej sprawie po same uszy, równie głęboko, jak ty. Pozostali zdołają się jakoś z tego wygrzebać, co najwyżej grożą im roboty przymusowe, ale ja fałszuję próbki genów, wysyłane Prymasowi.
- Nie zapominam – zapewnił Fraffin. – "Rozwaga" to moja dewiza.

Rozdział trzeci

Kelexel, ciągle łudzący się, że chroni go kamuflaż bogatego turysty, przystanął na moment przed otwartymi drzwiami. Rzucił badawcze spojrzenie na atelier dyrektora. Jego rzeński umysł niemal natychmiast zarejestrował wszędzie widoczne oznaki zużycia i starości.

Rzeczywiście, siedzi tutaj już od dawna – stwierdził. – Po kimś, kto tak długo zajmuje ten sam statek, trzeba się spodziewać najgorszego. Chem nie powinien zbytnio koncentrować uwagi na jednym przedmiocie, ponieważ wkrótce mógłby w nim znaleźć jedną z zabronionych atrakcji.

– Turysta Kelexel – odezwał się Fraffin, dźwigając się znad biurka. Ruchem dłoni wskazał stojący naprzeciwko fotel. Kelexel, czyniąc powitalne uprzejmości, podszedł bliżej, po czym skłonił się tuż nad matową szybą, wbudowaną w blat.

– Dyrektorze Fraffin – zaczął uroczyście – nawet światło miliarda słońc nie mogłoby przyćmić blasku twojej sławy.

O bogowie... – jęknął w duchu Fraffin. – To taki ptaszek... Uśmiechnął się i jednocześnie z gościem zajął swe miejsce.

– Moja sława blaknie wobec twego oblicza – odpowiedział. – Czym mogę służyć memu czcigodnemu, znakomitemu przyjacielowi?

Kelexel poczuł się nagle niepewnie. We Fraffinie było coś, co go peszyło. Dyrektor był niskim człowiekiem, a w otoczeniu tych maszyn i wszystkiego, co tu się znajdowało sprawiał wrażenie karła. Jego cera miała typowy dla Sirihadi mlecznosrebrzysty odcień i znakomicie pasowała do koloru ścian pomieszczenia. Oczekiwał kogoś większego. Może nie tak wysokiego, jak rdzenna ludność tej planety, lecz z pewnością kogoś bardziej imponującego, dorównującego wielkością sile, widocznej w rysach jego twarzy.

– Bardzo to wielkoduszne z twojej strony, że zechciałeś mi poświęcić nieco czasu, czcigodny przyjacielu.

– Czymże jest czas dla Chema? – rzucił retorycznie Fraffin.

Poruszali się w utartych schematach formułek grzecznościowych i Kelexel uznał, że to już dosyć. Uważnie spojrzął na rozmówcę.

Twarz Fraffina! Oczywiście, któżby jej nie znał! Czarne włosy, głęboko zapadnięte oczy, haczykowany nos i ostry podbródek – to zdjęcie pojawiała się na wszystkich ekranach zawsze, gdy pokazywano coś, co wyszło spod ręki jego gospodarza. Jednak prawdziwy, nieretuszowany kreator wykazywał tak zadziwiające podobieństwo do swych oficjalnych portretów, że Kelexel poczuł się zaniepokojony. Zwiadowca oczekiwał czegoś innego; sądził, że zerwie zasłonę iluzji. Spodziewał się więcej władczości i aktorstwa, dzięki czemu łatwiej byłoby mu zdemaskować kabotyńca.

– Zwiedzający to miejsce na ogół nie proszą o rozmowę z dyrektorem.

– Tak, oczywiście... – odparł Kelexel. – Mam pewną...

Zawahał się znowu napotkawszy w tej twarzy kolejny powód swej irytacji. Wszystko we Fraffinie – brzmienie głosu, karnacja skóry, cała promienna witalność – wskazywało na przeprowadzoną niedawno kurację odmładzającą, a przecież Fraffin nie był w wieku, kiedy należałoby ją odbyć.

– Tak?

– Mam... mam raczej osobistą prośbę.

– Ufam, że nie chce mnie pan prosić o zatrudnienie – uśmiechnął się mężczyzna za biurkiem. – Mamy tak licznych...

– Nie dla siebie – pośpiesznie rzucił Kelexel. – Osobiście niezbyt się tym interesuję. Liczne podróże na ogół zupełnie zadowolają mnie całkowicie. Jednakże podczas ostatniego cyklu również otrzymałem pozwolenie na męskiego potomka.

– Cieszę się wraz z tobą, czcigodny przyjacielu – rzekł Fraffin nad wyraz ostrożnie. W skrytości ducha zaniepokoił się. Czy ten człowiek naprawdę coś wie? Czy to możliwe?

– Hm... – wahał się gość. – Cały problem w tym, że potomek wymaga stałej opieki. Jestem gotów zapłacić bardzo wysoką cenę za przywilej przyjęcia go do twojej organizacji i wychowywania aż do chwili, gdy wygaśnie całkowicie moja odpowiedzialność za jego losy.

Skończywszy, Kelexel wyciągnął się w fotelu. Na jego twarzy pojawiło się oczekiwanie.

"Oczywiście, będzie nieufny" – powiedzieli mu eksperci z Biura. – "Będzie podejrzewał, że chcesz podrzucić mu szpicla, toteż gdy przedstawiś mu tę propozycję, zwróć szczególną uwagę na jego reakcje wewnętrzne". Dyrektor wyraźnie się zaniepokoił – stwierdził. – Czy obleciał go strach? Nie, jeszcze za wcześnie. W tej chwili nie powinien się jeszcze obawiać.

– Przykro mi, że muszę odmówić tak wspaniałej osobistości – rzekł w końcu gospodarz – lecz jakakolwiek padłaby tu suma, żadna z ofert jest nie do przyjęcia.

Kelexel wydał w milczeniu wargi, pomyślał przez chwilę, po czym podał cenę. Fraffin omal nie spadł z fotela. Przecież to połowa tego, co spodziewam się zyskać z całego przedsięwzięcia planetarnego... – rozmyślał gorączkowo. – Czy Ynvic mogła się mylić co do tego człowieka? W ten sposób raczej nie usiłuje się wcisnąć szpiega. Nikt, żaden nowy pracownik nie może się dowiedzieć niczego istotnego na temat swej pracy aż do chwili, gdy sam jest równie skompromitowany jak inni. Wówczas wraz z pozostałymi poci się, przygnieciony świadomością winy.

– Czy nie dosyć? – spytał Kelexel.

– No... wyznani, że jestem dość zakłopotany – wyjąkał w końcu Fraffin. – Naprawdę za żadną cenę nie mogę się na to zgodzić. Jeśli już raz opuszczę poprzeczkę i przepuszczę potomka bogacza, to wkrótce kreocentrum stanie się przystanią dla wszelkiego rodzaju dyletantów. Jesteśmy tu wszyscy zgraną załogą, pracujemy nadzwyczaj intensywnie, dlatego każdego nowego pracownika wybieramy nadzwyczaj skrupulatnie badając jego talenty. Jeśli jednak twój potomek ma życzenie kształcić się w pewnym określonym fachu, jeśli zechce podjąć studia w jednym z wybitnych instytutów...

– A jeśli podwoję sumę?

Czy za tym pajacem naprawdę stoi Biuro? A może to raczej jeden ze spekulantów nieruchomościami? Chrząknął.

– Przykro mi, ale czegoś takiego nie da się kupić.

– A może cię uraziłem, szlachetny Fraffimie?

– Nie. Tę decyzję dyktuje mi po prostu instykt samozachowawczy. Praca jest naszą odpowiedzialnością na ciężki los wszystkich Chemów...

– Ach, nudę – przerwał domyślny Kelexel.

– Tak, dokładnie tak – potwierdził dyrektor. – Jeśli otworzę podwoje Centrum przed każdym, kto dysponuje odpowiednim bogactwem lub godnością, nasze problemy natychmiast urosną do niespotykanych wcześniej rozmiarów. Nie dalej jak dzisiaj zwolniłem trzech ludzi z powodu postępowania, jakie byłoby na porządku dziennym, gdybym przyjął proponowaną przez ciebie metodę werbowania nowych współpracowników.

– Zwolniłeś trzech ludzi? – Kelexel najwyraźniej nie posiadał się ze zdumienia. – A czym zawinili?

– Własnowolnie wyłączyli osłonę i pozwolili oglądać się tubylcom. Tego rodzaju historie zdarzają się wystarczająco często z powodu awarii sprzętu, nie trzeba ich mnożyć wskutek zwykłej

swawoli.

Cóż za powaga i praworządność – pomyślał Kele-xel. – Chce sprawić wrażenie filaru porządku publicznego. Cóż z tego, że zwolnił trzech pechowców, skoro rdzeń załogi kreocentrum składa się ze starych, wypróbowanych pracowników, lojalnych wobec szefa. A nawet ci, których wyrzuca, nie puszczają pary z ust. Dzieją się tu dziwne rzeczy – coś, czego nie można pogodzić z obowiązującym prawem.

– Tak, oczywiście rozumiem – potwierdził skwapliwie. – Nie należy się fraternizować z tubylcami. – Wskazał palcem na sufit. – To byłoby nielegalne... i bardzo niebezpieczne.

– Podniosłoby także próg odporności – dorzucił Fraffin.

– Drogi i czcigodny przyjacielu – zaczął Kelexel. – Twoje oddziały egzekucyjne muszą mieć ręce pełne roboty. Dyrektor pozwolił sobie na uśmiezek dumy.

– Wręcz przeciwnie, najczcigodniejszy. W ten sposób w ciągu swej długiej kariery wyeliminowałem niespełna milion immunów. Na ogół pozwalałem tubylcom, by sami się wzajemnie wyrzynali.

– Tak, to jedyna słuszna droga – przytaknął skwapliwie Kelexel. – O ile to możliwe, powinniśmy się trzymać klasycznych technik. To właśnie konsekwentne stosowanie tej metody uczyniło cię sławnym, wielki Fraffinie! Dlatego chciałbym powierzyć ci syna na wychowanie.

– Przykro mi – mruknął dyrektor.

– To twoja ostateczna odpowiedź?

– Ostateczna.

Kelexel wzruszył ramionami. Co prawda Biuro przygotowało go na taką gładką i stanowczą odprawę, lecz on sam nie bardzo chciał w to wierzyć. Miał nadzieję, że Fraffin zechce się potargować.

– Tuszę, iż nie uraziłem cię w niczym.

– Skądże znowu, przyjacielu – odparł gospodarz, myśląc jednocześnie: "Ale mnie ostrzegłeś".

W czasie ich rozmowy doszedł bowiem do wniosku, iż Ynvic miała całkowitą rację. W zachowaniu przybysza dostrzegł coś, co nie pasowało do maski interesowności, za którą się krył. Jakaś czujność, jakieś wewnętrzne napięcie, zupełnie nie odpowiadające jego typowi.

– Zdejmujesz mi kamień z serca – stwierdził gość.

– Ciągłe interesuję się problemami handlu oraz cen – wyjaśnił dyrektor. – I muszę przyznać, że zaskoczyłeś mnie wręcz, nie oferując mi sumy przewyższającej wartość wszystkiego, co posiadam.

Myślisz pewnie, że popełniłem błąd – pomyślał Kelexel. – Głupcze! Zbrodniarze nigdy niczego się nie uczą.

– Mój majątek jest w tej chwili bardzo rozdrobniony... kapitał lokuję w wielu formach ruchomości i nieruchomości, a to wymaga poświęcenia zbyt wiele uwagi kwestiom finansowym – rzekł. – Oczywiście, myślałem już o tym, aby uczynić ci honorową propozycję, a całą resztę podarować potomkowi, lecz jestem przekonany, że mój syn wszystko przepuści i obróci w ruinę.

– W takim razie pozwól, że przedstawię ci wyjście alternatywne – skłonił się Fraffin. – Daj synowi najpierw przyzwoite wykształcenie, a później, normalnymi drogami...

Kelexel bardzo długo i pieczołowicie przygotowywał się do tej misji. Prymas oraz Biuro byli otoczeni ludźmi, którzy nieufność pocztywali sobie za cnotę. To, że nie mogli dowieść Fraffinowi żadnego przestępstwa, stanowiło dla nich wszystkich kamień obrazy, dlatego postarali się, by Kelexel otrzymał wszystko, co mogłoby mu się przydać. W zaostrzonej świadomości badacza sumowały się teraz ułamki wrażeń, drobne spostrzeżenia, wskazujące wszystkie zdradzieckie elementy zachowania dyrektora, a także ostrożny dobór słów oraz te jego gesty, które świadczyły o

posługiwaniu się taktyką wymijania. Badacz czuł, jak wzrasta jego słuszny gniew. Gdzieś tam w sferze prywatnych posiadłości tego człowieka działy się różne dziwne i nielegalne rzeczy. Co to może być?

– O ile to dozwolone – odezwał się po dłuższej chwili ciszy – chętnie przyjrzałbym się wszystkiemu, co tu robicie, bym później mógł przedstawić synowi stosowne propozycje. Byłbym szczęśliwy, gdyby wielki Fraffin zechciał mi to umożliwić.

Cokolwiek jest zbrodnią, którą popełniłeś – pomyślał – i tak cię dostanę, a wtedy zapłacisz mi za wszystko, podobnie jak pozostali złoczyńcy, wszyscy razem i każdy z osobna.

– Świetnie – skinął głową Fraffin. Oczekiwał teraz, że gość wstanie i wyjdzie, lecz Kelexel ciągle siedział, patrząc w biurko z uporem.

– Coś jeszcze, czcigodny Fraffinie – zaczął po chwili. – Często zastanawiałem się nad oddziaływaniem twych produkcji... Ta ogromna pieczołowitość, z jaką tworzysz swe dzieła, skrupulatne przemyślenie akcji i motywów osób występujących... Czyż nie jest to żmudna praca?

Fraffin stłumił wybuch gniewu, ale wyczuł ostrzeżenie i przypomniał sobie słowa Ynvic.

– Długotrwała, powiadasz? A czymże jest czas dla ludzi, którzy należą do wieczności? – odparł zupełnie spokojnym tonem.

– Waham się, czy to powiedzieć – rzekł Kelexel. – Po prostu niekiedy zastanawiam się, czy długotrwałość nie jest równoznaczna z... nudą.

Fraffin aż prychnął. Najpierw przypuszczał, że ten szpicel Biura będzie interesującym człowiekiem, lecz ten chłopaczek zaczynał go zanudzać. Przycisnął więc guziczek umieszczony pod blatem biurka, dając sygnał dla wszystkich reżyserów współpracowników, aby za pół godziny zgromadzili się tutaj na konferencję. Im wcześniej pozbędzie się tego nudziarza, tym lepiej.

– Uraziłem cię – zauważył Kelexel jakby ze skruchą.

– Czy moje historyjki przyprawiły cię o nudę? – zapytał dyrektor. – Jeśli tak, wówczas nie ty mnie, lecz ja ciebie uraziłem.

– Nie, skądże znowu, nigdy! – wykrzyknął gość nie bez pewnej dozy entuzjazmu. – Twoje produkcje są niezwykle zabawne i humorystyczne, niezwykle różnorodne i obfitujące w gagi.

Zabawne! – pomyślał Fraffin. – Humorystyczne!

Spojrzał na stojący na biurku monitor i odtworzył raz jeszcze ostatnie epizody swej bieżącej produkcji. Monitor umieszczono tak, że tylko on widział ekran, całkowicie ukryty przed siedzącym naprzeciwko gościem. Gdy tylko pojawił się obraz, zatopił się w gruntownym rozpamiętywaniu poszczególnych scen. Montaż niezbyt przypadł mu do gustu. Tak, to trzeba poprawić.

– Czemu się teraz przyglądasz, jeśli mogę spytać? – spytał po chwili Kelexel. – Może przeszkadzam?

Wreszcie zaczął cokolwiek pojmować – pomyślał Fraffin.

– Właśnie zacząłem pracę nad nową historyjką... taki mały brylancik – rzekł głośno.

– Nowa historyjka? – powtórzył zdumiony gość. – W takim razie musiałeś już skończyć ten sławny epos... – Na razie odłożyłem go na czas późniejszy – wyjaśnił

dyrektor. – Prawdę powiedziawszy, nie jestem zadowolony z tego, co dotychczas zrobiono. Wojny zaczynają mnie nudzić. Ale konflikty osobiste to całkiem inna sprawa... to niemal niewyczerpane źródło coraz to nowych pomysłów.

– Konflikty osobiste? – powtórzył Kelexel, uważając cały ten pomysł za odpychający.

– Tak. Cały obszar intymności, psychologia przemocy... W wojnach i wędrówkach ludów każdy może wypatrzeć jakiś dramat. Powstanie i upadek cywilizacji, brzask i zmierzch coraz to nowych

religii obfitują w tego rodzaju epizody. A co myślisz o historyjce, w której finale pewne stworzenie zabija swego partnera?

Kelexel potrząsnął głową. Rozmowa przyjęła taki obrót, że poczuł się zupełnie bezradny. Epos wojenny złożony do lamusa? Zupełnie nowa produkcja? Powróciły jak najgorsze przeczucia: do jakich środków odwoła się Fraffin, aby napytać mu biedy?

– Konflikt i strach – ciągnął dyrektor. – Zazdrość i pożądanie. To tylko maszyna, którą wystarczy raz puścić w ruch, aby sprawy poszły swoją własną drogą. Kochają się, nienawidzą, chorują... Okłamują się, zabijają i umierają...

Fraffin roześmiał się. Kelexel wyczuł jakąś niewyraźną, lecz oczywistą pogroźkę.

– A najzabawniejszy w tym wszystkim jest fakt, iż te stworzenia uważają, że są panami własnych czynów: działają z własnej woli i tylko dla siebie.

Kelexel wymusił wąty uśmieszek, choć nie wiedzieć czemu uważał cały pomysł za bardzo niezabawny. Przełknął ślinę.

– Czy taka historyjka nie jest zbyt skromna, mizerna... mało widowiskowa?

Skromna i mizerna... Ten Kelexel to zwykły kołtun, zakochany w monumentalnych rozmiarów jatkach. Szkoda czasu, który zmarnował na tę rozmowę.

– A czyż to nie dowód najwyższego artyzmu – odparł pytaniem na pytanie – że korzystam z prozaicznego, zupełnie błahego epizodu, by zademonstrować to, co powszechne?

Podniósł rękę zaciśniętą w pięść i rozłożył ją, pokazując gościowi powierzchnię dłoni. Kelexel uznał, że to niesmaczny pomysł. W ogóle ten cały Fraffin i jego brudne sprawy, śmiertelne ciosy, niskie pobudki... Cóż za przygnębiające idee! Ale dyrektor znowu zapatrzył się w ekran. Ciekawe, co on tam widzi?

– Obawiam się, że zbyt rozciągnąłem w czasie moją wizytę...

Fraffin oderwał wzrok od monitora. Ten bałwan najwyraźniej zbiera się do wyjścia. Cóż, nie ucieknie daleko. Sieci już zarzucono. Wkrótce powinien wpaść.

– Wybacz, że zająłem ci tak wiele czasu – gość podniósł się.

Fraffin wstał zaraz po nim, skłonił się i odparł konwencjonalnym zwrotem.

– Czymże jest czas dla Chema?

– Czas jest naszą zabawką – odparł Kelexel właściwą formułką. Obrócił się i wyszedł. Umysł wypełniała mu w tej chwili cała gonitwa myśli. W zachowaniu się dyrektora kryła się jakaś groźba. Najwyraźniej miała coś wspólnego z tym, co oglądał na monitorze. Co to było? Kolejna historia Fraffina? Tylko w jaki sposób historia może zagrozić Chemowi?

Dyrektor odprowadził gościa wzrokiem, a gdy drzwi się zamknęły, ponownie włączył monitor. Na górze, na powierzchni ziemi, była już noc i zaczynał się decydujący pierwszy akt. Oglądał przebieg zdarzeń, zachowując krytyczny dystans doświadczonego reżysera. Nie wytrzymał jednak zbyt długo. Krótkim, zdecydowanym ruchem wyłączył urządzenie, po czym odepchnął fotel od biurka.

Muszę zrobić coś rozsądnego – pomyślał. – Ten początek jest zupełnie do niczego, nie sposób go wykorzystać.

Z wyraźnym trudem podniósł się i podszedł do błyszczącej stalowej obudowy swego pantovivoru. Ciężko osunął się w fotel, po czym włączył urządzenia. Satelity komunikacyjne przekazały mu obraz tej półkuli planety, gdzie panował dzień. Przez scenę wolno przepływały widoczne jako plamki zieleni, żółci i brązu krajobrazy. Pojawiły się autostrady, szosy, aż wreszcie ujrzał amebiasty, brudnoszary kształt jakiegoś miasta. Nastawił zbliżenie i wkrótce przed jego oczyma pojawiły się widoczne z góry ulice. Wreszcie w głównym punkcie sceny ujrzał grupę ludzi,

słoczonych wokół jakiegoś handlarza: niskiego, zażywnego pana w pomiętym szarym garniturze i wytartym kapeluszu. Człowiek stał za jakimś sporych rozmiarów pojemnikiem z przezroczystą pokrywą.

– Pchły! – krzyczał przenikliwym głosem. – Tak, szanowni państwo, wzrok was nie myli. Pchły! Ale, za pozwoleniem czcigodnych widzów, to nie byle jakie pchły! Dzięki starej, od dawna przechowywanej w największej tajemnicy metodzie tresury udało mi się wykształcić te pasożyty na prawdziwych akrobatów, którzy w tej chwili, specjalnie dla szanownej publiczności przedstawiają swe fantastyczne sztuczki! Oto pchła samica, ciągnąca wóz. Tutaj z kolei inna pchła tańczy! Podejdźcie bliżej, drogie panie i szanowni panowie, a będziecie mogli podziwiać pchle zawody. Przyjmuję zakłady, która z nich pierwsza dobiegnie do mety. Proszę, podejdźcie bliżej! Za psie pieniądze możecie spoglądać przez szkło powiększające na ten czarodziejski świat!

Czy te pchły w ogóle wiedzą, że są czyjąś własnością? – zamyślił się Fraffin.

Rozdział czwarty

Dla doktora Androklesa Thurlowa wszystko zaczęło się od nocnego dzwonienia telefonu. Macając w ciemności znalazł aparat, lecz chcąc pochwycić słuchawkę zepchnął ją na podłogę. Nadal w półśnie zaczął jej szukać pod łóżkiem. W jego świadomości ciągle kołatały się ułamki snu, w którym po raz kolejny przeżywał chwile tuż przed wybuchem w Lawrence Labor, kiedy został ciężko ranny w oczy. W ciągu ostatnich trzech miesięcy, jakie minęły od katastrofy, zdążył się już przyzwyczaić do nawiedzającego go regularnie koszmaru, lecz tym razem miał wrażenie, że okropny sen zyskał jakieś nowe znaczenie. I on musiał je rozwikłać.

Psychologu, ulecz samego siebie... – pomyślał.

Ze słuchawki dochodziły jakieś dźwięki, jakiś blaszany głos. Szybko się zorientował, który koniec należy przyłożyć do ucha.

– Hallo? – wychrypiął przez zaschnięte całkowicie gardło.

– Andy?

– Tak, kto mówi?

– Clint Mossman.

Thurlow usiadł, przerzuciwszy nogi przez krawędź łóżka. Fosforyzujące cyferki na tarczy budzika pozwoliły mu stwierdzić, że jest druga osiemnaście. Ta raczej nietypowa pora oraz fakt, że dzwonił Mossman, sędzia okręgowy do spraw kryminalnych, oznaczały dla niego perspektywę wystąpienia w roli biegłego sądowego.

– Co się stało?

– Obawiam się, Andy, że mam dla ciebie niemiłe nowiny. Ojciec twojej dawnej przyjaciółki zamordował właśnie jej matkę.

W pierwszej chwili nie mógł doszukać się w słowach sędziego żadnego sensu. Miał tylko jedną starą przyjaciółkę, lecz ta już dawno wyszła za mąż.

– Co mówisz?

– Joe Murphey, ojciec Ruth Hudson, zamordował swą żonę – oświadczył dobitnie Moosan.

– Nie!

– Nie mam zbyt wiele czasu – rzekł spiesznie sędzia. – Dzwonię z budki naprzeciwko biurowca Murpheya. Stary zabarykadował się w środku i ma przy sobie broń. Powiada, że może rozmawiać, ale tylko z tobą.

Thurlow potrząsnął głową.

– Ze mną?

Jesteś tu potrzebny, Andy, i to natychmiast. Wiem, że to nieprzyjemna sprawa, a w dodatku Ruth i to wszystko, ale nie mam żadnego wyboru. Nie mogę dopuścić do strzelaniny, a sam wiesz, jakie są gliny: z palcem na spuście czują się najbezpieczniej.

– Przestrzegałem was, że do tego dojdzie – rzekł Thurlow, czując nagły przyływ złości. Był rozgoryczony z powodu Moosmana i tego całego miasta.

– Nie mam czasu kłócić się z tobą – powiedział ten z drugiej strony linii. – Przyrzekłem Murpheyowi, że zaraz przyjedziesz. W ciągu dwudziestu minut zdołasz tu dotrzeć, ale się pośpiesz.

– W porządku. Już lecę.

Thurlow położył się i włączył nocną lampkę. Z oczu pociekły mu łzy i poczuł nagły ból. Mrugał powiekami, aż podrażnienie ustąpiło. Ciekawe, czy doczeka dnia, gdy będzie mógł zapalić światło,

nie przeżywając podobnych sensacji.

Sens wiadomości dopiero teraz docierał z wolna do jego świadomości. Ruth! Gdzie ona teraz jest? Ale to już nie jego sprawa; o Ruth powinien martwić się Nev Hudson. Zwlókł się z łóżka i nałożył okulary; specjalne okulary ze spolaryzowanymi, ruchomymi soczewkami. Oczy od razu doznały ulgi. Światło przybrało zdecydowany żółty odcień. Kolor, który zawsze uważał za ciepły, miły dla wzroku i ducha. Ubrał się, włożył buty i kurtkę, po czym spojrział w lustro. Wąska, pociągła twarz, zapadłe policzki oraz ciemne okulary w grubej, czarnej oprawie, rzadkie włosy i wyłysiałe skronie, nieco kartoflowaty nos, szerokie usta z grubą dolną wargą...

Dobrze byłoby strzelić sobie drinka, lecz wiedział, że butelka jest pusta. Biedny, chory Joe Murphey... Mój Boże, ale się urządził!

Rozdział piąty

Na rogu ulicy, w pobliżu biura Murpheya naliczył pięć karetek policyjnych. Ręczne reflektory rzucały pelgające światło na fasadę budynku, wydobywając niekiedy z mroku wyłączony neon, głoszący nad głównym wejściem:

J.H.MURPHEYCOMPANY KOSMETYKI

Thurlow opuścił wóz pięćdziesiąt metrów przed trzypiętrową budowlą. Szedł rozglądając się w poszukiwaniu Moosmana. Z tyłu przykucnęły za jakimś wozem dwie męskie postacie. Czy Murphey strzelał? – zadał sobie pytanie. Wiedział, że przechodząc przez ulicę, stanowiłby znakomity obiekt dla ukrytego w którymś z okien strzelca, lecz nie czuł się zagrożony. Myśl, że ojciec Ruth mógłby oddać w jego kierunku śmiertelne strzały wydawała mu się po prostu czymś absurdalnym. Ten człowiek mógł eksplodować tylko w jednym kierunku. Przewidział to już jakiś czas temu, a dzisiaj jego wróżby się spełniły. Teraz Murphey jest już zupełnie wypalony; niewiele więcej niż wydrażona pusta kukła.

Jeden z policjantów po drugiej stronie ulicy, wielu innych kryło się w bramach, podniósł do ust megafon.

– Murphey! – krzyknął, a głos odbił się echem od ciemnych fasad domów. – Doktor Thurlow już tutaj jest. Proszę zejść na dół i poddać się. To ostatnia szansa. Później otworzymy ogień.

Na drugim piętrze otworzyło się okno. Światła reflektorów natychmiast wyrwały z mroku tę część fasady. Z ciemnego otworu dobiegł ich męski głos.

– Widzę go. Za pięć minut będę na dole.

Okno zamknęło się z trzaskiem.

Thurlow przebiegł przez ulicę i dotarł do Moosmana, ukrytego w bramie naprzeciwko. Sędzia okręgowy był szczupłym, kościstym mężczyzną, ubranym w jasny, nieco workowaty garnitur. Kremowy kapelusz o szerokim rondzie przysłaniał jego pociągłą twarz.

– Hallo, Andy – rzucił. – Przykro mi, że tak się stało, ale sam wiesz...

– Strzelał już? – spytał Thurlow, dziwiąc się, jak spokojnie brzmi jego głos. Zawodowe przyzwyczajenie – pomyślał. Miał do czynienia z kryzysem psychicznym, lecz studia i długoletnia praktyka nauczyły go, jak sobie radzić w podobnych wypadkach.

– Nie – odparł Moosman zmęczonym głosem. – Ale ma broń.

– Macie zamiar dać mu te pięć minut?

– A powinniśmy?

– Sądzę, że tak. Przypuszczam, że postąpi dokładnie tak, jak zapowiedział. Zejdzie na dół i podda się.

– A zatem daję mu te pięć minut. Ale ani chwili dłużej.

– Czy mówił, dlaczego chce się ze mną widzieć?

– Tak – Moosman najwyraźniej nie przywiązywał do tego większego znaczenia. – Wspomniał coś o Ruth i bredził, że jeśli ciebie tu nie będzie, to go zastrzelimy.

– Tak właśnie mówił?

– Tak.

– Może powinienem pójść na górę – zamyślił się doktor.

– Ani mi się waż – ostro zaprotestował sędzia. – Nie mam zamiaru wpychać mu w ręce zakładników. Thurlow westchnął z politowaniem.

- Wystarczy, że tutaj jesteś – rzekł Mossman. – Tylko tyle sobie życzył. Teraz musimy odczekać.
- Czy nie ma żadnych wątpliwości, że to on zabił Adelę?
- Żadnych.
- Gdzie.
- W domu.
- Jak?

— Nożem – westchnął Mossman. – Wiesz, tym przeraźliwym prezentem, który

— dostał od kogoś, nie wiem już, z jakiej okazji. Często wywijał nim podczas grillparty w ogrodzie.

Thurlow musiał głęboko zaczerpnąć powietrza. Tak, to pasowało do niego. Ten nóż był całkiem logicznie dobraną bronią. Zmusił się jednak do zawodowej rzeczowości i zadał kolejne pytanie.

– Kiedy?

– Mniej więcej o północy. Ktoś zadzwonił na pogotowie, ale ci ze szpitala dopiero pół godziny po wszystkim wpadli na pomysł, aby zawiadomić policję. Gdy przybyliśmy na miejsce, sprawcy już tam nie było.

– I od razu pomyśleliście, że uciekł tutaj?

– Coś w tym stylu.

Thurlow potrząsnął głową, po czym spojrzał na ulicę. Słup światła nadal błędził po oknach biurowca i w jego blasku Thurlow dostrzegł coś, co na moment zawisło nieruchomo w powietrzu, lecz gdy chciał się temu dokładniej przyjrzeć, obiekt ruszył w górę, ku ciemnemu niebu. Zdjął okulary i przetarł oczy. To śmieszne... wydawało mu się przez chwilę, że widzi coś w rodzaju długiej rury. To pewnie wskutek ran odniesionych w wybuchu – pomyślał, po czym założył okulary z powrotem. Ponownie skierował się ku sędziemu.

– Czego on szuka w tym biurze? – spytał. – Wiesz coś o tym?

– Przez jakiś czas wisiał przy telefonie. Obdzwonił chyba wszystkich znajomych, chełpiąc się swym ostatnim dokonaniem. Nelly Hartmick, jego sekretarka, doznała szoku i trzeba ją było odwieźć do szpitala.

– Czy zadzwonił także... do Ruth?

– Nie mam pojęcia.

Thurlow skoncentrował myśli na tej jednej kobiecie. Uczynił to po raz pierwszy od chwili, gdy odesłała mu pierścionek z krótką, uprzejmą notatką, w której powiadamiała, że wychodzi za Neva Hudsona. W owym czasie Thurlow przebywał w Denver, ponieważ otrzymał stypendium, umożliwiające mu zrobienie specjalizacji na tamtejszym uniwersytecie. Później, ze zmiennym zresztą szczęściem usiłował wygnać ze świadomości wszystko, co wiązało go z nią.

Co za idiota ze mnie – pomyślał. – To stypendium nie było aż tak cenne, by płacić za nie utratą Ruth.

Zastanawiał się, czy nie powinien zatelefonować i w miarę oględnie poinformować ją o wszystkim, co się tutaj stało. Ale przecież tego rodzaju wieści nie poddawały się żadnym oględnym formułkom. Trudno tu było znaleźć jakąś upiększającą interpretację. Należało to zrobić szybko, ostro i brutalnie, tak, aby powstała czysta, wyraźna rana, dająca nadzieję, że kiedyś się zagoi... O ile zablźnienie w ogóle było tu możliwe.

Moreno to małe miasto. Znał jej adres. Choć już prawie podjął decyzję, rozmyślił się w ostatniej chwili. Telefon byłby tu nie na miejscu – zbyt nieosobisty. Powinien się stawić u Ruth sam. A wówczas już nieodwołalnie zwiąże się z tą tragedią – pomyślał. – Przecież nie chcę tego. -

Westchnął. – Lepiej, jeśli ktoś inny przekaże tę wiadomość. Po co obarczać się odpowiedzialnością?

– Może jest pijany? – mruknął w pobliżu jakiś policjant.

– A czy w ogóle kiedykolwiek był trzeźwy? – spytał Mossman.

– Widział pan zwłoki?

– Nie – odparł sędzia. – Ale Jack opisał mi to telefonicznie.

– Szkoda byłoby nawet kuli na tego skurwiela – burknął gniewny stróż porządku.

Zaczyna się – pomyślał Thurlow i w tej samej chwili obrócił się. Zza rogu wypadł jakiś wóz i zahamował z piskiem na środku ulicy. Otworzyły się drzwiczki, po czym ze środka wyskoczył niski tęgi mężczyzna w niedo-piętym garniturze. Spod nogawek spodni widać było piżamę. Człowiek sięgnął do samochodu i wydobyl aparat fotograficzny z fleszem. Doktor natychmiast odwrócił się plecami do celującego obiektywu. Zaraz potem ulicę przeciął ostry blask lampy, po chwili następny.

Aby uniknąć bólu, Thurlow spojrzał w ciemne niebo. Kiedy błysnął flesz, znowu ujrzał ów dziwny przedmiot, kołyszący się w powietrzu niespełna pięć metrów od okien biurowca. Lampa błyskowa dawno już wygasła, a on wciąż miał wrażenie, że widzi słabe, niejasne zarysy dziwnych kształtów.

Nie spuszczał z tego oczu. To nie mogło być złudzenie ani efekt następczy, wywołany chorobą oczu. Zarysy powoli nabierały ostrości: był to cylinder długości około sześciu metrów, półtora metra przekroju. Na półokrągłym podeście, biegnącym z tyłu skierowanego ku frontowi biurowca przedmiotu klęczały dwie osoby. Sprawiały wrażenie, jakby celowały w okna Murpheya z rury, przytwierdzonej na czymś w rodzaju statywu.

Te dwie sylwetki także trudno było dostrzec, gdyż jak całość zjawiska sprawiały wrażenie utkanych z mgły, lecz wszystko wskazywało na to, iż to jakieś człekopodobne twory: dwie ręce, dwie nogi... Tylko wielkość się nie zgadzała z potocznymi wyobrażeniami o typowym człowieku: mieli dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Najwyżej metr.

Thurlow odczuł dziwne podniecenie. Wiedział, iż widzi coś rzeczywistego, lecz zdawał sobie sprawę, że to coś umyka racjonalnym wyjaśnieniom. Gdy tak spoglądał, jeden z osobników obrócił się. Teraz mógł go podziwiać w całej okazałości. Przez welon mgły widział nawet połyskujące oczy. Liliput dotknął swego towarzysza; ten także się obrócił i obaj patrzyli na Thurlowa. Dwie świecące pary oczu...

Czy to jakieś wiry powietrzne, coś w rodzaju fatamorgany? – rozważał psycholog. Przełknął nerwowo ślinę. Jeśli to fatamorgana, wówczas każdy powinien ją dostrzec.

Obok niego stał Mossman, lecz nie opuszczał wzroku z biurowca Murpheya. Mimo chodem musiał także spoglądać na ów szybujący cylinder, ale po prostu go nie dostrzegał.

Podszedł do nich Tom Lee, fotograf z "Sentinel". Thurlow znał go.

– Dobry wieczór, doktorze – zwrócił się do psychologa. – Czemu się pan tak przygląda? Czy to okno, za którym ukrył się nasz ptaszek?

Thurlow chwycił go za ramię. Liliputy przestawiły statyw z rurą i celowały teraz w grupę policjantów, stłoczonych u wylotu uliczki. Wskazał palcem w górę.

– Co to może być, do diabła? – spytał poirytowany. – Niech pan zrobi zdjęcie, Lee.

Fotograf siłą instynktu podniósł aparat i spojrzał we wskazanym kierunku.

– Ale co mam fotografować?

– To coś przed oknem Murpheya.

– Nic nie widzę...

– Nie widzi pan tego przedmiotu, szybującego w powietrzu tuż przy oknie?

– Prawdopodobnie rój komarów i nic więcej – wzruszył ramionami reporter. – Zawsze się zbierają w pobliżu światła. W tym roku to prawdziwa plaga.

– Jakiego znów światła?

– No cóż... – mruknął reporter.

Thurlow zdjął okulary. Cylinder zniknął. Na jego miejscu pojawiło się jakby zagęszczone powietrze, w którym widoczne były lekkie ruchy. Przez powietrze można było dojrzeć ścianę domu. Kiedy założył szkła, cylinder był znowu widoczny; dwie lilipucie sylwetki także. Tym razem rura została skierowana na główne drzwi biurowca.

– Jest! – krzyknął ktoś z lewej strony.

Tom Lee rzucił się naprzód, omal nie przewróciwszy Thurlowa. Policjanci utworzyli wokół wejścia półkole, trzymając broń gotową do strzału. Gdy w drzwiach budynku ukazał się wysoki, barczysty mężczyzna, Thurlow momentalnie pozostał sam. Wszyscy pobiegli w stronę biurowca.

Podniósł dłoń, by osłonić oczy przed oślepiającym błyskiem flesza. Tom Lee nie próżnował. Uwijał się wokół Murpheya, fotografując go z każdej strony pod każdym z możliwych kątów. Lampa błyskowa zalewała zbiegowisko upiornym blaskiem. Thurlow zaczął mrugać. Z oczu poleciały mu łzy.

Policjanci skupili się wokół Murpheya. Ktoś założył mu kajdanki i skutego poprowadzono w stronę karetki więziennej. W drodze do samochodu więzień podniósł głowę, rozejrzał się i dostrzegł Thurlowa. Małe oczy, ledwie widoczne w czerwonej, nalanej twarzy sprawiały wrażenie szczególnie żywych. Nie było w nich żadnego strachu.

– Andy! – krzyknął pojmany. – Zajmij się Ruth! Słyszysz? Masz się nią zająć!

Murphey wyróżniał się nie tylko wzrostem. Wśród całej rzeszy otaczających go ludzi w hełmach on jeden miał odkrytą głowę. Wkrótce został wepchnięty do karetki

więziennej, co uwiecznił Tom Lee na swoim filmie. Fotograf pracował bez wytchnienia do ostatniego momentu.

Thurlow nabrał w płuca powietrza. Atmosfera była jak naładowana. Odór ludzkiego stada mieszał się ze smrodem spalin samochodów policyjnych, szybko opuszczających miejsce zajścia. Doktor przypomniał sobie o swym dziwnym widzeniu, lecz kiedy spojrział w stronę okien, cylindra już nie było.

Powoli na ulicę powracała cisza. Gdzieś w dali słychać było ostatnie odgłosy odjeżdżających wozów. Koszmar rzucanych gardłowym głosem komend, wyjących silników i jaskrawego światła reflektorów powoli mijał, aż ostatecznie zniknął.

Do Thurlowa podszedł policjant.

– Sędzia okręgowy prosił mnie, bym przekazał panu wyrazy wdzięczności, doktorze. Powiedział także, iż za parę godzin będzie pan mógł rozmawiać z Murpheyem. Gdy tylko zakończy się przesłuchanie.

Thurlow zwilżył wargi.

– Dziękuję – mruknął. – Pójdę tam jutro rano.

Policjant podbiegł do oczekującego wozu, wskoczył do środka i zamknął drzwi. Zawył motor, pisnęły opony i samochód ruszył pustą ulicą; za nim drugi. Thurlow ruszył w kierunku auta. Tom Lee dostrzegł go i zamachał ręką.

– Doktorze! – krzyknął jeszcze z daleka. – Czy to prawda, co mówił Mossman? Że Murphey nie chciał się poddać aż do chwili, gdy pan tu przyszedł?

Thurlow kiwnął twierdząco głową. Pytanie wydawało mu się pozbawione jakiegokolwiek

znaczenia, jakby zostało zrodzone z tej samej nierzeczywistości, w której tkwił uwięziony przez ostatnie minuty.

Tom Lee zapisywał pilnie w notatniku.

– Czy nie przyjaźnił się pan kiedyś z jego córką?

– To prawda – rzekł doktor głosem, który jego zdaniem należał do kogoś innego.

– Widział pan ofiarę?

Thurlow potrząsnął głową.

Lee chrząknął, po czym włożył notatnik do kieszeni.

– Jak pan sądzi, co to mogło być? To co, pana zdaniem, wisiało przy oknach biurowca Murpheya?

Psycholog spojrzał uważnie na tęgiego, choć całkiem zwawego reportera. Spojrzał mu prosto w twarz, zmierzył wzrokiem grube wargi i małe mądre oczka. Ciekaw był, w jaki sposób ten człowiek zareagowałby na opis tego, co widział. Bezwiednie skierował wzrok w stronę okna. Tym razem było tam zupełnie pusto. Nic nadzwyczajnego. Nagle poczuł przenikliwy ziąb nocy. Fotograf mówił z lekkim akcentem, pochodzącym z dialektu, który doktorowi zawsze działał na nerwy.

– Nie wiem – odparł po chwili. – Przypuszczam... przypuszczam, że było to odbicie światła reflektorów, jakiś refleks czy coś w tym rodzaju.

– Dziwię się, że przez te okulary jest pan w stanie w ogóle cokolwiek dostrzec – zauważył Lee. – I to nocą.

– Tak – potwierdził markotny Thurlow. – A może ma to jakiś związek z grubymi szklami, jakie noszę?

– Chętnie spytałbym pana jeszcze o parę rzeczy, doktorze. Może pojedziemy do Turków. Mają otwarte przez całą noc. Przy kuflu piwa...

– Nie – Thurlow stanowczo pokręcił głową. – Chcę się wyspać. Może rano. Fotograf roześmiał się.

– Rano jest właśnie teraz, doktorze. A poza tym pół godzinki chyba pana nie zbawi.

Thurlow odwrócił się jednak i ruszył w stronę samochodu, machając niemrawo ręką. Słowa Murpheya "Zaopiekuj się Ruth"¹ tkwiły w jego świadomości, niczym rozgrzany do czerwoności kamień. Wiedział, że musi odszukać Ruth i ofiarować jej wszelką możliwą pomoc.

Rozdział szósty

Kelexel siedział w samym centrum dużego pomieszczenia. On także czuł to dziwnie niepokojące, groźne poruszenie. Wokół siedzieli scenarzyści, reżyserowie oraz ich współpracownicy. Oprócz nich przyszli także ludzie z innych wydziałów, którzy mieli wolne, a interesowali się najnowszym dziełem Fraffina.

Sam dyrektor obejrzał już taśmy cztero-, pięciokrotnie. Omówił pożądane elementy akcji, dokonał cięć, przesłón i wszelkich technicznych subtelności. Teraz oczekiwano powtórnego odtworzenia pierwszego epizodu. Fraffin stał na dole, przy scenie, otoczony członkami swego sztabu. Bogato gestykulując objaśniał swe wyobrażenia na temat tego, co było jeszcze do zrobienia.

Kelexel poczuł słaby zapach ozonu. Woń pochodziła zapewne z niewidzialnego pola pantovivoru, oplatającego scenę i widownię nitkami linii sił. Badacz spędził w kre-ocentrum dwa dni robocze, obdarzony przywilejem obserwowania kadr artystycznych i zespołu techników przy ich codziennej pracy. W końcu gdzieś w ciemności dobiegł go głos.

– Montujemy.

Ktoś chrząknął. Pośrodku sceny zajaśniało światło.

Kelexel poruszył się w nerwowym oczekiwaniu i zajął dogodniejszą pozycję. Wiecznie ten sam śmieszny początek – pomyślał.

Światło było jakieś nieokreślone, rozmyte i bezkształtne, lecz w końcu z świetlistej mżawki uformowała się latarnia mleczna. W jej blasku majaczył kawałek trawnika, wygięty łuk podjazdu do garażu, w tle zaś można było dostrzec upiornie szarą ścianę domu tubylca. Ciemne okna z prymitywnego szkła połyskiwały niby czyjeś tajemnicze oczy. Gdzieś w trawie słychać było cykanie świerszczy. Wtem skądś z tyłu dobiegło go dyszenie. Towarzyszyły mu jakieś głuchoe odgłosy, zbliżające się w oszalałym rytmie ku widzom.

Kelexel odczuwał realizm, z jakim pantovivor przedstawiał wszelkie walory oryginału. Wszystko było tak rzeczywiste, jak gdyby naprawdę uczestniczył w przebiegu akcji, śledząc ją nieco z boku i trochę z góry. W powietrzu unosił się zapach wilgotnej trawy. Jego twarz owiewał chłodny nocny podmuch. Przez jego członki przebiegł strach. Z zanurzonej w ciemności sceny powiało grozą; chwyciła go silnym uściskiem. Kelexel musiał sobie ponownie uprzytomnić, że to tylko kunsztownie spreparowana historyjka, że nic nie dzieje się w rzeczywistości. Przynajmniej nie dla niego. A jednak przeżywał paniczny strach owego stworzenia, strach przechwycony i odtworzony przez cały sprzęt operatorów.

W polu widzenia pojawiła się teraz biegnąca sylwetka. To przez ogród biegła kobieta, a zielona suknia wydymała się wokół jej bioder. Ciężko oddychała, zmęczona ucieczką. Bose stopy wybijały na świeżo przystrzyżonym trawniku głuchy rytm, później zaczęły klaskać o kamienne płyty podjazdu. Prześladowca, potężnie zbudowany, grubokościsty mężczyzna o okrągłej twarzy, trzymał w prawej dłoni sztylet. W mętnej poświacie latarni ostrze lśniło srebrzyście. Z twarzy kobiety emanowały przerażenie i śmiertelna groza.

– Nie! Na Boga, nie! – wydyszała.

Kelexel wstrzymał oddech. Choć widział tę scenę nie po raz pierwszy, ciągle od nowa, przeżywał ów akt przemocy. Powoli zaczynał rozumieć zamierzenia Fraffina. Ramię uzbrojone w długi sztylet uniosło się, gotowe zadać cios...

– Cięcie!

Pantovivor wygasł. Wszystkie odgłosy, zapachy, emocje rozwiały się, rozplynęły. Pozostała pustka. Zupełnie jakby ktoś zrzucił go ze skały. Kelexel pojął w końcu, do kogo należał ten głos i poczuł nagłą falę nierozsądnej wściekłości, wywołanej postępowaniem Fraffina. Potrzebował chwili, by odzyskać orientację, później znów popadł w stan głębokiej frustracji.

Na sali zapalono światło. Kelexel zamrugał i rozejrzał się wokół. W empateatrze panowała dziwna cisza. Dopiero gdzieś daleko z przodu, tuż przy scenie Fraffin i jego ludzie stali, zajęci cichą dyskusją.

Badacz nie mógł opanować rozgoryczenia. Nie chciał, by w ten sposób pozbawiono go uczestnictwa w tym wydarzeniu, mimo że wiedział, jak rozwinię się bieg wydarzeń.

Potrząsnął głową. Czuł się dziwnie zmieszany, podniecony. Próbując się opanować, zaczął przyglądać się długim rzędom foteli. W łagodnym blasku górnego oświetlenia wszystko wyglądało niczym szachownica z kolorowymi figurami. Prawie wszyscy obecni nosili mundury, których barwy odpowiadały rodzajowi sprawowanej funkcji: czerwony kolor zastrzeżono dla pilotów, pomarańczowy dla ekip zdjęciowych, zielony dla personelu reżyserek, żółty dla techników i strażników, niebieski dla najbliższych Fraffinowi manipulatorów, podreżyserów oraz subdyrektorów.

Grupka spod sceny rozeszła się. Na rampę wszedł Fraffin – mały, chudy człowieczek w czarnym kitlu. Spojrzał w stronę widowni. Jego oczy zdawały się wczepiać w Kelexela.

Badacza przebiegły ciarki. W głowie podniosły się alarmujące myśli. Wydawało mu się, że dyrektor zaraz zakrzyknie: "Patrzcie, tam siedzi żałosny szpieg! To on, pojmany w naszą sieć!" W empateatrze zapanowała kompletna cisza. Spojrzenia wszystkich podążyły w stronę rampy, uważne i pełne oczekiwania.

– Muszę raz jeszcze podkreślić – rzekł Fraffin – iż naszym celem jest subtelność.

Przerwał na moment, ponownie spojrzawszy na Kelexela. No tak – pomyślał – nasz badacz zaczyna się powoli bać. Strach wzmacnia instynkt seksualny. A przecież widział córkę ofiary. Młoda kobieta z rodzaju tych, które potrafią zafascynować Chemów: egzotyczna, nie za krzepka, powabna, z oczyma zielonymi niczym szmaragdy. Kiedy o niej pomyśli, musi się podniecić. Jeszcze parę dni, a będzie prosił, by pozwolono mu zbadać pewną tubylczą kobietę... Oczywiście, dostanie zgodę.

– Nie możemy dopuścić do tego, by widzowie kierowali swą uwagę na cokolwiek poza projekcją – ciągnął dalej Fraffin. – Nie możemy też przyprawić widza o trwogę. Powinien rozkoszować się historyjką; nie może myśleć, że jest właśnie tym, którym się manipuluje. Robimy tu coś więcej, niż tylko psychologiczny spektakl gwoli własnej przyjemności.

Kelexel czuł, że z wszystkiego, co się tu stało, zrozumiał zaledwie połowę.

Konieczność muszę dokładniej zbadać tych tubylców – pomyślał. – Być może istnieją pewne rzeczy, które tylko w ten sposób dają się poznać. Jak gdyby ta myśl była kluczem do zamkniętych drzwi pokusy, Kelexel stanął nagle wobec wyimaginowanych obrazów projekcji Fraffina, w których główną rolę grała tubylcza kobieta. Jej imię brzmiało tak egzotycznie... Ruth. Rudowłosa Ruth.

Miała w sobie coś z Suhi, a te z kolei były znane z erotycznych rozkoszy, jakich dostarczały Chemom. Kelexel przypomniał sobie pewną Suhi, którą kiedyś posiadał. Niestety, obraz szybko wyblakł i stał się nieprzejrzysty. Było tak zawsze ze wszystkimi śmiertelnikami, gdy tylko usiłowali dotrzymać kroku nieskończonej długości istnienia Chemów.

Kto wie, może należy uczynić z tej Ruth obiekt bliższego badania – zamyślił się. – Dla ludzi Fraffina sprowadzenie jej tutaj nie przedstawia żadnej trudności.

– Subtelność – ciągnął główny kreator – to najistotniejsza cecha każdej projekcji. Widzów należy utrzymywać w tym stanie świadomości, który jest wolny od jakichkolwiek obciążeń. Publiczność powinna spoglądać na nasze dzieła niczym na taniec, nierealny w tym sensie, w jakim realne jest życie Chemów; istniejący na zasadzie lustrzanego odbicia jakiejś bajki. Ten cel nie może zginąć pod naporem akcji i dramaturgii.

Fraffin otulił się szczelniej swym czarnym kitem, po czym zszedł ze sceny. Przez cały czas nie spuszczał wzroku z Kelexela i teraz, gdy podążał w stronę swych apartamentów, odczuwał coś w rodzaju głębokiego zadowolenia, połączonego z rozbawieniem. Tym badaczem można manipulować równie łatwo, jak tubylcami – mruknął. Niemal można mu współczuć...

Spotkawszy się po raz pierwszy z pomysłem konfliktów osobistych Kelexel sprawiał wrażenie człowieka, którego ta idea napawała głębokim niesmakiem. Lecz gdy tylko ujrzał próbny pokaz, od razu zatracił się we współodczuwaniu z tubylcami.

Jakże łatwo utożsamiamy się z indywidualną przemocą – westchnął w duchu dyrektor. – Ta głęboka identyfikacja pozwala wysnuć wniosek, że prawdopodobnie w przeszłości sami czyniliśmy coś podobnego. Myśl ta była tak szczególnie oryginalna, iż Fraffin postanowił doprowadzić swe rozważania do końca.

Wszedł do ciepłego, cichego salonu i od razu zatopił się w niekończącym się paśmie wspomnień. Nieskończona głębia przeszłych doświadczeń przeraziła go nagle. Czuł, że znajduje się na krawędzi zatrważających odkryć; obawiał się monstrum świadomości, już od wieczności czyhającego na swą ofiarę. Były tu rzeczy, których wolałby nie oglądać. – Tak – pomyślał – być nieśmiertelnym oznacza rozwijać sztukę moralnej eutanazji.

Rozdział siódmy

Pochylony nad kierownicą Thurlow palił fajkę. Samochód stał zaparkowany, okulary leżały na fotelu obok, a mężczyzna spoglądał przez strugi deszczu, przesłaniające wieczorne niebo. Oczy mu łzawiły i rozpryskujące się na szybie krople wody widział jak przez mgłę, zupełnie rozmyte.

Samochód był już dość stary, miał osiem lat i przydałby się nowy wóz, lecz Thurlow postanowił wykorzystać sposobność, aby zaoszczędzić nieco pieniędzy na własne mieszkanie lub mały domek. Podjął to postanowienie, gdy jeszcze myślał, że poślubi Ruth. Pomysł stał się nierealny, ale trudno było zerwać z dawnymi przyzwyczajeniami, toteż z uporem maniaka nadal zbierał grosz do grosza.

Czemu chce się ze mną spotkać? – zastanawiał się. – I dlaczego tutaj, w ich dawnym miejscu schadzek? Po co ta cała tajemniczość? Od pamiętnej nocy, gdy popełniono morderstwo, minęły już dwa dni, lecz on ciągle nie mógł powiązać wszystkich wydarzeń w trzymającą się kupy całość. Psychotyczna gadanina Murpheya oraz gwałtowne reakcje miasteczka na morderstwo były niczym dwa młyńskie kamienie, obracające się w jego mózgu.

Thurlow przeżył szok, gdy stwierdził, że opinia publiczna najchętniej wysłałaby zbrodniarza w ślad za jego nieszczęsną ofiarą. Reakcja ludności była jednak tak potężna jak ulewa, która właśnie przeciągnęła nad miastem.

Teraz zza chmur powoli wychodziło słońce, kąpiąc cały nieboskłon w krwawopomarańczowej poświacie. Z drzew zwisały wilgotne liście, nad pokrytą błyszczącymi kałużami szosą zawisły cienkie pasma mgły. W małym podmiejskim lasku słychać było ćwierkanie szpaków, w wysokich trawach na poboczu cykały świerszcze.

Jako psycholog Thurlow wiedział oczywiście, dlaczego opinia publiczna domaga się linczu, lecz widząc niemal u wszystkich urzędników te same reakcje, nie potrafił ukryć przerażenia.

Pomyślał o wszystkich przeszkodach, jakie mu stawiano, byleby tylko uniemożliwić przeprowadzenie u Murpheya badania psychiatrycznego. A przecież sędzia okręgowy, prokurator George Paret oraz wszyscy pozostali, którzy mieli tu coś do powiedzenia, dowiedzieli się w swoim czasie, że Thurlow przewidział kryzys nerwowy tego człowieka. Ten kryzys Adela Murphy musiała okupić życiem.

Gdyby jednak uznali słuszność jego diagnozy, musieliby uznać mordercę za niepoczytalnego, co w świetle prawa stanowiło okoliczność łagodzącą. W każdym razie nie mogliby skazać Murpheya na karę główną.

Paret odkrył swe karty w chwili, gdy na biegłego sądowego powołał bezpośredniego przełożonego Thurlowa, doktora Levoya Whelye'a. Dyrektora Państwowej Kliniki Psychiatrycznej w Moreno znano powszechnie jako tego, którego opinie zawsze są całkowicie zgodne z życzeniami prokuratury. Także tym razem doktor Whelye postąpił zgodnie z życzeniem oskarżyciela, uznając Murpheya w pełni odpowiedzialnym za swe czyny.

Thurlow spojrział na zegarek. Bezużyteczny. Stał o dwunastej czternaście. Obecnie, sądząc po wysokości słońca, powinna dochodzić siódma. Niedługo zacznie się ściemniać. Co tak długo zatrzymywało Ruth?

Nagle poczuł przyływ odrazy. Po co te wszystkie tajemnice, czemu się tak kryć z tym spotkaniem? Czyżby wstydziła się publicznie pokazać w moim towarzystwie? A może to ja się wstydzę? Przybył tu prosto z kliniki, bezpośrednio po rozmowie ze swym szefem, który dość uporczywie usiłował zniechęcić go do wdawania się w sprawę Murpheya.

– Tym razem powinien pan zapomnieć o swej funkcji biegłego sądowego, drogi doktorze –

mówił Whelye. – Proszę pomyśleć o swym osobistym uwikłaniu w tę historię. Nie potrafi pan być bezstronny. Pańska dawna przyjaciółka, jej ojciec...

Gdy się oceniało rzecz dość powierzchownie, w tych argumentach kryło się nieco rozsądku, każdy musiał to przyznać. Lecz motywacja Whelye'a była znacznie głębsza: on także wiedział o diagnozie, którą postawił Thurlow jeszcze przed całym zajściem, gdy sprawował nad oskarżonym opiekę lekarską. Diagnozę wpisano do akt i w każdej chwili można było podważyć opinię, jaką wydał dyrektor. Niezbyt to licowało z jego lekarską biegłością. Whelye był cholernym oportunistą.

Burza przegnała upał. Powietrze było chłodne i wilgotne. Thurlow wyjął fajkę z ust, po czym rozejrzał się. Usiłował sobie przypomnieć wszystko, co wiedział o zamordowanej. Adela Murphey, którą znał, wyblakła w świetle swych nowych wizerunków. Rysy jej twarzy zaczynały stawać się niewyraźne, odchodzić w niepamięć w takt drżenia liści, odmierzającego przemijanie wszelkich rzeczy. W jego pamięci istniała teraz jako zdjęcie policyjne. Kolorowa fotografia złożona w aktach sędziego okręgowego. Rude włosy, tak podobne do włosów córki, na poplamionych betonowych płytach podjazdu, bezbarwna, bezkrwista cera... Tyle pamiętał.

Pamiętał także wypowiedź Sary French, żony pewnego lekarza, mieszkającego w domu po sąsiedzku. Przeczytał jej relację w protokole sprawy, toteż mógł sobie dobrze wyobrazić wszystko, co wydarzyło się owej nocy.

"Adela... pani Murphey wybiegła przez drzwi do salonu. Przez taras przedostała się do ogrodu. Słyszałam odgłosy kłótni, a potem ostry krzyk, dlatego podeszłam do okna sypialni właśnie w chwili, gdy wybiegła z domu. Ubrana była jedynie w cienką koszulę nocną koloru zielonego. Biegła boso. Później wypadł z salonu Joe Murphey. Miał w ręku ten potworny nóż... sztylet z Malajów. Widziałam jego twarz bardzo dokładnie. Wyglądał tak, jak zawsze, gdy ma napady wściekłości. Joe bywał bardzo popędliwy. Potrzebował przebiec niecałe dwadzieścia kroków, by dopaść swą ofiarę. Stałam tak, osłupiała z przerażenia i liczyłam ciosy. Sama nie wiem dlaczego... po prostu liczyłam. Pchnął ją tym sztyltem siedem razy. Siedem razy."

Adela padła na beton i tak już pozostała, z włosami rozłożonymi niczym wachlarz... Tak utrwaliły jej obraz policyjne aparaty fotograficzne. Tymczasem żona lekarza stała jak przyrośnięta do okna, przyciskając dłonią usta.

"Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam wykrztusić nawet jednego słowa. Mogłam się tylko przyglądać".

Joe Murphey rzucił sztylet na trawnik, po czym starannie omijając szybko powiększającą się kałużę krwi obszedł zwłoki długim łukiem i ruszył na ulicę. Sarah French słyszała, jak zapuszczał silnik samochodu. Zaraz potem odjechał. Dopiero wówczas odzyskała swobodę ruchu. Zadzwoiła na pogotowie.

– Andy?

Czyjś głos wyrwał go z zamyślenia. Naturalnie, to przecież Ruth. Obrócił głowę.

Stała po lewej stronie, nieco z tyłu. Szczupła kobieta w czarnej jedwabnej sukni. Rude włosy miała szczesane do tyłu i zawiązane na karku. Jej szarozielone oczy spoglądały nań z wyrazem oczekiwania, może lekkiego zawodu.

Wysiadł z wozu. Wciągnął do płuc świeże, wilgotne powietrze.

– Nie słyszałem twojego samochodu.

– Bo przyszłam. Dlatego się spóźniłam. Słyszał, jak tłumiony płacz ścisła jej gardło. Podeszedł i ujął ją za rękę.

– Ruth... Sam nie wiem, co powinienem powiedzieć...

– W takim razie zamilcz. I tak już wszystko zostało powiedziane. Nie nosisz już tych specjalnych okularów? – spojrzała na niego pytająco.

– Do diabła z okularami – obruszył się. – Czemu nie chciałaś porozmawiać ze mną telefonicznie?

– Bo ojciec powiedział... – nie dokończyła. Zagryzła wargi i potrząsnęła głową. – Ach, Andy, on jest psychicznie chory, a przecież i tak skazą go na śmierć. Sama nie wiem, co powinnam czuć w stosunku do niego. Nie wiem.

Położył jej dłoń na ramieniu. Jakby tylko na to czekała, podeszła bliżej i przytuliła się do niego. Zaczęła szlochać. Bezradnym gestem gładził jej plecy.

– Chciałabym stąd odejść... – szepnęła.

– Co takiego? – przestraszył się.

Tego rodzaju zachowanie nie leżało w jej charakterze. Ta kobieta nie była podobna do tej, którą znał. Nie była już Ruth Murphey, lecz Ruth Hudson. Chciałby wydrzeć z pamięci wszystkie wspomnienia i po prostu postawić jej parę pytań, ale nie byłoby to dobre posunięcie. Mimo wszystko należała do innego mężczyzny.

– Nie wiem, co sądzić o mym ojcu – powtórzyła po chwili.

– Mógłbym ci w jakiś sposób pomóc? – spytał łagodnie.

Podniosła głowę z jego ramienia i cofnęła się.

– Znasz może Anthonego Bondellego? To nasz adwokat. Mówił mi, że chętnie by z tobą porozmawiał. Opowiadałam mu o twym raporcie na temat stanu zdrowia ojca... tym, co napisałeś wówczas, gdy ojciec podniósł fałszywy alarm pożarowy.

Jej twarz wykrzywił płaczący grymas.

– Andy, czemu odszedłeś? Potrzebowałam cię... Wszyscyśmy cię potrzebowali.

– Ruth, chyba pamiętasz, że twój ojciec nie chciał przyjąć ode mnie żadnej pomocy. W ogóle nie chciał mieć ze mną do czynienia.

– Wiem. Znienawidził cię z powodu diagnozy, jaką wówczas postawiłeś, ale przecież potrzebował cię.

– Nikt nie chciał mnie usłuchać wtedy, nikt nie chce mnie wysłuchać dzisiaj.

– Bondelli sądzi, że mógłbyś mu pomóc. Chce przygotować linię obrony, opierając się na teście o niepoczytalności ojca, dlatego chętnie zasięgnąłby twojej rady. Prosił mnie, bym podczas rozmowy z tobą...

Wyjęła z torebki chusteczkę i otarła łzy.

Więc to jest głównym motywem – przemknęło mu przez myśl. – Czepia się mnie jak ostatniej deski ratunku. Odwrócił twarz, by ukryć wzbierający gniew. Przez moment patrzył przed siebie, gdy nagle uświadomił sobie, że przy grupie drzew coś się dzieje. Wyraźnie widział jakiś ruch. Przypominało to unoszący się w powietrzu rój komarów, lecz wyglądało nieco inaczej. Gdzie zostawił okulary? Ach, tak! W samochodzie na bocznym siedzeniu.

Rój komarów uniósł się w górę, po czym jak gdyby rozpląnął się w powietrzu. W tej samej chwili jego wyczulone zmysły pochwyciły coś w rodzaju wewnętrznego naporu. Mógł to być jakiś odgłos, lecz przecież niczego nie słyszał. Sprawiało wrażenie obmacywania nerwów; bezgłośniego lecz wyczuwalnego. Czyżby to było to samo, co widział przy oknach biurowca Murpheya? A jeśli nie, to co?

– Pomożesz? – usłyszał głos Ruth.

Jakże nienawidził tego płaczącego tonu!

– Tak, na ile będzie mnie stać.

– Ten człowiek w więzieniu jest... jest tylko wydrażoną kukłą – rzekła bezbarwnie, bez emocji, prawie bez żadnego wyrazu. – To nie mój ojciec. Tylko tak wygląda, ale w istocie nim nie jest. Mój ojciec umarł... umarł już dawno temu, lecz my nie spostrzegliśmy, co się stało. Dopiero teraz... To wszystko.

– Zrobię, co będę mógł – zapewnił – ale...

– Wiem, że niewiele pozostało nadziei. Wiem, co myślą ludzie. Ta, którą zabił ten człowiek, była moją matką...

– Ludzie czują, że jest psychicznie chory – powiedział, mimo woli wpadając w pouczający ton.

– Orientują się, słuchając w jaki sposób mówi, poznają to z jego zachowania. Niestety, choroba psychiczna jest czymś, na co trudno przystać, z czym trudno się pogodzić. Na szaleństwo nałożono tabu. Chory psychicznie jest w społeczeństwie ciałem obcym, jest kimś, kto przeszkadza i ludzie chcą się go pozbyć. Jego obecność rodzi zbyt wiele pytań, na które większość nie ma ochoty odpowiadać.

– Nie powinniśmy o nim rozmawiać – zaprotestowała z jakąś dziwną stanowczością w głosie. – W każdym razie nie tutaj. Poza tym nie jestem pewna, czy ma to jakikolwiek sens. Niestety, te wszystkie fachowe wyjaśnienia nie są w stanie mi pomóc.

– A co z Nevem? – spytał z niejakim wahaniem.

– Nev? – powtórzyła gorzko. – Już od trzech miesięcy nie żyjemy ze sobą. Mieszkam u Sary French, a teraz przeprowadziłam się do domu rodziców. Nev to był okropny błąd. Mały zachłanny człowiek!

Thurlow poczuł w gardle nagłą suchość. Nie mógł wymówić ani słowa. Nie był pewien, czy jest w stanie opanować rosnące emocje. W końcu odkaslnął i spojrzał w niebo.

– Za parę minut będzie zupełnie ciemno.

Jak idiotycznie pusto brzmiały te słowa. Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Andy, co ja najlepszego zrobiłam? Pogładził jej włosy.

– Przecież ciągle żyjemy... – mruknął. – Nadal jesteśmy sobą.

– Najtragiczniejsze w tym wszystkim jest to, że ów człowiek w więzieniu w każdej chwili gotów jest podać sensowne uzasadnienie swego czynu.

Po policzkach ciekły jej łzy, lecz głos był zupełnie spokojny.

– Uważa, że matka nie dochowała mu wierności. Wielu mężczyzn zamartwia się z tego samego powodu. Sądzę nawet, iż Nev także był zdolny do zazdrości.

Podmuch wiatru strząsnął z liści kropelki deszczu, które pobiegły w dół, zraszając ich oboje rześnistym opadem.

– Może się trochę przejdziemy? – zaproponowała.

– O zmroku?

– Przecież dobrze znamy drogę. Poza tym klub jeździecki oświetlił tory dla wieczorowych kursów.

– Wkrótce może zacząć padać.

– Wobec tego nie będzie widać, że płaczę.

– Ruth, wiesz... ja...

– Tylko pół godziny... jak dawniej.

Ciągle się wahał. Ten wieczór miał w sobie coś zatrważającego. Jakby jakieś niewidoczne ciśnienie strachu. Podszedł do samochodu, znalazł okulary i założył je. Potem rozejrzał się wokół. Tym razem nie dostrzegł żadnego roju komarów ani żadnych innych niepokojących oznak. Tylko to niezwykle dławienie.

– Nie będziesz potrzebował okularów – wzięła go pod rękę. – Chodźmy już.

Poszli wąską dróżką przez niewielkie zarośla, po czym wspięli się na pagórek, gdzie kasztany ocieniały trasę zjazdową klubu jeździeckiego. Na drzewach w dużych

odstępach rozmieszczono lampy. Światło nieśmiało prześwitywało przez gęste listowie.

Piaszczystą ścieżkę zwilżył deszcz, toteż łatwo było iść po utwardzonym, wilgotnym gruncie.

– Dzisiaj wieczorem mamy całą tę drogę wyłącznie dla siebie – rzekła Ruth. – Po ulewie nikt nie ma ochoty na konne przejażdżki.

Spojrzał na przyjaciółkę. Włosy spadały jej równo do ramion. W mętnej zielonkawej poświacie błyszczały tak jakby były przesycone wilgocią. Wszędzie wokół panowała cisza i nawet odgłos ich kroków jej nie zakłócał. Wilgotny piasek sprawiał, iż poruszali się nieomal bezszelestnie. Thurlow czuł się niemiło. Był to ów wiszący w powietrzu nastrój grozy; napór strachu. To śmieszne... miał wrażenie, jakby wokół czuł jakieś narastające "coś"... nie nazwane i nie ukonkretnione, lecz jednak realne.

– Chodziłaś w ciemności?

– Tak. Nigdy ci nie opowiadałam? Po deszczu jest takie dobre powietrze... – westchnęła głęboko.

Ścieżka klubu jeździeckiego prowadziła na małą łączkę, a potem skręcała w prawo. Na skraju łąki rozgałęziała się i lewa odnoga biegła w kierunku niewielkiego wzniesienia. Poszli w tę właśnie stronę. Z góry widzieli światła miasta. Teraz Thurlow jeszcze mocniej czuł tę przedziwną atmosferę. Nie, nie mógł się mylić. Lecz choć rozejrzał się dokoła, niczego nie zauważył.

Ruth podniosła ku niemu swą bladą twarz i oplótła mu rękę wokół szyi. Kiedy pochylił się, by ją pocałować, zapomniał o wszystkim, co jeszcze przed chwilą napawało go takim niepokojem. O naporze grozy, o swych obawach... Teraz liczył się tylko ten jeden moment. Odniósł wrażenie, jakby czas się cofnął. Ciepło jej warg, sposób, w jaki go dotykała, napełniały go coraz to bardziej nasilającym się zadziwieniem.

– Ruth, ja...

– Nic nie mów, Andy – położyła mu palec na ustach. – Czy nigdy nie chciałeś się ze mną przespać?

– Co? Ależ tak, i to nieraz, ale...

– Ale nigdy nie próbowałeś. Nie mogłeś znaleźć właściwego sposobu.

– Kochałem cię... – rzekł, czując się nagle bardzo niemiło. – A ponieważ darzyłem cię uczuciem, nie chciałem, by skończyło się jedynie na tarzaniu się na sianie. Chciałem z tobą żyć, mieć dzieci i w ogóle...

– Jaka ja byłam głupia!

– Co zamierzasz? – spytał nagle rzeczowym tonem. – Chcesz wystąpić o rozwód?

– Oczywiście. Ale potem...

– Po procesie?

– Tak.

– Na tym właśnie polega całe nieszczęście mieszkania w małym miasteczku – westchnął gniewnie. – Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, nawet jeśli to ich nie dotyczy.

– Jak na psychologa nie jest to jakieś epokowe odkrycie – rzekła tuląc się do niego jeszcze mocniej. Stali tak w milczeniu i Thurlow znów przypomniał sobie dziwny niepokój, wiszący w powietrzu. Tak, to jeszcze było.

– Ciągle myślę o matce. Kochała ojca...

Już otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz umilkł, ujrzawszy jakiś ruch. Niedaleko przed nimi spłynął z chmur dziwny przedmiot. Zbliżył się do nich na odległość około stu metrów. W końcu przystanął, kołysząc się lekko w powietrzu. Teraz Thurlow mógł dojrzeć z grubsza zarysy. Z zielonej, lekko fosforyzującej kuli wystawały cztery ruropodobne nogi. Na końcu jednej z nich wirował krąg światła w kolorach tęczy.

– Andy! To boli...

Dopiero teraz zauważył, że ścisła jej ramię. Zwolnił chwyt, lecz ujął ją za dłonie.

– Obróć się – szepnął. – Powiedz mi, co widzisz między nami a chmurami.

Spojrzała, marszcząc czoło. Obróciła się nieco i zapatrzyła gdzieś nad miastem.

– Gdzie?

– Nad nami, tu na wprost, przed chmurami.

– Nic nie widzę.

Dziwny obiekt zaczął się zbliżać. Teraz Thurlow mógł rozpoznać zarysy postaci, poruszających się wewnątrz kuli. Niewyraźne sylwetki otoczone były mętnozieloną, fosforyzującą poświatą. Efekt tęczy przy jednej z czterech nóg powoli się rozmywał.

– Co widzisz? – dopytywała się Ruth. – Co ci jest? Podniósł rękę i otoczył ją ramieniem. Czuł, że drży na całym ciele.

– Dokładnie tam – wskazał wolną ręką kierunek. – Spójrz tam... Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt metrów przed nami.

Pochyliła się do przodu i spojrzała, wyteżając wzrok zgodnie ze wskazówką.

– Naprawdę nic nie widzę. Tylko chmury.

– Hm... może te szkła nieco pomogą – podał jej okulary. On sam mógł dostrzec zarysy szybującego w powietrzu obiektu nawet bez okularów. Dziwna rzecz coraz bardziej zbliżała się do pagórka. Ruth nałożyła okulary.

– Tak... jest tam coś, ale bardzo zamglone, ciemne... Wygląda na słup dymu. Czy to nie jest rój owadów?

W ustach zupełnie mu wyschło. Coś uwięzło w krtani. Znowu nałożył okulary i obserwował powoli zbliżające się zjawisko. Postacie wewnątrz kuli mógł już dostrzec zupełnie wyraźnie. Doliczył się pięciu osobników. Miał wrażenie, że ich wielkie, szerokie oczy są skoncentrowane wyłącznie na nim.

– Andy?! Co się stało?

– Pewnie uznasz, że strzeliłem zbyt mocnego drinka. – Załamującym się głosem opisał to, co widział.

– A w środku siedzi pięciu mężczyzn?

– Może istotnie to mężczyźni, lecz jak na nasze wyobrażenia są zbyt mali. Jeśli się nie mylę... nie, to za trudne, by wyrazić słowami. Wyglądają jak gnomy, mają co najwyżej osiemdziesiąt... może dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu.

– Andy, przerażasz mnie.

– Sam się boję...

– Jesteś pewny, że to widzisz? – przycisnęła się do niego jeszcze mocniej. – Ja nie mogę nic dostrzec.

– Widzę to równie wyraźnie jak ciebie. Jeśli nawet jest to złudzenie, trzeba przyznać, że doskonale.

Efekt tęczy już znikł niemal zupełnie, pozostał jedynie jeden nieostry pasek błękitu. Obiekt

obniżył się. Oddalony o niespełna piętnaście metrów, szybował na tej samej wysokości, na jakiej znajdowało się dwoje ludzi.

– Może to jakiś nowy rodzaj helikopterów – usiłowała rozwikłać zagadkę Ruth. – Albo... Andy, ja nadal nic nie widzę.

– Opisz mi dokładnie, co widzisz w miejscu, gdzie wskazuję – uniósł ponownie rękę – dokładnie tam. Przecież musisz coś widzieć!

– Niewielkie zamglenie... po prostu pasemko mgły.

– Pracują na jakimś czworokątnym urządzeniu, posiadającym coś w rodzaju anteny – podzielił się tym, co sam dostrzegł. – Antena lekko promieniuje... w tej chwili ustawiają ją dokładnie w naszym kierunku.

– Boję się – drgnęła.

– Myślę, że powinniśmy jak najszybciej stąd odejść – rzekł. Chciał pociągnąć Ruth za sobą między drzewa, lecz nagle przekonał się, że stoi jak sparaliżowana.

– Nie... nie mogę się poruszyć – szepnęła. Słyszał, jak dzwonią jej zęby. Jego własne ciało sprawiało wrażenie jakby zostało замуrowane w betonie.

– Andy, nie mogę się ruszyć! – z jej głosu przebijała histeria. – Czy to coś jest tam jeszcze?

– Ustawiają swój sprzęt dokładnie na nas – wychrypiał. – To oni spowodowali, że nie jesteśmy w stanie się poruszyć. Naprawdę nadal nic nie widzisz? – Słyszał swój własny głos jak gdyby pochodzący od kogoś całkiem innego.

– Nie. Tylko biały obłoczek mgły, nic poza tym.

Pomyślał nagle, że ma do czynienia z upartą idiotką. Przecież każdy, kto ma oczy, musi widzieć dokładnie to, co on. Poczul, jak zalewa go fala gniewu. Dlaczego ta kobieta nie chce przyznać, że widzi to samo? Przecież mieli to niemal przed nosem. Nienawidził ją za ten tępy upór. Gdy zagryzł zęby z wściekłości, aż zaboląły go szczęki, uświadomił sobie irracjonalną gwałtowność swych emocji. Zaczął się zastanawiać nad tą reakcją. Jak mogłem przed chwilą nienawidzić Ruth? – zapytywał się w duchu. – Przecież ją kocham.

Ta myśl jakby uwolniła go z paraliżu; znowu mógł poruszać nogami. Powoli zszedł ze wzgórza, ciągnąc za sobą kobietę. Ruth była sztywna i ciężka, nieruchoma niczym kłoda drewna. Jej stopy bezwładnie wlokły się po ziemi, trawie i korzeniach drzew.

Ich ucieczka sprawiła, że stworzenia z kuli wzmożyły swą aktywność. Zaczęły nagle manipulować przy czworokątnym urządzeniu i w chwilę potem bolesny skurcz chwycił go w piersi. Każdy oddech pociągał za sobą okropny wysiłek; płuca rozsadzał mu ból. Nie rezygnował jednak z odwrotu. W jego ramionach leżała zupełnie nieruchoma, bezwładna Ruth.

– Andy... – wychrypiała z trudem. – Nie mogę oddychać.

– Nie poddawaj się – wydyszał.

Dotarł do podnóża wzniesienia. Tu, między drzewami, mógł już poruszać się nieco swobodniej, choć przezroczysta kula ciągle kołysała się w pobliżu, antena zaś była nadal wycelowana wprost na niego. Po kilku metrach i Ruth także zaczęła powłóczyć nogami. Obróciła się, po czym zbiegli razem ścieżką w dół. Z każdym krokiem odzyskiwali łatwość ruchu. Thurlow usłyszał w końcu ciężki oddech kobiety. W tych okolicznościach był to dobry znak. Nagle, jak gdyby zdjęto zeń jakiś potężny ciężar, poczuł się na nowo panem swych własnych mięśni. Oboje spojrzeli do tyłu.

– Już ich nie widać – stwierdził po chwili. Ruth zareagowała tak niespodziewanie, że zupełnie zbiła go z tropu.

– Co chciał pan w ten sposób osiągnąć, panie Thurlow? – syknęła wściekle. – Cała ta szopka tylko po to, by mnie przestraszyć?

– Widziałem dokładnie to, o czym ci mówiłem – starał się przemawiać spokojnym, rzeczowym tonem. – Być może ty tego nie widziałaś, lecz przecież czułaś to samo, co ja.

– Histeryczny paraliż... – fuknęła.

– ...który pochwycił nas oboje w tej samej chwili i w tej samej chwili nas opuścił? – dokończył.

– A dlaczegożby nie?

– Bo nie zmyśliłem sobie tego wszystkiego.

– Latające spodki! – zadrwiła.

– Nie... to znaczy, niewykluczone. W każdym razie wiem jedno: ja to widziałem.

Teraz on poczuł dławiący go gniew i do niego należał atak. Racjonalna część jego świadomości podpowiadała mu, że ostatnie minuty nie były wolne od szaleństwa i absurdu. Ale czyżby naprawdę należały do sfery złudzeń? Z pewnością nie! Potrząsnął głową.

– Kochanie, widziałem.

– Nie jestem żadnym "kochanie"!

– Ruth, nie dalej niż przed chwilą mówiłaś, że mnie kochasz. – Objął ją za ramiona i mocno wstrząsnął. – Czy naprawdę możesz tak łatwo uznać to za niebyłe? Czyżby istniał ktoś, kto sobie życzy, byś mnie znienawidziła?

– Co? – spojrzała nań ostro. W cieniu drzew jej twarz wyglądała jak rozmyta biała plama.

– Tam z tyłu – skinął głową w kierunku, skąd przybyli – poczułem nagle jakiś gniew, całkiem irracjonalną nienawiść w stosunku do ciebie. Lecz powiedziałem sobie, że skoro cię kocham, nie mogę cię nienawidzić. I w tej chwili odzyskałem władzę w nogach. Z kolei nienawiść odczuwałem w momencie, gdy skierowali na mnie swój sprzęt.

– Jaki sprzęt?

– Coś w rodzaju skrzynki, z której wystawała świecąca antena.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że te idiotyczne gnomy, czy cokolwiek, co jak sądzisz, widziałeś, zmuszały cię do odczuwania określonych uczuć!

– Takie odniosłem wrażenie.

– To najbardziej zwariowana historia, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się usłyszeć.

– Wiem, że brzmi to jak czyste szaleństwo, lecz właśnie takie odniosłem wrażenie. Chodźmy już do samochodu – ujął ją pod rękę.

– Nie ruszę się ani kroku dalej – Ruth odepchnęła go – dopóki mi nie wyjaśnisz, co tu się stało.

– Nie mogę ci wyjaśnić, bo sam nie wiem – odparł.

– Powiedz mi więc, jak mogłeś widzieć coś, czego ja nie spostrzegłam?

– Może to przez ten wypadek... chore oczy i okulary z polaryzującymi szklami.

– Jesteś pewien, że te promienie w laboratorium uszkodziły ci tylko oczy?

Stłumił gniew. Tak łatwo było się dać unieść atakowi wściekłości, lecz tak trudno było go opanować. Z wysiłkiem zmusił się do spokoju.

– Przez cały tydzień poddawali mnie najrozmaitszym badaniom – zaczął wyjaśniać zimnym, rzeczowym tonem. – W końcu stwierdzono, że system wymiany jonów w obrębie siatkówki uległ pewnym przeobrażeniom. To wszystko. Prawdopodobnie dlatego widzę to, czego inni nie mogą zobaczyć. Choć jako człowiek nie powinienem, mam tę możliwość.

Ponownie ujął ją pod rękę i pociągnął za sobą. Przez moment stawiała mu opór, ale w końcu ruszyła za nim.

– Lecz kim lub czym mogą być te... gnomy? – spytała po chwili milczenia.

– Nie wiem. Jedno, co do czego jestem zupełnie przekonany, to pewność, że są realne.

Przynajmniej w tym jednym musisz mnie obdarzyć zaufaniem.

Wiedział, że jest to żebrania o litość i złościł się z tego powodu, lecz w tej samej chwili Ruth znów przyłgnęła do niego mocniej.

– W porządku, Andy, wierzę ci. Widziałeś, co widziałeś. Powiedz mi tylko, co zamierzasz wobec tego przedsięwziąć?

Doszli do zarośli. Widać już było zaparkowany samochód.

– Sam nie wiem – rzekł, a po krótkiej przerwie dodał: – Czy ciężko przyszło ci uwierzyć? Milczała.

– To... bardzo trudne... – przyznała w końcu.

– Dobrze – mruknął. – A teraz pocałuj mnie.

– Co?

– Pocałuj mnie. Chcę się na własnej skórze przekonać, jak bardzo mnie nienawidzisz.

– Andy, jesteś...

– Uważasz, że to odpychające?

– Oczywiście, że nie...

– Świetnie.

Przyciągnął ją do siebie. Ich wargi spotkały się i choć przez moment stawiała opór, wreszcie uległa. Jej ręce splotły się na jego karku.

– Jeśli to nienawiść, chciałbym, żeby trwała wiecznie – rzekł, gdy już skończyli.

– Ja także... – ponownie przywarła do jego ciała. W skroniach czuł pulsującą krew. Nagłym ruchem oderwał się od Ruth.

– Niekiedy chciałabym, żebyś nie był tak cholernie pruderyjny – rzuciła cierpko. – Ale wtedy zapewne nie zdołałabym cię pokochać.

– A teraz podrzucę cię do domu – zgarnął z jej warg długie pasmo włosów. – Już późno.

– Nie chcę, żebyś wracał do siebie.

– Ale nie uważasz, że tak będzie rozsądniej?

– To prawda.

Wsiedli do samochodu. Thurlow zapuścił silnik i włączył światła. Całą uwagę skupił na kierownicy – musiał zakręcić i wyjechać na ulicę. Snop światła wyłuskał z ciemności brunatne pnie drzew, zaraz potem musnął lśniąca wstęgę asfaltu. Nagle światło zgasło. Motor jakby zakrztusił się i zamilkł. Andy'ego ponownie opadło przytłaczające uczucie bezsilności.

– Andy, co ci jest?

Thurlow nie musiał szukać zbyt długo. W miejscu, gdzie droga zniknęła za kępą zarośli, tuż nad powierzchnią ziemi migotały cztery tęczowe punkciki, a nad nimi fosforyzująca kula z czterema rurami. Obiekt kołysał się w powietrzu, odcinając im dojazd.

– Znowu tu są – wyszeptał podniecony. – Zaraz tu z przodu – wskazał ręką.

– Boję się!

– Bez względu na to, co się stanie, myśl tylko o jednym: nie nienawidzisz mnie, lecz kochasz. Dobrze to sobie zakarbuje w pamięci.

– Kocham cię... – powtórzyła słabym głosem.

Nie ukierunkowane na żaden konkretny przedmiot uczucie gniewu zwolna zaczęło się rozlewać po całym umyśle i ciele. Coś w rodzaju zapachu wściekłości, szukającej jakiegoś ujścia, lecz nie mogącej znaleźć punktu, na

którym mogłoby się skupić. Wkrótce jednak jego świadomość podszeptnęła mu, że to Ruth winna

być obiektem, gdzie należałoby wylać swą złość.

– Chciałabym... cię nienawidzieć... – wyszeptała.

– Kochasz mnie – odrzekł. – Nie zapominaj o tym.

– Kocham cię. Nie chcę cię nienawidzieć. Kocham cię. Thurlow podniósł zwiniętą w pięść dłoń i potrząsał nią parę razy w stronę zielonej kuli.

– Musimy nienawidzieć tych tam – wychrypiał – tych bandytów, którzy chcą nami manipulować.

Zadrżała.

– Nie... na... widzimy ich... – rzekła z wyraźnym wysiłkiem.

– Teraz mi już wierzysz?

– Wierzę.

– Czy samochód także mógł ulec histerycznemu paraliżowi?

– Nie. Ach, Andy, nie chcę cię nienawidzieć, nie chcę! – Ścisnęła jego rękę mocno, że aż syknął z bólu. – Co to za stworzenia? Kim są?

– Nie sądzę, by byli istotami ludzkimi – powiedział.

– Co powinniśmy teraz zrobić?

– Wszystko, co będzie w naszej mocy.

Światło koloru tęczy przeszło w błękit, później w fiolet, aż wreszcie w głęboką czerwień. Fosforyzująca kula zaczęła unosić się w górę i wkrótce znikła w ciemności. Napór nienawiści znikł wraz z nią.

– Już ich nie ma, prawda? – szepnęła Ruth.

– Tak.

– Światła znowu działają... – powiedziała.

Dopiero teraz to zauważył. Spojrzał na maskę, wrzucił automatycznie biegi i powoli ruszył z miejsca. Ruth z głębokim westchnieniem opadła na fotel.

– Wyłączyli światła i zgasili silnik – rzekła. – Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Możemy coś zrobić?

– Jeśli będziemy o tym krzyczeli na rogach ulic, wezmą nas za szaleńców. Nie mówiąc już o plotkach, jakie by poszły po mieście! Nas dwoje tutaj, w nocy...

Rzeczywiście, byli kompletnie bezradni, a cała ta historia tak absurdalna, że nikt w nią nie uwierzy.

– Andy? Dlaczego nic nie mówisz?

– Rozmyślam.

– Andy, czy nie można by znaleźć jakiegoś innego wyjaśnienia? Ciągle mam wrażenie, że to, co się tu stało, jest jakieś nierealne. Sądzę, iż silnik po prostu zgasł, a światła na moment się zepsuły. Przecież mogłoby się to zdarzyć ot tak, zupełnie przypadkowo.

– Czego ty ode mnie chcesz? – spytał nieco zirytowanym tonem. – Czy mam w tej chwili powiedzieć, że po prostu łyknąłem nieco przed tym spotkaniem, albo że miewam omamy?

– Nie, oczywiście, że nie – położyła mu dłoń na ustach. – Andy, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

– Co mianowicie?

– Moglibyśmy jechać przez Manchester Avenue, gdzie dawniej mieszkałam z Nevem. Mam tam pewne rzeczy, które chciałabym zabrać, ale nie chcę iść sama. Dotrzymasz mi towarzystwa?

– Teraz?

– Jeszcze nie jest zbyt późno. Nev być może pracuje. Ojciec mianował go szefem od prowadzenia interesów, jak zapewne wiesz. Czy nikt ci jeszcze nie powiedział, że głównie dlatego chciał mnie poślubić? Zależało mu na firmie, a nie na mnie.

– Chcesz, żeby się dowiedział, co nas łączy? – spytał z pewnym wahaniem.

– A czegoż to mógłby się dowiedzieć, czego nie wiedział wcześniej?

– Skoro tak...

W milczeniu jechali w stronę miasta. Opony piszczały na mokrym asfalcie, z naprzeciwną nadjeżdżały pojedyncze samochody i światła oślepiały ich raz po raz. Thurlow poprawił okulary. Musiał widzieć na tyle dobrze, by prowadzić, a jednocześnie mieć odpowiednią osłonę przed ostrym blaskiem reflektorów. Gdy wjeżdżali już do miasta, Ruth odezwała się.

– Nie chcę, żeby doszło do jakiejś kłótni między wami. Chyba będzie lepiej, jeśli zostaniesz w wozie. Gdy będę potrzebowała pomocy, zawołam.

– Jak sobie życzysz. W każdym razie wiedz, że chętnie się z tobą przejdę. To żaden problem.

– Ale też i nie konieczność. Z pewnością nie będzie chciał mnie zatrzymać, gdy mu powiem, iż czekasz na dole.

Wzruszył ramionami. Ruth musiała w międzyczasie nieźle poznać charakter Neva Hudsona. Mimo tych uspokajających myśli pozostał pewien niepokój. Thurlow nie mógł się uwolnić od podejrzeń, że wydarzenia ostatnich dni oraz niesamowite przeżycia dzisiejszego wieczora pozostają ze sobą w jakimś związku.

– Dlaczego wyszłam za niego? – spytała Ruth w zadumie. – Ciągłe nie umiem sobie odpowiedzieć. Bóg jeden wie, lecz jeśli chodzi o mnie, nie mam najmniejszego pojęcia. Wydaje się, że wszystko zaczęło się w chwili, gdy... – Przerwała. – Po tym, co dzisiaj przeżyłam, zastanawiam się, czy w ogóle ktokolwiek z nas zdaje sobie sprawę z tego, co robi i dlaczego.

Spojrzała z boku na Thurlowa.

– Czemu się to wszystko stało, Andy?

O to właśnie chodzi – pomyślał. – Jednak pytanie nie brzmi: "Kim są te stworzenia?" lecz raczej "Czego chcą?" Dlaczego te dziwne stwory mieszają się w nasze życie?

Rozdział ósmy

Fraffin spojrział ponuro na widniejącą w powietrzu twarz Lutta, osoby odpowiedzialnej za wszystkie środki transportu powietrznego.

Lutt, Chem o szerokim obliczu, cerze koloru stali, był zawsze świadomy rzeczy i niezwykle konkretny w podejmowaniu decyzji. Jako kontroler znakomicie wywiązywał się ze swych zadań, lecz właśnie jego zalety doprowadziły do fiaska w przedsięwzięciu, jakim go obecnie obarczono. Najwyraźniej subtelność pomyliła mu się z rozwagą. Chwila ciężkiego milczenia wystarczyła, by Lutt zorientował się, jak bardzo niezadowolony jest dyrektor. Fraffin wyczuwał plecami delikatny napór konturowego fotela, zaś przed sobą miał srebrną sieć pantovivoru, rozpiętą w całym pomieszczeniu na podobieństwo pajęczyny. Tak, Lutt jest bardzo podobny do tego urządzenia: znakomicie wywiązuje się ze swych zadań. Pod warunkiem, że ktoś go odpowiednio stymuluje.

– Nie powiedziałem, byś ochraniał immunów, lecz byś przywiódł tutaj tę kobietę – rzekł Fraffin, skubiąc podbródek. – I to natychmiast.

Jeśli się pomyliłem, pokornie błagam o wybaczenie – przemówiła projektowana przez łącza pantovivoru twarz.

— – Lecz muszę przyznać, że działałem w oparciu o dyrektywy dotyczące immunów. Gdy oddałeś jego kobietę komu innemu...

– Ten człowiek dostarczył mi pożytecznej rozrywki – Fraffin machnął ręką. – Poza tym był dla nas chwilowo ważny jako osoba, na której badaliśmy reakcje, przyznaję. Ale to przecież sprawy marginalne. Tymczasem zwrócił się do mnie Kelexel. Poprosił, by wolno mu było zbadać tubylczą kobietę i podał konkretne nazwisko. Należy ją tutaj sprowadzić w nie naruszonym stanie. To ostatnie zastrzeżenie nie dotyczy jednak pozostałych tubylców, którzy być może zechcą ci uniemożliwić spełnienia tego zadania. Jasne?

– Jasne – rzekł Lutt. W jego głosie słychać było całkowite oddanie. Jednocześnie pobrzmiwała w nim troska. Nie bez powodu; zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, jakie konsekwencje mogły go czekać w przypadku, gdyby popadł w niełaskę. Najstraszniejszą była utrata posady – tego źródła bezmiernej radości, sprawiającego, iż życie nigdy nie było nudne. Lutt żył w czymś w rodzaju raj, lecz ciągle wisiła nad nim groźba zepchnięcia gdzieś na trzeciorzędną pozycję. W dodatku nie mógł temu przeciwdziałać, ponieważ i on, i Fraffin dzielili tę samą winę. Im obu groziła ta sama straszliwa kara, czekająca ich w chwili, gdyby cokolwiek wyszło na światło dzienne.

– Będzie tutaj, jeszcze zanim kolejna zmiana obejmie służbę – rzekł Lutt i obraz jego twarzy zbladł i rozwiął się.

Fraffin wyciągnął się w fotelu, potrząsając głową. Cóż to za pomysł, aby rozdzielać kochanków za pośrednictwem manipulowania ich uczuciami! Ten bałwan powinien przecież wiedzieć, jak ciężko przychodzi to u immunów. Trudno. Tak czy owak ta kobieta wkrótce znajdzie się tutaj, a Kelexel będzie mógł ją przebadać wedle woli i uznania. Oczywiście, dostarczą mu wszelkich znanych środków, za pomocą których przełamie wolę tej samicy. Nikt nie powinien narzekać, że Fraffin nie wie na czym polega prawdziwa gościnność.

Roześmiał się pod nosem. A niechże ten badacz zakosztuje rozkoszy tubylczych kobiet! Trzeba mu pozwolić sprawić jej dziecko. Gdyby się to stało, Kelexel wymagałby przedwczesnej kuracji odmładzającej, a do kogo mógłby się zwrócić z prośbą o pomoc? Może poszedłby do Prymasa i rzekł: "Proszę o odmłodzenie, bo nie mając pozwolenia spłodziłem dziecko"? Oczywiście, że nie. Kelexel powinien wiedzieć, że kreocentrum ma swe własne możliwości w tym zakresie, że

dysponuje własną chirurgią i wszystkim, co niezbędne do tego rodzaju zabiegów. Przyjdzie i będzie zebrał... i otrzyma to, czego zapragnie. A gdy już będzie po wszystkim, zostanie unieszkodliwiony, bowiem we własnym interesie będzie zobowiązany do zachowania milczenia.

Rozdział dziewiąty

Ku swemu zaskoczeniu Ruth stwierdziła, że mała złość może jej sprawić przyjemność. Uczucia gniewu i nienawiści, przelewające się w niej przez cały ten wieczór, mogły wreszcie znaleźć jakieś ujście. Drżenie czerwonych rąk Neva zdradziło, jakie uczucia owładnęły jej byłym mężem. Choć mieszkała z nim niespełna rok, ten krótki czas wystarczył, by dogłębnie poznała tego człowieka. Jej myśli i uczucia przepęłniała w tej chwili bezkompromisowa nienawiść, niczym bambusowa drzazga, wycelowana w utemperowaną duszę karierowicza.

– Możesz krzyczeć o swych małżeńskich prawach tak długo, jak ci się tylko podoba – stwierdziła oschle. – Firma należy teraz do mnie, a ja już w tej chwili powiadam ci, że nie masz tam czego szukać. Wiem, czemu się ze mną ożeniłeś, Nev. Nawet dobry aktor nie mógłby mnie zbyt długo wodzić za nos.

– Ależ Ruth, proszę...

– Dosyć! Na ulicy czeka na mnie Andy. Zamierzam wziąć stąd parę rzeczy i zaraz się wynoszę.

Wysokie czoło Neva zmarszczyło się w zatroskaniu. Jego brązowe oczy spoglądały na nią bez wyrazu. Wyładowuje się i znowu będzie spokój – pomyślał. – W tej chwili trudno podejść do niej z jakimkolwiek rozsądnym pomysłem. Lepiej się poddać tej wściekłej energii; widać, że ujarzmienie innych sprawia jej dziką radość. A jakże ona wygląda... niczym pomnik ku czci chuci... ta kurwa z rozwianą rudą grzywą... Kurwa, zwykła nimfomańska kurwa dla bogaczy.

Ruth spuściła zeń wzrok. Nev zawsze ją przerażał, gdy tak spoglądał niewidzącymi oczami. Rozejrzała się szybko po pokoju, rozmyślając, co zabrać w pierwszej kolejności. Ale nie było tu niczego, co należało do niej. Był to pokój Neva Hudsona. Wymalowany w tonacji czerwono-brązowej, zawalony wszelkim orientalnym śmieciem, czego ukoronowaniem był wielki fortepian w kącie. Zasłony nie zostały jeszcze spuszczone, toteż przez okno mogła dostrzec żelazno-mosiężny ruszt grilla, połyskujący w świetle latarń oraz lekkie białe ogrodowe mebelki. Po ulewie wszystko błyszczało kropelkami deszczu.

– Kalifornia jest jednym z tych stanów, gdzie obowiązuje podział mienia – zauważył po chwili Nev.

– W takim razie powinieneś jeszcze raz pogrzebać w przepisach – rzekła chłodno. – Firma należy do mnie. To spadek.

– Spadek? – zdziwił się. – Przecież twój ojciec jeszcze żyje.

Zapatrzyła się w zaglądnącą przez okno noc, nie odpowiadając na tę słuszną uwagę.

Co za cholerne babsko – zaklął w duchu. – We łbie jej ciągle ten Thurlow i nic poza tym. Oczywiście, chętnie by go przygarnęła, ale potrzebuje mojego rozumu, by firma jako tako prosperowała. Ta kobieta myśli jedynie o tym, co człowiek ma między nogami! Już ja się postaram, by jej zachcianki tym razem nie zostały spełnione.

– Jeśli odejdziesz z tym Thurlowem, zrujnuję mu całą karierę zawodową i zniszczę ciebie – zagroził.

– Zazdrosny? – spytała z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

– Po prostu ostrzegam cię

– Ożeniłeś się ze mną tylko dla pieniędzy – wysyczała z całą wściekłością, na jaką było ją w tej chwili stać. – A skoro tak, to co cię obchodzi, w jaki sposób spędzam wolny czas? – Spojrzała nań złowrogo.

Czemu wyszłam za tego różowego prosiaka, sądząc, że dostaję mężczyznę? – przemknęło jej przez głowę. – Dlaczego, dlaczego? Dlatego, że byłam samotna... zupełnie samotna. Andy opuścił mnie, wybierając to cholerne stypendium i na jego miejsce wślizgnął się sprytnie Nev z całą swą uprzejmą serdecznością i zatroskaniem o losy złamanych serc. Byłam pijana i nienawidziłam. Nev zaś był ogierem, który potrzebował całej mojej energii, toteż ożenił się, wykorzystując nawet mą nienawiść. Byliśmy już w łóżku, byliśmy małżeństwem, Andy siedział w Denver, a ja ciągle byłam samotna.

– Odchodzę – powiedziała, kierując się w stronę drzwi. – Andy zawiezie mnie do Sary. Jeśli spróbujesz mnie zatrzymać, zawołam go. Jestem przekonana, że szybko poradzi sobie z tobą.

Wąskie usta Neva ściągnęły się, oczy mu błysnęły. Maskę samoopanowania była znowu gotowa.

– Dobrze wiesz, co pomyślą ludzie... Jabłko pada niedaleko od jabłoni. Jaki ojciec, taka córka. Wszyscy wezmą moją stronę, wiesz dobrze.

– Ty świniolo!

Obróciła się, pobiegła do sypialni i szarpnęła za klamkę. Nev poszedł za nią. Stał na progu i przyglądał się, jak wyrzuca z szafy ubrania i ciska je na łóżko. Gdy go zauważyła, drgnęła nerwowo.

– Co tak stoisz? Jesteś najohydniejszą kreaturą, jaką zdarzyło mi się spotkać. Już na sam twój widok robi mi się niedobrze.

W oczach zabłyśły jej łzy; starała się powstrzymać od płaczu.

– Spływaj stąd! Daj mi się spakować w spokoju.

– Naprawdę sądzę, żeś zwariowała – stwierdził, nie odchodząc od drzwi. – W ogóle nie wiem, co... – urwał w połowie zdania, spoglądając na drzwi obok. Zduszonym głosem wychrypiął tylko jedno słowo.

– Ruth!

Obróciła się i widząc osłupienie, malujące się na jego twarzy, podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Drzwi na werandę były otwarte. W progu stały trzy zielono odziane postacie. Miały dziwnie duże głowy; w lekko świecących oczach czaiło się coś, co wzbudzało strach. Trzymali krótkie rurki ze srebrzystego metalu, celując w nich oboje.

– Co... to... ma znaczyć? – wybełkotał Nev. – Kto...

Głos uwiązał mu w gardle. Osobnik stojący z prawej strony Ruth wydał nagle dziwny, przenikliwy dźwięk.

Nie, to nie może być realne, pomyślała, nieprzytomna ze zdumienia. A później przeraziła się. To gnomy, widziane już wcześniej przez Andy'ego. Czego chcą od niej? Co tutaj robią? Stwierdziła, że nie może się poruszać. Zachowała zupełnie jasną świadomość, lecz umysł był jakby odcięty od ciała, które nie słuchało jego poleceń. Jeden z osobników zbliżył się do niej; dziwny człowieczek o masywnie krągłym ciele, wewnątrz którego pulsował purpurowy ogień.

– Andy!

Chciała go zawołać, lecz głos ją zawiódł. Coś ją pchnęło. Spostrzegła, jak Nev przechodzi obok, poruszając się sztywno, niczym marionetka. Nagle przewrócił się i uderzył głową w przeszkłone ogrodowe drzwi. Rozległ się trzask tłuczonego szkła. Podłoga, gdzie się zwałił, nagle zwilgotniała i pociemniała. Drgnął, a później już tylko leżał bezwładnie, spokojnie i cicho.

– Wypadek, widzi pani? Wypadek... – rzekł w poprawnej angielszczyźnie gnomowaty osobnik.

Nie mogła odpowiedzieć; jej umysł pogrążył się w tępych bezwładzie. Zamknęła oczy. Ponownie usłyszała dziwny tryl, którym porozumiewały się te stworzenia. Usiłowała otworzyć oczy, lecz nie mogła. To, co pozostało z jej świadomości, zalały fale ciemności.

Rozdział dziesiąty

Thurlow siedział w samochodzie, paląc fajkę. Zastanawiał się, czemu Ruth tak długo nie wraca. Znowu zaczął padać deszcz, a właściwie rzadka mżawka, spowijająca narożną latarnię szarym, wilgotnym welonem. Spojrzał w stronę domu. W salonie paliło się światło. Choć zasłony pozostawały nadal nie zaciągnięte, nie mógł niczego dojrzeć. Co ją tak długo zatrzymało? Do diabła, przecież trzeba po nią iść! Potrząsnął z dezaprobatą głową. Odwrócił wzrok od domu i zapatrzył się przed siebie. Myślami powrócił do dziwnych wydarzeń ostatnich dni. Chyba musi istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie całej tej hecy – westchnął. – A może by tak powiadomić lotnictwo? Oczywiście anonimowo. Ktoś przecież musi rozwikłać tę dziwną aferę. Lecz co zrobić, jeśli nikt nie znajdzie wyjaśnienia? Dobry Boże, cóżby się stało, gdyby ci żalosni ufolodzy mieli rację z tymi urojeniami o latających spodkach? Chciał sprawdzić godzinę, przypomniał jednak sobie, że zegarek stanął. Do diabła, co się stało z Ruth? Ileż można siedzieć w tym domu? Już sięgał do klamki, gdy się rozmyślił. W porządku, dam jej jeszcze parę minut. W domu było zupełnie cicho. Być może potrzebowała tak dużo czasu, by się spakować...

Nie miał pojęcia, jak długo czeka, gdy z sąsiedniego domu wybiegła kobieta w błyszczącej pelerynie. Przez chwilę miał wrażenie, iż to Ruth i już wystawił głowę z wozu, gdy w świetle latarni zorientował się, że to obca kobieta. Pani w średnim wieku na szlafrok zarzuciła jaskrawy, plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy. Przemoczone pantofle omal nie spadły jej z nóg, gdy biegła przez wilgotny trawnik.

– Hallo, proszę pana! – krzyknęła, machając do niego ręką.

Wysiadł z samochodu. Twarz od razu zmoczyła mu mżawka. Opadły go złe przecucia. Kobieta dobiegła wreszcie do wozu, ciężko dysząc.

– Nasz telefon jest zepsuty – zaczęła podniecona. – Mój mąż pobiegł do Tnessów, żeby od nich zadzwonić, ale myślałam, że być może gdzieś w sąsiedztwie...

– Dlaczego tak pani potrzebny telefon? – nawet dla niego zabrzmiało to szorstko.

– Mieszkamy tutaj obok... – wskazała dom. – Z naszej kuchni dobrze widać mieszkanie Hudsonów, toteż gdy zobaczyłam pana Hudsona leżącego w drzwiach werandy, pobiegłam, aby się przekonać... Nie żyje.

– Ruth? Pan Hudson?

– Nie, przecież mówię, że to pan Hudson nie żyje. Pani Hudson przed kilkoma minutami wchodziła do domu, też ją widziałam, lecz teraz nie pozostało po niej ani śladu. Musimy zawiadomić policję.

– Tak, oczywiście – ruszył w stronę domu.

– Nie ma jej tam – powstrzymała go kobieta. – Rozejrzałam się bardzo dokładnie.

– Może... może ją pani przeoczyła?

– Panie, wydarzyło się straszliwe nieszczęście, może więc pobiegła, by sprowadzić pomoc.

– Nieszczęście? – zawrócił i spojrzał na kobietę.

– Pan Hudson przewrócił się na drzwi do ogrodu. Zapewne rozciął sobie aortę...

– Ale... przecież cały czas byłem tutaj...

Zza rogu wyłonił się pulsujący czerwonym światłem policyjny radiowóz. Szybko podjechał pod dom i zahamował tuż przy wozie Thurlowa. Drzwi otworzyły się i pojawili się dwaj policjanci. W jednym z nich Thurlow rozpoznał Carla Maybecka. Kościsty, szczupły mężczyzna o wąskiej, chytrej

twarzą ruszył ku niemu przez trawnik. Jego kolega podszedł do kobiety.

– O, i doktor też jest tutaj – zdziwił się Maybeck. – Co pan tu robi? Co się stało? Powiadomiono nas o jakimś wypadku. Karetka już w drodze.

– Ta kobieta powiada, że Neville Hudson nie żyje... przewrócił się na drzwi do ogrodu. Więcej nie wiem. Może powinniśmy wejść do środka.

– Oczywiście, doktorze.

Maybeck podbiegł do drzwi wejściowych. Szarpnął za klamkę, były zamknięte.

– Naokoło – krzyknęła sąsiadka. – Trzeba wejść przez werandę.

Zbiegli po schodkach, okrążyli dom i znaleźli się w ogrodzie. Krople deszczu spadały z poruszanych liści i wkrótce byli mokrzy. Thurlow biegł niczym we śnie. Ruth! Mój Boże, gdzie ona jest? Na rogu wpadł na wilgotny trawnik; omal się nie przewrócił, lecz zaraz ruszył przed siebie. Sekundę później spoglądał na zakrwawione zwłoki Neva Hudsona. Po krótkich oględzinach policjant wyprostował się.

– Nie żyje... – stwierdził lapidarnie, spoglądając na Andy'ego – Jak długo pan tu przebywa?

– Przywiózł tu panią Hudson niespełna pół godziny temu – wtrąciła sąsiadka.

– Czekałem w samochodzie – wyjąkał.

– To prawda – potwierdziła kobieta. – Widziałam, jak przyjechali. Pani Hudson wysiadła i weszła do domu. Myślałam, że zaraz usłyszę jakieś krzyki, bo Hudsonowie często się kłócili. Musi pan wiedzieć, że już od jakiegoś

78

czasu żyli w separacji. To ona go rzuciła... Później usłyszałam brzęk szyby, ale byłam właśnie w łazience. Od razu wybiegłam do kuchni i spojrzałam przez okno.

– Widziała pani panią Hudson? – spytał policjant.

– Nie. Ale z drzwi unosił się jakiś dym, jakby ktoś palił papiery. Być może chciał otworzyć drzwi na werandę, aby wywietrzyć pokój. Wie pan, Hudson dużo pił i...

Thurlow zwilżył końcem języka wyschnięte wargi. Zorientował się, że strach powstrzymuje go przed wejściem do środka.

– Może należałoby wejść i rozejrzeć się wewnątrz? – przewycięzył się.

– Tak – odparł Maybeck, spoglądając mu w oczy. – To powinniśmy przede wszystkim.

Usłyszeli odległy sygnał nadjeżdżającej karetki i po chwili dobiegł ich odgłos hamującego przed domem wozu.

– Lekarz już przybył – rzekł drugi policjant, wychodząc zza rogu domu. – Co z nim? – wymownie spojrzał na nieboszczyka.

– Jemu już nic nie jest w stanie pomóc – odparł Maybeck. – Lepiej go zostawić w spokoju. Trzeba będzie zdjąć odciski palców. Odeślij ich z powrotem.

Policjant zmierzył Andy'ego nieufnym spojrzeniem.

– To doktor Thurlow – przedstawił go Maybeck.

– Aha. – Mężczyzna zawrócił i poszedł w kierunku dwóch ludzi w bieli, czekających w alejce. Maybeck szerokim łukiem wyminał zwłoki i poszedł do sypialni. Thurlow podążył za nim. Od razu spostrzegł stertę ubrań na łóżku. W piersi poczuł bolesny skurcz. Sąsiadka mówiła, że Ruth tu nie ma, ale...

Policjant pochylił się, zaglądając pod łóżko. Zaraz jednak wyprostował się.

– Czuje pan coś? – spytał, kręcąc głową. Thurlow skinął twierdząco. Wszędzie unosił się dziwny zapach; jakby smród przepalonej instalacji elektrycznej.

Poszedł za policjantem, skwapliwie omijając nieruchomy postać, która jeszcze niedawno była mężem Ruth. Obok krzżeli się już ludzie z taśmami mierniczymi, aparatami fotograficznymi i pędzelkami, spoglądający na wszystko uważnym, chłodnym wzrokiem.

Mąż Ruth... pod tą etykietą kryło się wiele... całkiem niemało. Chciał tylko wiedzieć, gdzie się podziała Ruth. Czy uciekła? Owszem, była niezwykle zdenerwowana, lecz czy w tym stanie potrafiłaby zabić? Co to za chmura, którą opisywała sąsiadka? I ten dziwny zapach...

Wyszli na ulicę. Przed domem tłoczyła się już spora gromada ciekawskich. Przy wjeździe do garażu sąsiedniej willi stał biały wóz, ruchome laboratorium policji kryminalnej.

– Wie pan, doktorze – odezwał się z lekkim wyrzutem Maybeck. – Nie powinien pan siadać w nocy za kierownicą w tych ciemnych okularach.

– To szkła chromowe – wyjaśnił Thurlow. – Poza tym nie są tak ciemne, jak się wydaje na pierwszy rzut oka.

– A jednak lepiej będzie, jeśli pojedzie pan z nami – nie ustępował Maybeck. – Odwieziemy tu pana z powrotem.

– W porządku. Niech mi pan tylko powie, czy ktoś nie powinien się zająć poszukiwaniem pani Hudson?

– Oczywiście, będziemy jej szukali, doktorze – pokiwał głową policjant. – Poszukamy i znajdziemy, proszę się nie martwić.

Czy rzeczywiście? – zamyślił się Thurlow. – Ciekawe, kim byli ci, którzy nas obserwowali i chcieli manipulować naszymi emocjami. Wiem, że to było realne! Jeśli się mylę, to znaczy, że zwariowałem, a przecież dobrze wiem, iż nie jestem szalony.

Spojrzał na swoje nogi – buty były zupełnie mokre.

Joe Murphey... – pomyślał. – On także wiedział, że nie zwariował, a przecież...

Rozdział jedenasty

Ruth obudziła się na czymś miękkim. Czowała to wszędzie wokół siebie: łóżko, a na nim jedwabście miękkie pościelenie. Otworzyła oczy i ujrzała spokojne, przyćmione szaro-niebieskie światło. Zauważyła, że jest naga... ale było jej ciepło. Nad łóżkiem wisiał

jakiś owal, wyłożony błyszczącymi płytkami kryształu. Ciągłe zmieniały się barwy – zielen, żółty, błękitny, czerwony... Wszystko działało uspokajająco, tak jak i pozostałe elementy wystroju wnętrza.

Wiedziała, że istnieje coś, czemu musi koniecznie poświęcić uwagę, lecz paradoksalnie cała jej istota mówiła, że nawet pilne sprawy mogą poczekać.

Spojrzała na prawo. Było tam jakieś źródło światła, ale nie mogła go ulokować w przestrzeni. Ciepły, łagodny blask, utrzymany w głębokiej żółtej tonacji, rozświetlał całe to dziwne pomieszczenie. Jedną ze ścian wypełniał, jak jej się zdawało, regał z książkami, na niskim, owalnym stoliku leżały różne złote przedmioty: kostki, kanciaste pojemniki, kule... Za oknem rozciągała się czarnobłękitna noc. Gdy spoglądała w tamtą stronę, pojaśniało nagle metaliczną bielą, na której ukazała się czyjaś twarz. Ogromne oblicze miało srebrzystą cerę, głębokie oczy o przenikliwym spojrzeniu i twarde, wyraziste rysy. Ruth pomyślała, że ten widok powinien ją zatrwożyć, lecz nie mogła się zdobyć na jakąkolwiek emocjonalną reakcję.

Twarz znikła i w oknie ukazał się widok morskiego wybrzeża z brązowymi wydymami, czarnymi, nagimi skałami oświetlonymi blaskiem słońca. Znowu zapadła noc i Ruth zorientowała się, że okno nie jest prawdziwe.

Przed tym czymś, co sprawiało wrażenie okna, a w istocie było ekranem, stał niewielki barek, na którym znajdowała się asymetryczna, nieco surrealistycznych kształtów rzecz, przypominająca maszynę do pisania. Na lewym boku poczuła powiew chłodnego powietrza. Od chwili, gdy się przebudziła, po raz pierwszy zetknęła się z zimnem. Skierowała wzrok w stronę skąd pochodził wiatr i dostrzegła owalne, otwarte drzwi. W progu stał ubrany na zielono niewielki, kłocowatej sylwetki osobnik; ta sama twarz, która przed chwilą spoglądała na nią z ekranu. Gdzieś w głębi świadomości poczuła wstręt do odpychającego gнома o kabłąkowatych nogach, lecz to uczucie nie wydobyło się na powierzchnię.

Karzeł otworzył szerokie, grubowargie usta.

– Jestem Kelexel – przemówił miękkim głosem. Sam sposób w jaki się wyrażał, podzielał na nią podniecająco.

Zmierzył wzrokiem jej ciało, ona zaś uznała jego spojrzenia za nie pozbawione męskości. Ku jej zdumieniu wcale nie działał na nią odpychająco ani nie raził niemłą powierzchownością. W pokoju było tak ciepło, tak przytulnie, kryształowe płytki poruszały się z łagodnym pięknem...

– Uważam, że jesteś bardzo pociągająca – oświadczył Kelexel. – Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek zdołał na mnie wyrzucić tak wielki urok...

Drzwi zamknęły się bezgłośnie. Powoli podchodził do jej łóżka. Dreszcz podniecenia przebiegł jej ciało i zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, by chciała mieć tę osobliwą kreaturę za kochanka... Kelexel stanął tuż obok.

– Jestem jednym z Chemów – powiedział. – Czy coś ci to mówi?

– Nie – pokręciła przecząco głową.

– Nigdy jeszcze nie widziałas takiego jak ja?

Przypomniała sobie Andy'ego. Pomyślała o nim z siostrzaną czułością. Dobry Andy, taki kochany, skory do pomocy...

– Musisz mi odpowiedzieć... – w jego głosie odezwała się ukryta siła.

– Widziałam... takich trzech w moim domu. To oni...

– Ach, to ci, którzy cię porwali. Tak, oni także należą do Chemów.

– Kim są Chemowie?

Jej ciekawość była tylko powierzchowna; pod tą maską przelewała się wywołana przedziwnym błogostanem i coraz bardziej wzbierającym podnieceniem burza uczuć. Przeciągnęła się zmysłowo, podczas gdy Kelexel nie spuszczał z niej wzroku. Cóż to za dziwny krasnal. Jak mały, słodziutki gnom!

– Imię to wkrótce wypełni się znaczeniem... – stwierdził poważnie. – Jesteś bardzo pociągająca. My, Chemowie, jesteśmy dobrzy dla tych, którzy nas bawią. Oczywiście, nigdy nie będziesz mogła powrócić do swych przyjaciół, nigdy. Ale jakoś ci to wynagrodzimy. Służbę jednemu z Chemów zawsze uważano za niemały zaszczyt.

Gdzie jest Andy? – pomyślała nagle. – Ten kochany, dobry Andy...

– Bardzo pociągająca – mruczał Kelexel.

Wyciągnął rękę i dotknął palcem jej prawej piersi. Jak gładka i elastyczna jest ta skóra! Jego palec łagodnie przesunął się od sutka aż po szyję, podbródek, wargi, aż dotarł do włosów.

– Twoje oczy są zielone – rzekł łagodnym głosem. – My, Chemowie, lubimy zieleń.

Ruth przełknęła ślinę i jęknęła cicho. Lubieżna wędrówka palca Kelexela napełniła ją pożądaniem. Dotknęła jego ręki. Jaka twarda i męska... Jej oczy spotkały przenikliwe spojrzenie jego brązowych źrenic. Pograżyła się w ekstatycznym transie. W jednej chwili głowa Chema zasłoniła taniec kolorowej mozaiki kryształów, później poczuła na piersiach ucisk jego twarzy. Skurczyła się, obezwładniona przytłumieniem fali niepojętego cierpienia.

– O Boże... – szepnęła. – O Boże...

Jak to miło być w tym momencie tak wielbionym, pomyślał Kelexel. Doznał najwyższej rozkoszy, jakiej kiedykolwiek zdarzyło mu się zakosztować z kobietą.

Rozdział dwunasty

Później, gdy przypominała sobie pierwsze dni spędzone u Chemów, nie mogła wyjść ze zdumienia. W końcu rozumiała, że Kelexel manipuluje jej uczuciami w sobie tylko wiadomy sposób. Wiedziała, że robi to za pomocą jakichś dziwnych urządzeń, lecz dawała się ponieść sztucznej euforii niczym narkoman, uzależniony od swych pigułek. Ważne było jedynie to, że ją dotykał, by dać jej wreszcie chwile ekstatycznego samozapomnienia.

W jej oczach wyglądał na przystojnego. Gdy spoglądała na obce, cylindrycznych kształtów ciało, doznawała głębokiej rozkoszy. W szerokiej twarzy łatwo odczytywała grę subtelnych uczuć i oznaki czci, jaką dla niej żywił.

Naprawdę mnie kocha – myślała. – Rozkazał zabić Neva tylko po to, by mógł mnie mieć wyłącznie dla siebie.

Odczuwała rozkosz nawet w momencie, gdy przekonywała się o swej zupełnej bezradności, podatności na humory swego pana, całkowitym uzależnieniu. Kelexel nie marnotrawił jej słabości. Nauczyła się także, że największą ziemską potęgą jest mrowisko, ponieważ można je porównać z Che-mami. Maszyna edukacyjna w krótkim czasie nauczyła ją języka Chemów, co znacznie przyspieszyło proces aklimatyzacji.

W jej obecnej egzystencji jedynie wspomnienie Andy'ego psuło harmonię beztroskiego żywota. Kelexel bowiem, widząc jak jest podatna na uwarunkowania, zwolnił intensywność indoktrynacji. Z coraz większą jasnością rodziły się w jej świadomości myśli o Andym.

Jednak oczywista bezradność osłabiała znacznie poczucie winy, a wraz z tym dawny kochanek powoli odchodził w zapomnienie. W końcu Kelexel przyniósł jej pantovivor. Urządzenie ustawiono w rogu pokoju, gdzie zaczęła się już nawet czuć jak u siebie w domu, gdyż wewnątrz urządzono zgodnie z jej wskazówkami.

Przyległe pomieszczenie przebudowano na łazienkę. Jeśli chodzi o stroje, wystarczyło jedno jej słowo, a Kelexel napełniał szafy aż po brzegi. Biżuteria, perfumy, wykwintne posiłki... Jednym słowem miała tu wszystko. Chem spełniał najdrobniejszą zachciankę z przesadną gorliwością. Wiedział, że zadurzył się w niej po uszy i rozkoszował się każdą wspólnie spędzoną chwilą. Zauważył, iż ludzie z otoczenia Fraffina wymieniali na jego widok znaczące spojrzenia, ale podśmiewał się z tego w duchu. Dobrze wiedział, że ściągali tu wszystko, co mogłoby ich zabawić, a tubylcze samice były główną atrakcją tutejszego życia. Cóż zrobiłby Fraffin, gdyby nie potrafił usatysfakcjonować współpracowników? Właśnie dzięki możliwości takich romansów on i jego ludzie odnosili tak wielkie sukcesy.

Myśli o tym, co należało do jego obowiązków, świadomość wagi misji, z którą go tutaj wysłano, powoli schodziły na plan dalszy. Był przekonany, że Prymas wykaże stosowną pobłażliwość. Wystarczy, jeśli przedstawi swe motywy i pokaże to zabawne stworzenie, które tak go zachwyciło. W końcu czymże jest czas dla Chemów? Śledztwo i tak zostanie przeprowadzone zgodnie z planem, tyle że nieco się spóźni...

Początkowo Ruth bała się pantovivoru. Gdy objaśniono jej przydatność tego urządzenia oraz z grubsza opisano sposób działania, potrząsnęła głową. O ile mogła zrozumieć, w jaki sposób to funkcjonuje, o tyle cel, dla którego zbudowano tę maszynę, leżał poza granicami jej percepcji. Nadeszła właśnie pora, którą nazywała popołudniem, choć tutaj, w kreocentrum, nie znano ani dnia, ani nocy. W każdym razie "popołudnie" oznaczało, że lada moment przybędzie Kelexel, by spędzić z

nią chwilę spokoju i wytchnienia od swych tajemniczych, niezrozumiałych zajęć.

Ruth siedziała w fotelu, w którego poręczę wbudowano mnóstwo urządzeń, pokręteł i suwaków. Fotel był częścią maszyny – można powiedzieć, że w połowie do niej należał. Światło zostało przyćmione i pomieszczenie zalewała ciemnożółta poświata. Włączono pantovivor i to on właśnie przykuwał uwagę kobiety. Przed nią i nieco poniżej rozciągała się szeroka owalna platforma – scena. Kelexel stał z tyłu, trzymając dłoń na jej ramieniu. Czuł coś w rodzaju słusznej dumy, mogąc zapoznać to zabawne stworzenie z cudami cywilizacji Chemów.

– Głosem lub za naciśnięciem guzika wybiera się pożądaný okres i tytuł – instruował ją. – Ale najpierw, przyciskając ten tester, łączysz się z kanałem archiwum.

Pokazał pomarańczowy guziczek w prawej poręczy fotela. Nacisnął, aby zademonstrować, jak wygląda to w praktyce.

– Gdy tylko wybierzesz odpowiednią historyjkę, możesz startować z projekcją.

Nacisnął biały guziczek z lewej strony. Owalną scenę wypełniła ciżba stworzeń mniej więcej czterokrotnie niższych od przeciętnego człowieka. Tłum promieniował dzikim podnieceniem. Encefalograficzna sieć przekazu przenosiła je wprost do świadomości widzów. Gdy uderzył w nią wir emocji, Ruth drgnęła.

– Uczestniczysz w życiu uczuciowym przedstawionych tu osób – wyjaśnił Kelexel. – Jeśli uważasz, że emocje są zbyt silne lub nieprzyjemne, możesz nastawić ich natężenie tym pokręteł.

Obrócił wykalibrowany pierścień wpuszczony w poręcz fotela. Niezwykłe podniecenie natychmiast opadło. Tłum stanowił mieszaninę kolorów. Stary krój, błękity, czerwienie, brudne szmaty na ramionach i stopach, trójgraniaste kapelusze, czerwone kokardy. Cała scena sprawiała wrażenie zupełnie autentycznej, było w niej coś znajomego: głucho, ostre uderzenia bębnow pochwyliły Ruth tak, iż jej serce zaczęło bić rytmem nagle ożywionej przeszłości.

– Czy to prawdziwe? – spytała.

– Prawdziwe? – powtórzył Kelexel. – Cóż za osobliwe pytanie. W pewnym sensie, jest to... autentyczne. To wszystko kiedyś się już wydarzyło i w tej chwili po prostu odżyło na nowo. Dziwne, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Tłum zaczął biec. Spod długich sukien kobiet wyłaniały się raz po raz brązowe stopy. Z odgłosami tupotu tysiąca nóg pojawił się odór potu oraz ostry smród rozgrzanych, nie mytych ciał. Nagle w polu widzenia pozostały jedynie biegnące nogi. Potrącali się i wpadali jeden na drugiego, przeskakiwali przez zdeptane trawniki, podskakiwali po kocich łbach. Tworzyli jeden, zgrany organizm – fascynujące uosobienie ruchu.

Teraz mieli panoramiczny widok na wysokie mury. Rozległy się pierwsze strzały. Tłum ruszył na szarą masę kamienia.

– Zdaje się, że chcą zdobyć jakąś cytadelę – zauważył Kelexel.

– Bastylia – wyszeptała Ruth. – To przecież Bas-tylia...

Była jak zahipnotyzowana. Oglądała szturm na Bastylię i nieważne, jaki był dzisiaj dzień. Tu, przed nimi był właśnie 14 lipca 1789, a te gorące okrzyki przemieszane z siarczystymi przekleństwami, to słowa historycznej rzeczywistości.

Chwyciła za poręcz fotela. Cała drżała.

Kelexel sięgnął za jej plecami, przycisnął szary guziczek po lewej stronie i cała scena zbladła, a później rozmyła się i znikła.

– Tak, przypominam sobie tę historyjkę – rzekł w zamyśleniu. – To jedna z najlepszych produkcji Fraffina, w swoim czasie odniosła spory sukces.

Pogłaskał ją po włosach.

– Czy już rozumiesz, jak to funkcjonuje? Ręką wskazał na rząd przycisków.

– Tutaj jest regulator ostrości, tutaj intensywności. Pantovivor obsługuje się całkiem łatwo. Mam nadzieję, że dostarczy ci wiele przyjemności i pewnego urozmaicenia.

Odwróciła głowę spoglądając na Kelexela ze zdumieniem w oczach: szturm na Bastylię jedną z produkcji Fraffina! Owszem, wiedziała, kto kryje się za tym imieniem; objaśniono jej organizację oraz metody pracy kreocentrum.

Kreocentrum! Aż do tej chwili nie zadała sobie trudu rozszyfrowania znaczenia tego pojęcia.

– Mam jeszcze coś do roboty – powiedział Kelexel. – Tymczasem zostawiam cię sam na sam z rozrywkami

pantovivoru.

– Myślałam, że zostaniesz na dłużej – rzekła z rozczarowaniem w głosie. Nie chciała pozostawać sama z tą piekielną maszyną. Pantovivor kojarzył się jej jednoznacznie z narzędziem strachu; klucz do skarbca rzeczy zakazanych, których nie mogła smakować. Czowała, że rzeczywistość pantovivoru po prostu ją pochłonie. Była to niebezpieczna zabawka – nie umiała jej kontrolować, a zarazem nie potrafiła się bez niej dłużej obyć.

– Zostań, proszę – ujęła go za rękę.

Kelexel zawahał się przez moment, lecz przecież miał swoje własne plany. Wreszcie nadszedł czas, kiedy powinien zająć się zaniedbanymi obowiązkami natury zawodowej.

– Przykro mi, ale naprawdę muszę już iść. Wrócę, gdy tylko będę mógł.

Zrozumiała, że nie zdoła go przekonać. Opadła na fotel, mając przed sobą kuszącą maszynę. Kelexel wyszedł i została sama. Po dłuższej walce oparła się pokusie i zażądała stanowczym głosem.

– Najnowsza historyjka z bieżącej produkcji.

Pośrodku pola widzenia ukazał się niebieski świetlisty punkcik, który wkrótce rozrósł się w białą plamę na czarnym tle. Nagle ujrzała mężczyznę. Stał przed lustrem i golił się staromodną brzytwą. Przestraszyła się.

Przed nią stał Anthony Bondelli, adwokat jej ojca. Ze zdumienia wstrzymała oddech. Miała wrażenie, że Bondelli za chwilę obróci się i zdemaskuje ją jako podglądacza. Jednak adwokat stał plecami do niej, a jego twarz była widoczna jedynie w postaci lustrzanego odbicia. Był opalony, miał gładkie czarne włosy z wysoką łysiną. Nad małymi ustami widać było duży, ostry nos, a pod nim starannie przycięty wąs. W porównaniu z resztą twarzy podbródek był zbyt szeroki i masywny, na co już wcześniej niejednokrotnie zwracała uwagę. Z całej postaci emanowało uczucie sennego samozadowolenia. Ruth poczuła specyficzny zapach łazienki: woń wilgotnego mydła, kremu do golenia i pasty do zębów. Realizm tej sceny był tak sugestywny, iż usiadła sztywno w swym fotelu, starając się cicho oddychać, aby Bondelli nie zauważył, że go szpieguje. Wkrótce w drzwiach ukazała się jego żona, jeszcze w podomce.

Ruth jakby nagle coś przeczuła; chciała wyłączyć piekielną maszynę, lecz nie starczyło jej na to siły. Marge Bondelli była miłą osobą; może zbyt upodobniła się do dawnych matron. W tej chwili jej twarz ścięła się w maskę szoku.

– Tony!

Bondelli opuścił rękę z brzytwą, pochylił się do lustra i wykrzywił się, jednocześnie napiąwszy skórę, by zbadać czy się nie zaciał.

– Co takiego?

Niebieskie oczy Marge sprawiały wrażenie, jakby odlano je ze szkła.

– Joe Murphey wczoraj wieczorem zabił Adelę...

– Nie!

Bondelli upuścił brzytwę do zlewu, obrócił się i wyrwał z rąk żony gazetę.

Ruth zauważyła, że drży. Przecież to tylko film – rzekła sama do siebie. – Przecież to złudzenie sceniczne... A zatem śmierć mojej matki była tematem jednej z produkcji Fraffina – przemknęło jej nagle przez myśl. Piersi jej rozdarł ból. Z trudem łapała oddech.

Bondelli przebiegł wzrokiem artykuł, złożył gazetę, wsunął ją pod pachę i ruszył do wyjścia.

– Nie musisz szykować dla mnie śniadania – oświadczył żonie. – Idę do biura.

– Tony, trzymaj się lepiej z dala od tej historii. Nie jesteś specjalistą od spraw kryminalnych.

– Ale jestem radcą prawnym Joego od chwili założenia firmy.

– Sama nie wiem, co o tym sądzić – rzekła Marge zgnębionym głosem. – Mam tylko dziwne uczucie, że lepiej będzie, gdy nie wplądziesz się w tę sprawę.

– Jestem adwokatem Joego, wobec tego i tak już się w to wplątałem.

Ostatkiem woli Ruth wyłączyła pantovivor. Zerwała się z fotela i odeszła w przeciwną stronę, byle dalej od maszyny. Śmierć mojej matki rozrywką dla Chemów?

Pobiegła do łóżka, ale i ono ją odpychało. Odwróciła się więc plecami. Sposób, w jaki Kelexel pozwolił jej dokonać niby przypadkowo i mimochodem tego odkrycia, napełnił ją grozą i gniewem. W końcu musiał liczyć się z tym, że kiedyś to się stanie. Tak, jemu było wszystko jedno; nawet nie zadał sobie trudu, by pomyśleć o tej sprawie. Po prostu nic go to nie obchodziło. Lecz ta obojętność była gorsza od ewentualnego wyrachowania. To coś więcej niż nieuwaga. To lekceważenie!

Rozejrzała się wokoło. Gdzieś tu musiała być jakaś broń. Cokolwiek; byle jaki przedmiot, którym mogłaby roztrzaskać tego obrzydliwego... Jej spojrzenie padło na łóżko. Przypomniała sobie godziny cierpiętniczej ekstazy, które spędziła na nim wraz ze swym panem. W tej samej chwili znienawidziła własne ciało. W jej oczach stanęły łzy. Zaczęła przechadzać się szybkim krokiem po pokoju.

– Wykończę go!

Ale Kelexel mówił, że Chemowie są nieśmiertelni. Nie można ich zabić. Ta myśl sprawiła, że poczuła się niczym drobina kurzu, otoczona wartkimi prądami, przeciwko którym mała i zagubiona, nie mogła nic zdziałać. Rzuciła się na łóżko, patrząc na grę świateł kryształowego plafonu. Z pewnością to także należało do maszyn manipulacyjnych, którymi posługiwał się ten potwór, by uczynić ją powolną sobie. Myśl o manipulacji napełniła ją zwątpieniem. Wiedziała, że gdy Kelexel powróci od swych zajęć podda mu się bez oporu, znowu przeżyje bolesne męki ekstazy, a w końcu padnie przed nim i zacznie żebrać o chwilę uwagi.

Coś syknęło. Rzuciła się na łóżku, spoglądając w stronę drzwi. Weszła Ynvic; łysa czaszka odbijała żółte światło, w którym skąpany był cały pokój.

– Jesteś zaniepokojona – stwierdziła łagodnym kojącym głosem, pobrzmiwającym zawodową stanowczością.

– Co tutaj robisz? – spytała Ruth.

– Jestem chirurgiem tej stacji – odparła Ynvic tym samym tonem. – Moja praca polega głównie na tym, by być do dyspozycji osób potrzebujących. A ty mnie potrzebujesz.

– Idź sobie stąd!

– Masz kłopoty. Mogę ci pomóc. Ruth usiadła na łóżku.

– Kłopoty? A dlaczegoż to miałabym mieć kłopoty?

Zdawała sobie sprawę, że jej głos brzmiał histerycznie, lecz nie potrafiła się opanować.

– Ten dureń Kelexel zostawił cię samą z nie ocenionym pantovivorem.

Ruth spojrzała na nią wrogo. Czy oni w ogóle znają jakieś uczucia? Czy można ich urazić, dotknąć czymś, znievažić?

– W jaki sposób rozmnażacie swój poczwarny gatunek? – spytała wyzywającym tonem.

– Nienawidzisz nas? – Ynvic odparła pytaniem na pytanie.

– Nie udzieliłaś mi odpowiedzi. Boisz się? Ynvic wzruszyła ramionami.

– W zasadzie te rzeczy wyglądają u nas tak samo jak u was, tyle że Chemowie rodzaju żeńskiego we wczesnym stadium rozwoju pozbawieni są organów rozrodczych. Jeśli ktoś chce dochować się potomstwa, musi iść do kopolcentrum i prosić o pozwolenie. To bardzo długa i potwornie nudna procedura. Wystarczy jednak, gdy powiem, że i bez tych organów cieszymy się przyjemnym, urozmaiconym życiem.

Podeszła bliżej.

– Lecz wasi mężczyźni wolą nas – powiedziała Ruth. I tym razem Ynvic nie dała się sprowokować.

– To kwestia upodobań – odparła, zachowując spokój. – Muszę przyznać, że jako stworzonka rozrywkowe cieszyacie się u nas pewnym wzięciem. Ale czy to ważne? Sama miałam kilku tubylczych kochanków... niektórzy podobali mi się bardziej, inni mniej. Jednak bardzo szybko się starzejecie i tracicie swoje powaby.

– Ale przecież bawicie się nami!

– Wszystko ma swoje granice. Zainteresowania pojawiają się, potem gasną...

– Czemu więc przebywacie tutaj?

– O, aż tak źle nie jest. Całkiem tu znośnie.

Ynvic zauważyła, że tubylcza kobieta wyszła już ze spirali emocji, w której jeszcze przed chwilą tkwiła. Wystarczyło, by pojawił się ktoś, na kim mogła wyładować swą nienawiść. Tylko tyle trzeba, by zażegnać kryzys. Nic więcej. Te stworzenia są naprawdę bardzo podatne na manipulację.

– Ale przecież lubicie historyjki, w których występujemy.

– Jesteście niewyczerpanym źródłem samoprodukujących się opowieści – stwierdziła Ynvic. – Sami z siebie, bez niczyjej pomocy umiecie z naturalnych zachowań wyłuskać to, co jest w nich najcenniejsze pod względem artystycznym. Oczywiście, zawsze jest niezbędna czuła opieka reżyserska oraz przystosowanie materiału dla naszej publiczności. Na tym właśnie polega sztuka Fraffina, który wydobywa z surowego tworzywa subtelne niuansy, pobudzające nas do śmiechu lub przyciągające naszą uwagę.

– Jesteście odrażający! – syknęła Ruth. – Jesteście... jesteście nieludzy.

– Po prostu jesteśmy nieśmiertelni – lakonicznie stwierdziła Ynvic, zastanawiając się jednocześnie, czy to stworzenie zaszło w ciążę. Ciekawe, jak się zachowa, gdy zorientuje się, że poczęła z Kelexelem chemowe potomstwo.

– Ukrywacie się przed nami. – Ruth wskazała na sufit. – Tam, w górze.

– Jeśli to służy naszym celom – rzekła lekarka. – Teraz oczywiście musimy się pojawiać pod osłoną, ale nie zawsze tak było. Ja sama nieraz żyłam wśród was zupełnie otwarcie.

Obojętność, z jaką chirurg prowadziła tę rozmowę, dotknęła Ruth do żywego. Wiedziała co prawda, że nie można urazić tych nieśmiertelników, lecz mimo to postanowiła spróbować.

– Kłamiesz!

– Być może. Ale powiem ci, że kiedyś byłam czczona jako bóg Ea w Sumerii, niezbyt dawno temu. O, to była nawet pewnego rodzaju przyjemność krzewić wśród was różne wierzenia i mity.

– Wkradłaś się jako bóg? – Ruth aż zadrżała z grozy, lecz dobrze wiedziała, że Ynvic mówi prawdę. Jej słowa brzmiały zupełnie naturalnie, jakby opowiadała same oczywistości, ale też dla niej niewiele to znaczyło.

– Występowałam też w cyrku i przeżyłam wiele przygód – ciągnęła dalej. – Niekiedy zabawiam się iluzją starożytności.

Ruth potrząsnęła tylko głową, niezdolna wypowiedzieć jednego słowa.

– Nie rozumiesz – spojrzała na nią rozmówczyni. – Ale trudno tego od ciebie wymagać. Widzisz, na tym polega nasz główny problem: gdy przyszłość jawi się jako nieskończona, gdzie tu szukać starożytności? Żyjemy w wiecznym teraz, pojmani niczym robak w bursztynie. Jeśli przeszłość jest dla ciebie zupełnie nieważna, wówczas i przyszłość wydaje się być pozbawiona znaczenia. Oczywiście, trąci to fatalizmem, ale od niego chroni nas kreocentrum.

– Szpiegujcie nas, aby...

– Nieskończona przeszłość, wieczna teraźniejszość, bezkresna przyszłość... – wyrecytowała Ynvic i potrząsnęła głową. – Tak, właśnie to jest naszym udziałem. Wasze życie jest zaledwie krótkim przebłyskiem, płomykiem, który zaraz zgaśnie, pozostawiając ledwo garstkę popiołu. Wasza przeszłość znaczy niewiele więcej. A mimo to właśnie dzięki wam Chemowie poznali pojęcie wieku, wy zapoznaliście nas z dystansem w czasie, od was zapożyczyliśmy pojęcia tego, co archaiczne, odległe... poczucie wagi przeszłości. Wy daliście nam to wszystko, rozumiesz?

Ruth ponownie potrząsnęła głową. Dla niej łysogłowa plotła jakieś potworne bzdury, lecz ta rozmowa znacznie ją odprężyła. Poza tym czuła, jak gdzieś w głębi ducha

rozpala się ognisko oporu, coś, dokąd zawsze może powrócić, na czym może się oprzeć, gdzie będzie bezpieczna, bez względu na to, co się z nią stanie. Oczywiście, dobrze wiedziała, że gdy Kelexel zażąda, odda mu się bez słowa, lecz twarde ziarno oporu było na swym stałym miejscu, narastało, dawało jej egzystencji poczucie jakiegoś sensu.

– Nieważne – westchnęła Ynvic. – Przyszłam tu, aby cię zbadać.

Podeszła do łóżka.

Ruth zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Obserwowałam mnie, gdy siedziałam przy panto-vivorze. Czy Kelexel wie o tym?

– Postąpił głupio, że zostawił cię samą z nie ocenioną maszyną, a my postąpiliśmy jeszcze głupiej, że do tego dopuściliśmy – odparła Ynvic z widoczną niechęcią. – Co ty w ogóle z tego rozumiesz?

– Ta, którą zabiliście, była moją matką – wyrzuciła z siebie Ruth.

– Którą zabiliśmy?

– Tak. Poza tym robicie wszystko, aby ludzie postępowali zgodnie z waszymi życzeniami.

– Ludzie! – szyderczo parsknęła Ynvic. Odpowiedzi tej samiczki wyraźnie świadczyły o tym, jak niewiele wiedziała. Nic nie rozumiała! Najwidoczniej nawet nie usiłowała pomyśleć o Chemach i świecie, który tworzyli.

Ynvic położyła dłoń na brzuchu Ruth, po czym spojrzała na manipulator nad łóżkiem.

Niebieskie, mieniące się kryształły przybrały taką konfigurację, że na jej widok aż się uśmiechnęła. Ta żalosna istota właśnie zaszła w ciążę – czy trzeba czegoś więcej, by szpiega wpędzić w matnię? Cóż za subtelna metoda przycierania rogów szperaczom Prymasa! Cofnęła rękę i poczuła zapach piżma, tak charakterystyczny dla żeńskich przedstawicieli tubylców. A jakie nieforemne cycki miały te okazy! W dodatku ta tutaj nosiła luźną, obszerną suknię, przypominającą coś w rodzaju stroju dawnych Greczynek.

Kryształowa powierzchnia manipulatora przeszła od ciemnej zieleni do delikatnego karminu.

– Odpocznij sobie, ty naiwne stworzonko – rzekła Ynvic, kładąc dłoń na ramieniu kobiety. – Wypocznij i bądź atrakcyjna, gdy Kelexel powróci.

Rozdział trzynasty

– Jestem przekonany, że po prostu miała już dosyć – powiedział Bondelli. – Doszło więc do czegoś w rodzaju reakcji łańcuchowej i uciekła.

Spojrzał w zamyśleniu na twarz Thurlowa.

Siedzieli w biurze adwokata – miejscu wyłożonym pieczołowicie wypolerowaną boazerią. Pachniało skórzanymi okładkami grubych, ciężkich ksiąg, precyzyjnie poukładanych za lustrzanymi szybami. Pełno tu było wiszących w ramach dyplomów i fotografii sławnych osobistości, ozdobionych ich własnoręcznymi podpisami. Był słoneczny dzień, wczesne popołudnie.

Thurlow siedział pochylony do przodu, rękoma wsparł się o kolana, palce splótł w koszyczek. Na jego twarzy widniało znużenie. Był nie ogolony. Nie mogę się z nim podzielić mymi prawdziwymi podejrzeniami – pomyślał. – Ryzyko jest zbyt wielkie.

– Przypuszczam, że poszukała sobie schronienia u przyjaciół lub znajomych, być może w San Francisco. W każdym razie coś w tym rodzaju. Z pewnością sama da o sobie znać, gdy tylko przewycięży panikę – dorzucił adwokat.

– Czy nie uważa pan jednak za dziwne, iż policja nie znalazła najmniejszego śladu, choć przetrząsnęto cały stan? – spytał Thurlow.

Bondelli potrząsnął głową.

– Uważam, że to logiczne konsekwencje całego jej postępowania. Ruth wie, że ściga ją policja, i zdaje sobie sprawę, jak trudno byłoby udowodnić jej niewinność, zwłaszcza po tej ucieczce. Dlatego właśnie nie może wydobyć się z paniki. Zdaje się, że znalazła kogoś, kto użyczył jej schronienia, zagrzebała się więc w tej kryjówce i teraz już nie wie, co robić dalej. Jestem jednak przekonany, że to stan przejściowy i wkrótce stanie na nogi. Pewnego dnia musi przecież dojść do wniosku, że ucieczka od rzeczywistości może jej przynieść same szkody.

Thurlow nie mógł się pozbyć wrażenia, że żyje w jakimś koszmarze. Czy naprawdę owego wieczoru wspinał się z Ruth na pagórek? Czy naprawdę Nev Hudson poniósł śmierć przez tych... dziwnych osobników, którzy upozorowali wypadek? A może to Ruth była winna i dlatego wyjechała gdzieś za granicę? Zaczerpnął głęboko powietrza. Postanowił przejść do sedna sprawy.

– Chciał pan usłyszeć moją opinię na temat choroby psychicznej Joego Murpheya – zaczął. – Ponieważ jednak zamierza ją pan wygłosić przed sądem, uprzedzam, że należy trzeźwo spojrzeć na całą sprawę.

W jego głosie pobrzmiwał zrezygnowany cynizm.

– Prawna definicja choroby psychicznej żadną miarą nie odpowiada stanowi współczesnej wiedzy na ten temat. Poza tym należy wziąć pod uwagę fakt, że opinia publiczna domaga się głowy tego człowieka, a prokurator Paret, nasz szanowny przeciwnik, myśli o wyborze na kolejną kadencję.

Bondelli był zaszokowany.

– Sprawiedliwość stoi ponad takimi rozważaniami. I nie zgadzam się, jakoby cała opinia publiczna była przeciwko Joemu. A niby dlaczego?

– Dlatego, że się go boją – odparł Thurlow niezmiennie opanowanym, cierpliwym głosem.

Bondelli pozwolił sobie zerknąć przez okno; znajome dachy, wierzchołki budowli, biały obłok dymu z jakiegoś komina, płynący na fali powietrza między domami. Po chwili znowu zwrócił się do psychologa.

– Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób człowiek chory psychicznie może rozpoznać naturę

i konsekwencje swych czynów.

Thurlow zdjął okulary, przez moment obracał je w dłoniach, po czym założył z powrotem.

– Chory psychicznie nie myśli o konsekwencjach.

– Reprezentuję punkt widzenia, zgodnie z którym Joe Murphey nie może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej za swe postępowanie – rzekł dobitnie Bondelli. – Zebrałem historie podobnych przypadków ostatnich dwustu lat i natknąłem się na wiele bardzo wymownych sentencji wyroków, gdzie jednoznacznie stwierdza się niezdolność psychicznie chorych przestępców do odpowiadania za swe czyny przed prawem.

Thurlow chrząknął. Nie miał już wątpliwości, że Bondelli żyje w obłokach. Czy wobec tego on powinien przyłożyć rękę do tych szalonych planów obrony Joego?

– Oczywiście, to wszystko jest bardzo piękne i prawdziwe – rzekł powoli, z dużą starannością dobierając słowa. – Ale niewykluczone, że nasz czcigodny prokurator, nawet gdyby uwierzył w wersję o niepoczytalności Murp-heya, wolałby go widzieć na krześle elektrycznym niż w zakładzie dla obłąkanych.

– Na Boga, dlaczego?

– Bo Paret został wybrany po to, by chronić mieszkańców swego obwodu... nawet przed nimi samymi.

– Ależ Murphey jest bez wątpienia chory!

– Pan mnie wyraźnie nie słucha – Thurlow skarcił adwokata. – Oczywiście, że jest chory. I właśnie przed tym ludzie chcą się ustrzec.

– Czy jednak psychologia...

– Psychologia! – parsknął Thurlow. – Psychologia to współczesny zabobon i dla ludzi pokroju Joego nie może zbyt wiele zrobić. – Pstryknął palcami. – Przykro mi, ale tak wygląda prawda. Lepiej ją poznać bez żadnych upiększeń.

– Jeśli to właśnie powiedział pan Ruth, nic dziwnego, że uciekła.

– Powiedziałem jej, że uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy.

– Ma pan dość dziwny sposób okazywania tego.

– Proszę mnie wysłuchać – zaczął Thurlow, szykując się na dłuższą przemowę. – Społeczeństwo jest podniecone i zaniepokojone. Murphey stał się jak gdyby punktem zapalnym, katalizatorem, który wyciągnął na światło dzienne tłumione dotychczas zbiorowe poczucie winy. Nic dziwnego, że chcą zrzucić z siebie ten niemiły ciężar. Ale przecież trudno poddać całe miasteczko psychoanalizie.

Bondelli zaczął niecierpliwie bębnić palcami po biurku.

– Czy zechce mi pan pomóc w przeprowadzeniu dowodu na okoliczność psychicznej niedyspozycji Joego Murpheya, czy nie?

– Zrobię wszystko, co będę mógł, ale chyba zdaje pan sobie sprawę, że Joe będzie stawiał opór wobec tej linii obrony, prawda?

– Czy sobie zdaję sprawę! – zawołał wielkim głosem adwokat, wsparłszy się rękoma o biurko. – Ależ oczywiście i to bardzo dobrze. Ten bałwan na samą wzmiankę o niepoczytalności wpada w szal. Ma pewną idee fixe... Otóż chce się bronić na podstawie niepisanego prawa, które pozwala mężowi usunąć z tego świata niewierną żonę.

– Tak, już to słyszałem – potwierdził Andy. – Trudno będzie wybić mu ten pomysł z głowy. To nie ułatwi nam pracy.

– Czyż to nie dowód, jak bardzo jest szalony? – zawołał Bondelli. – Przecież zdrowy psychicznie człowiek od razu zacząłby symulować szaleństwo, byleby tylko wyjść z tego z życiem.

– Musi pan sobie zdawać sprawę, że Joe Murphey nie zgodzi się z pańską metodą obrony. Gdyby przyznał, iż jest psychicznie chory... gdyby w ogóle dopuścił do siebie tę myśl, przystał na tę ewentualność, wówczas cały jego czyn straciłby jakikolwiek sens. Po co miałby zabijać niewinną Adelę? Szaleństwo nie osłoniłoby monstrualności tego czynu, dlatego musi się upierać przy tym, że to ona jest winna, a on, pokrzywdzony mąż, działał w słusznej sprawie.

– Mógłby to pan wyjaśnić ławie przysięgłych?

– Co? Że Murphey gra zdrowego, gdyż uważa, że tak będzie bezpieczniej?

– Tak.

Thurlow wzruszył ramionami.

– Kto wie, w co będzie skłonna uwierzyć ława przysięgłych? Joe może być nawet pustą, wypaloną skorupą, lecz te łupiny są cholernie mocne... Do wnętrza nie przedostanie się żaden obcy element. Każde włókno tej skorupy usilnie stara się wykazać normalność tego, kto jest w niej zamknięty. Tak wobec niego samego, jak i wobec innych. Cokolwiek innego, jakaś odmienna taktyka mogłaby doprowadzić go nawet do śmierci.

Bondelli znowu wyjrzał przez okno. Dziwne, ta śmieszna smuga dymu ciągle się wlokła nad dachami; chyba gdzieś na dole kładziono nową warstwę asfaltu.

– Potrzebujemy jakiejś prostej i eleganckiej formułki, która wywarłaby na ławie przysięgłych odpowiednio silne wrażenie. Zaś pańskie wyjaśnienia spełniają te warunki – powiedział po chwili milczenia.

– Nie sądzę – zaproponował psycholog. – Sędziowie przysięgli najzwyczajniej w świecie nie zrozumieją moich wywodów. Proszę nie zapominać, że nie są to intelektualiści, lecz zwykli mieszkańcy oraz gospodynie domowe, pochłonięci swymi ogródkami, kwiatkami i myślami, w co by się ubrać; że nie wspomnę o obiadach, urlopach itd.

– Pan to powiedział, prawda?

– Załamanie psychiczne? Tak.

– Czy z punktu widzenia prawa ten człowiek jest psychicznie chory?

– Joe jest chory z każdego punktu widzenia.

– Cóż, były już precedensy...

– Psychologiczne precedensy są ważniejsze.

– Co?

– Panie Bondelli, jeśli czegoś się nauczyłem od chwili, gdy zacząłem pracować jako biegły sądowy, to przede wszystkim tego, że obrona poświęca znacznie więcej wysiłku na urobienie odpowiedniej opinii sędziego, aniżeli na odparowanie prawniczych argumentów oskarżenia i na odwrót. Ława przysięgłych czuje coś w rodzaju bałwochwalczej czci dla mądrości sędziów. Każdy z tych panów w togach, który zasiądzie w składzie sędziowskim podczas tego procesu, będzie członkiem konkretnej zbiorowości... w danym wypadku mieszkańcem tego miasteczka. Obywatele życzą sobie, aby Joe Murphey raz na zawsze zszedł ze sceny i najlepszym sposobem jest tu wyrok śmierci. Oczywiście, możemy udowadniać jego niepoczytalność w chwili popełnienia przestępstwa aż tchu nam zabraknie, lecz żaden z tych poczciwców nie przyjmie do wiadomości naszej argumentacji, choć zapewne niejednym podświadomie ją zaakceptuje. Faktem pozostaje jedno: dowodząc choroby psychicznej Joego Murpheya piszemy dlań wyrok śmierci.

– Chce mi pan dać do zrozumienia, że nie wystąpi pan jako świadek i nie oświadczy, iż przewidział kryzys psychiczny Joego?

– Oczywiście, że nie.

– I nie powie pan, że władze nie podjęły żadnych kroków zapobiegawczych, ponieważ Murphey był zbyt znaną osobistością?

– Naturalnie.

– Sądzi pan, że nie uwierzą w tę argumentację?

– Tu nie chodzi o ich wiarę lub niewiarę.

– A jeśli by uwierzyli...

– Powiem panu, w co uwierzą, choć jestem zaskoczony, że jako prawnik sam pan się tego nie domyślił. Otóż uwierzą, że Paret ma oczywiste dowody niewierności Adeli, lecz pańskie sztuczki adwokackie nie pozwalają mu ich wydobyć na światło dzienne. Uwierzą w to, co najłatwiejsze i nawet najbardziej patetyczne wystąpienia całej bandy psychologów ze mną na czele niczego tu nie zmieniają.

– Jest pan więc zdania, że nie mamy żadnych szans? Thurlow wzruszył ramionami.

– Owszem, zważywszy, że proces rozpocznie się lada dzień. Gdyby mógł pan to nieco odwlec albo postarać się o przeniesienie sprawy do innego miasta...

Bondelli przesunął krzesło i zapatrzył się w dym, snujący się tuż przed oknem.

– Prawdę powiedziawszy, trudno mi uwierzyć, że rozsądni, logicznie myślący ludzie...

– Ludzie nie są ani rozsądni, ani logiczni... – przerwał mu Andy. – Może zechce mi pan powiedzieć, co logicznego albo rozsądnego kryje się w ławie przysięgłych?

Bondelli aż poczerwieniał z gniewu. Przysunął się z krzesłem bliżej biurka i spojrzał ponuro na psychologa.

– Wie pan, co o tym sądzę? Otóż uważam, że pańska opinia na temat tej sprawy została ukształtowana przez Ruth, mówiąc ściśle przez fakt, iż kazała panu siedzieć w samochodzie, a później znikła bez słowa. Najpierw przyrzekł pan, że pomoże w sprawie jej ojca, a teraz...

– Wystarczy! – przerwał mu gniewnie Thurlow, po czym wziął dwa głębokie oddechy. – Niech mi pan powie, panie Bondelli, dlaczego przyjął pan tę sprawę? Przecież to nie pana specjalność.

Bondelli przejechał ręką po twarzy. Gniew powoli schodził z jego oblicza. Spojrzał na swego rozmówcę.

– Przykro mi, panie Thurlow. Uniosłem się.

– W porządku. Proszę tylko odpowiedzieć na to pytanie. Czy pan w ogóle wie, czemu zajął się tą sprawą? Bondelli westchnął.

– Kiedy wszyscy się dowiedzieli, że jestem doradcą prawnym Murpheya, zadzwonili do mnie dwaj spośród najbardziej znaczących klientów i oświadczyli, iż poszukają sobie innego adwokata, jeśli natychmiast nie złożę mandatu

Joego.

– I dlatego podjął się pan obrony?

– Joe musi mieć obrońcę najlepszego z możliwych.

– Uważa pan, że tak właśnie się stało?

– Najpierw chciałem jechać do San Francisco i pozyskać dla sprawy Melvina Belliego albo jednego z tych znamienitych adwokatów, o których rozpisują w gazetach, ale Joe w ogóle nie przyjął tej propozycji. Za nic nie chciał słyszeć o kimkolwiek innym. Uważa, że to będzie prosta i łatwa sprawa.

– A zatem praktycznie nic innego panu nie pozostaje.

– Dokładnie tak.

Bondelli skrzyżował ramiona.

– Wie pan, mam zupełnie inne spojrzenie na tę sprawę... całkowicie inne, niż pan. Sądzę, że naszym najważniejszym zadaniem jest wykazanie niepoczytalności oskarżonego.

Thurlow zdjął okulary i przetarł oczy. Zaczynały go już boleć. Zbyt wiele czytałem – pomyślał.

– Oczywiście – rzekł po chwili. – Ale jeśli ktoś cierpiący na szaleńcze urojenia uprze się, by trzymać język za zębami i nie zdradzić się najmniejszym słowem, wówczas trudno dowieść jego obłądu. Łatwo jest przedstawić opinii publicznej ewidentnego wariata, lecz wydobyć na jaw ukrytą psychozę, to nie taka prosta sprawa. Zwyczajni ludzie nie mają na ten temat żadnego pojęcia.

– A jednak nadal widzę cztery punkty zaczepienia – stwierdził Bondelli. – Jak sądzę, istnieją cztery powszechnie przyjęte kryteria, w oparciu o które stwierdza się zaistnienie choroby psychicznej lub jej brak. Mam tutaj cztery podstawowe rysy, charakteryzujące przestępcę-psychopatę.

Thurlow chciał coś powiedzieć, lecz adwokat uniósł dłoń z czterema wyciągniętymi palcami.

– Po pierwsze: czy morderca zyskał coś na śmierci swojej ofiary? Gdy psychojata chce kogoś zabić, nie liczy się z ewentualnym zyskiem. Poza tym Adela Murphey nie była nawet ubezpieczona.

Bondelli zgiął drugi palec.

– Po drugie: czy morderstwo zostało uprzednio zaplanowane? Psychojaci z reguły nie zastanawiają się nad tym, co robią. Albo po prostu uciekają z miejsca zbrodni, albo pozwalają się pojmać policji. Joe Murphey praktycznie nie uczynił niczego, by wymknąć się z rąk sprawiedliwości.

Thurlow kiwnął twierdząco głową. Zaczął się zastanawiać, czy adwokat ma rację, licząc na sukces swej taktyki.

– Po trzecie – ciągnął swój wywód mecenas – czy morderstwa dokonano najmniejszym nakładem sił i środków? Psychojata, gdy zdecyduje się kogoś zaatakować, znęca się nad ofiarą aż do chwili, gdy się wyładuje, co przeczy tezie o zbrodni z premedytacją. Któryż zbrodniarz z zimną krwią zadałby siedem pchnięć nożem? Wystarczyłoby jedno, ale celne.

Zakrzywił trzeci palec.

Thurlow poprawił okulary i spojrzał na mówcę. Bondelli był tak skoncentrowany, taki pewny siebie.

– Po czwarte: czy zbrodni dokonano jakąś specjalnie uprzednio przygotowaną bronią? Nie. W odróżnieniu od zbrodniarzy charakteryzujących się wyrachowaniem, psychojata sięga po wszystko, co mu wpadnie w rękę: nóż, kamień, krzesło, cokolwiek...

Ostatni palec opadł i Bondelli stuknął pięścią w biurko.

– Ten cholerny sztylet malajski wisiał nad kominkiem w salonie już od chwili, gdy zacząłem bywać u Murpheyów.

– To wszystko brzmi tak prosto... ale co na to prokurator?

– Cóż... mój szanowny kolega zbierze oczywiście swoich ekspertów i biegłych.

– Na przykład Whelye'a...

– Pańskiego szefa?

– Tak.

– Czy to wiąże się z jakimiś utrudnieniami w pracy zawodowej, doktorze?

– Niewiele mnie to obchodzi. Whelye jest kolejnym ogniwnem w łańcuszku powszechnych syndromów. Ludzie twierdzą, że lepiej się stanie, jeśli Joe Murphey umrze, toteż eksperci oskarżenia, których przed chwilą załatwił pan jednym ruchem ręki, powiedzą dokładnie to, czego sobie życzy opinia publiczna.

– Jestem przekonany, że możemy dostać bezstronnego sędziego.

– Tak... być może. Ale sędziowie mają to do siebie, że chcą koniecznie wiedzieć, czy w chwili dokonania zbrodni oskarżony był w stanie ocenić wartość moralną swego czynu, czy nie... Jest to przykry zwyczaj jednoznacznego określenia konkretnych działań jako dobre lub złe. Rozumie pan, do czego zmierzam? Jak gdyby ludzki duch był przedzielony na dwie części, jedną zdrową a drugą chorą, i w zależności od sytuacji któraś z nich brała górę. Absurd! Psychika stanowi przecież spójną jedność. Człowiek nie może być w połowie normalny, w połowie szalony. Gdy pojawia się obłąd, zostaje nim dotknięta cała osobowość. Umiejętność rozróżniania dobra od zła, tego co moralne od zbrodni, w niczym nie przypomina tabliczki mnożenia, gdzie dwa razy dwa zawsze czyni cztery. Zdecydowanie się na dobro lub zło wymaga pełnej, nie naruszonej osobowości.

Thurlow spojrział na adwokata, chcąc zobaczyć jego reakcję, lecz Bondelli spoglądał przez okno ze ściągniętymi w zamyśleniu brwiami. Thurlow podążył jego śladem. Był niemal chory z rozczarowania i zwątpienia. Ruth gdzieś uciekła... Tak, to było jedyne rozsądne i logiczne wyjaśnienie tego, co się stało. Jej ojciec i tak był zgubiony, niezależnie...

Nagle cały spiął się w odruchu strachu. Niecałe pięć metrów od okna w powietrzu unosił się jakiś przedmiot... kulisty obiekt z okrągłym otworem, wycelowanym w stronę okien kancelarii adwokackiej, gdzie teraz siedzieli. Z tyłu widać było poruszające się sylwetki.

Thurlow otworzył usta, lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zerwał się niezdarnie z krzesła, jak ślepiec przeszedł wzdłuż biurka, podpierając się o blat. Byleby jak najdalej od okna.

– Panie Thurlow... coś nie w porządku? – zaniepokoił się gospodarz. Obrócił się wraz z krzesłem i spojrział nań zatroskany.

Thurlow oparł się o biurko. Niczym zakłęty wpatrywał się w otwór szybującej kuli. Wewnątrz dostrzegł oczy... świecące błędnym ognikiem źrenice. Z otworu wystawała cienka rura. Jakaś siła ścisnęła mu piersi. Bolało. Musiał walczyć o każdy oddech.

Mój Boże, oni chcą mnie zabić!

Jego umysł zalały fale nieprzytomności, zawróciły, lecz zaraz dotknęły go znowu. Pierś piekła żywym ogniem. Widział rozmyte brzegi biurka... Blat drżał i podskakiwał. Coś uderzyło głucho o wysłaną dywanem podłogę. Czyżby to jego głowa? Usiłował się podnieść, lecz jakby zapadł się w siebie.

– Doktorze, co się stało? – głos adwokata brzmiał rozpaczliwie bezradnie. – Panie Thurlow, może pan mówić? Panie Thurl...

Bondelli ukląkł, chcąc zbadać nieruchomo leżące ciało, zaraz jednak podniósł się i krzyknął na sekretarkę.

– Pani Wilson! Proszę wezwać pogotowie. Pan Thurlow ma zawał...

Rozdział czternasty

Nie mogę przyzwyczać się do tego życia w takim stopniu, bym zaczął je lubić – powiedział sobie Kelexel. – Owszem, mam niezłą zabawkę, ale też czekają mnie obowiązki. Właśnie nadeszła chwila, kiedy powinienem stąd odejść. Wezmę ze sobą to stworzenie, lecz wszystko inne trzeba będzie zostawić.

Siedział w pokoju Ruth. Na niskim stoliku między nim a kobietą stała karafka z tutejszym likierem. Ruth była dziwnie cicha i zamyślona. Nawet duża porcja manipulacji nie zdołała wprawić ją w odpowiedni nastrój. Bardzo to zaniepokoiło Kelexela. Dotychczas była taka pojętna i powolna, wierzyła we wszystko i pilnie się uczyła. Teraz jednak nastąpił regres, i to wkrótce potem, gdy obdarzył ją tą fascynującą zabawką – pantovivorem.

Obok karafki stał flakon ze świeżymi kwiatami. Ruth powiedziała, że są to róże. Likier przysłała Ynvic. Kelexel spróbował napoju i był mile zaskoczony jego smakiem. Szybko uderzająca do głowy substancja wymagała ciągłego dostosowywania się jego metabolizmu. Był ciekaw, w jaki sposób radzi sobie z tym Ruth. Wypił całkiem

sporo.

Mimo zabiegów zmierzających do utrzymania równowagi w przemianie materii, czuł się przyjemnie. Zmysły zostały pobudzone, widzenie się wyostrzyło, nuda ustąpiła miejsca miłemu podnieceniu. Podniósł wypełniony bursztynową cieczą kieliszek.

– Dobry napitek, wykwintne jedzenie, wygodne ubranie... a do tego rozrywka i radość. Któż mógłby się tu nudzić.

– Tak, istotnie... – mruknęła Ruth. – Któż mógłby się tu nudzić.

Podniosła kieliszek do ust i jednym haustem opróżniła zawartość.

Kelexel pociągnął nieco ze swojego. W głosie Ruth wyczuł coś obcego. Rzucił okiem na manipulator, zastanawiając się, czy nie należałoby nieco wzmocnić. A może to wina tego likieru?

– Dobrze zabawiałaś się przy pantovivorze? Ty wstrętny karle! – pomyślała i uśmiechnęła się obłudnie.

– Tak, to niezapomniana rozkosz. Czemu sam nie zabawiasz się w ten sposób? Kochanie...

Kelexel obserwował ją z przerażeniem. Najwyraźniej ta ciecz działała w jakiś sposób na jej system nerwowy. Przerzucała głowę z jednego ramienia na drugie. Kiedy znowu podniosła do ust świeżo napełniony kieliszek, napój pociekł jej na brodę i ochlapał suknię, aż w końcu szkło wypadło jej z ręki. Kelexel podniósł je z podłogi i postawił z powrotem na stole obok karafki. Powiedział sobie, że to stworzenie albo nie jest zdolne do kontrolowania przemiany materii, albo nigdy tego nie umiało.

– Co... nie podobają ci się historyjki? – spytała.

Kelexel zaczął sobie przypominać te spośród produkcji Fraffina, w których poruszano problem środków oszałamiających oraz ich oddziaływanie na tubylców. Tak, miał dobre odczucia: te stworzenia nie były zdolne do neutralizowania wpływu substancji podniecających.

– Cóż za cholerny świat – mruknęła. – Czy nie sądzisz, że sami jesteśmy bohaterami jakiejś historyjki? To znaczy, czy nie filmują nas teraz owymi przeklętymi, wszędobylskimi kamerami?

Co za wstrętny pomysł – pomyślał. Z drugiej jednak strony nie musiało to odbiegać zbyt daleko od prawdy. Stworzenia w rodzaju Ruth już od dawna żyły we śnie, którego wątki zbiegały się w rękach Fraffina. Nie były to oczywiście sny w ścisłym tego słowa znaczeniu, ponieważ Chemowie

mogli realnie wkraczać w ten świat. I dopiero teraz, jakby w nagłym olśnieniu Kelexel zrozumiał, że on także dał się złapać w matnię, stworzoną przez głównego dyrektora kreocentrum. Wszedł w świat tej historii, kompromitując się raz na zawsze. Dał się kupić. Miał ochotę zniknąć z tego pokoju, jakimś cudownym sposobem wyrwać się stąd i wrócić do swych dawnych obowiązków. Wiedział jednak, że to niemożliwe. W jaki sposób wpadł w te sidła?

Spojrzał na Ruth. Obudziła się podejrzliwość... rozejrzał się wokół. Co tu jest grane? Tu i teraz nie znalazł niczego, na czym mógłby skoncentrować profesjonalną nieufność. Już tylko z tego powodu poczuł gniew. Zaczął się bać. Miał wrażenie, jakby ktoś się nim bawił. Fraffin? Dyrektor oraz jego ludzie skorumpowali i przekabacili na swą stronę już sześciu pracowników Biura – poprzedników Kelexela. Wszystkich sześciu zwolniono ze służby.

Dobrze, ale jak to się stało? Jakie plany mają wobec jego osoby? Z pewnością w międzyczasie dowiedzieli się, że nie był zwykłym turystą.

Ruth zaczęła płakać. Szlochała tak mocno, że drżały jej ramiona.

Czy mieszkali tutaj jacyś tubylcy? A może to ona jest kluczem do całej zagadki?

Ruth zerwała się z fotela, przycisnęła rękę do ust i pobiegła do łazienki. Widział jej szklane oczy, zroszone potem czoło... Pochyliła się nad zlewem, zakrztusiła się i zwymiotowała. Wstał i dyskretnie przymknął drzwi. Słuchając szumu wody, podążył śladem alarmujących myśli. Ruth po dość długim czasie wróciła. Była nieco blada, lecz znacznie trzeźwiejsza. Usiadła.

Kelexel, czując przyływ złości, wyregulował manipulator. Ta kobieta jest odpychająca, krnąbrna; w ciągu tych paru chwil stała się zupełnie inna. W jaki sposób mogło do tego dojść? Tylko Chemowie oraz odpowiednio przystosowani mutanci byli odporni na manipulację, choć dzieci rodziły się nie do końca uodpornione. Pełnej im-munizacji dokonywano wkrótce po urodzinach.

Obserwował Ruth. Odpowiedziała mu wrogim spojrzeniem. Znowu ustawił natężenie manipulatora. Kobieta poczuła, jak jej gwałtowne emocje wygasają, jak uspokaja się i doznaje ukojenia. To wszystko działo się z niewiarygodną wprost szybkością. Jej umysł zamglił obłok sztucznego otrzeźwienia.

– Proszę, przestań mnie zmieniać – szepnęła.

Nie zmieniać jej?

W jej szepcie można było wyczuć twarde jądro oporu. Kelexel zorientował się bez trudu. W ten sposób barbarzyńcy odzywali się do nich, cywilizowanych. W jednej chwili stał się wiernym sługą Prymasa. Ta kobieta nie powinna być zdolna do stawiania oporu. Jeśli było inaczej, to dlaczego? Przypomniał sobie pierwszą rozmowę z dyrektorem i groźne nuty, dźwięczące w jego słodkich słowach.

– Jakie rozkazy wydał ci Fraffin? – spytał ostro.

– Fraffin? – powtórzyła zaskoczona. – Nigdy go nie widziałam.

– A jego zausznicy... co ci mówili? Ponownie potrząsnęła głową, lecz Kelexel nadal utwierdzał się w swej nieufności do Fraffina i jego ludzi. Być może właśnie ona była tą bronią, której użyli przeciwko niemu. Ta kobieta coś czuła, ale rozumiała zbyt mało, by umieć wykorzystać swe przeczucia.

– Jeśli dyrektor poczyna sobie z wami w sposób nielegalny, muszę to wiedzieć – uprzedził ją. – I dowiem się, prędzej czy później.

Pokręciła głową.

– Kiedy obecny dyrektor przybył na tę planetę, byliście niewiele więcej niż zwierzętami. Wówczas Chemowie poszli między was jako bogowie.

– Mówiłeś: "nielegalnie" – powtórzyła Ruth. – Co miałeś na myśli?

– Gdy jakaś rasa, na przykład twoja, osiąga określony stopień rozwoju, wówczas staje przed pewnymi... swobodami, na które nie możemy jej zezwolić. Już kilkakrotnie musieliśmy wyniszczyć całe gatunki różnego rodzaju stworzeń, kilku Chemów obłożyć srogimi karami...

– Co to za swobody?

– Nie musisz tego wiedzieć.

Kelexel odwrócił się do niej plecami. Było zupełnie widoczne, że przemawia przez nią niewiedza. Pod takim naciskiem manipulacji nie byłaby w stanie kłamać, ani udawać naiwności.

Ruth spojrzała na jego plecy. Przyszło jej na myśl pytanie, które od wielu już dni nie dawało jej spokoju. Tym razem zdobycie odpowiedzi wydawało się znacznie ważniejsze niż kiedykolwiek.

– Ile masz lat?

Kelexel powoli odwrócił się w jej stronę. Przez jakiś czas borykał się ze sobą, by przezwyciężyć wstręt, jaki wzbudził w nim nietakt tego pytania.

– Dlaczego cię to interesuje?

– Chcę wiedzieć.

– Czas faktyczny nie jest tu ważny. Mogę ci jednak powiedzieć, że od chwili, kiedy się pojawiłem, powstały i przeminęły dziesiątki światów takich jak ten tutaj. Powiedz mi teraz, czemu zadałaś to pytanie.

– Tak sobie... Po prostu chciałam wiedzieć. Przełknęła ślinę.

– W jaki sposób utrzymujecie się w dobrej kondycji?

– Przez odmładzanie.

Potrząsnął z niesmakiem głową. Cóż za niemiły temat rozmowy. Ta kobieta naprawdę jest barbarzynką. Ruth wyczuła jego niepokój i ucieszyła się. Wreszcie znalazła jakiś słaby punkt.

– Ta kobieta, Ynvic, powiedziała, że jest chirurgiem – podjęła. – Czy odmłodzenie to coś w rodzaju operacji?

– Nie, to czysta rutyna – odparł. – Mamy niezwykle sprytnie urządzenia, które dokonują całego zabiegu. Chirurgi zajmują się drobnostkami, ale bardzo rzadko wkraczają do akcji. Na ogół sami troszczymy się o wszystko. Czemu pytasz?

– Czy mogłabym...

Kelexel odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Musiałabyś być Chemem z urodzenia. Inaczej nie jest to możliwe.

– Ale przecież jesteśmy prawie tacy sami. Możemy razem spać, płodzić potomstwo...

– Nie z tobą, kochanie, nie z tobą. Istotnie, jesteśmy do siebie w pewien szczególny sposób podobni, przyznaję. Ale ty służysz jedynie do rozrywki i urozmaicenia nieskończenie długiego, nudnego żywota. Nic więcej. My, Chemowie, nie możemy się krzyżować z innymi rasami.

Przerwał nagle. Spojrzał na nią badawczo i zamyślił się. Rozmowa przypomniła mu podobną nieco dyskusję, którą przeprowadził z Ynvic. Tematem byli immuni, obecni wśród tubylców... ewentualnie obecni. Czy to możliwe? Nie, raczej nieprawdopodobne. Przecież ciągle pobierano od tych stworzeń próby genetyczne, badane w specjalnym laboratorium. Sam widział. A gdyby tak... Nie. To po prostu niemożliwe. Lecz przecież próby można było zamienić, zafałszować, cokolwiek... Ynvic byłaby w stanie dokonać wszystkiego, na co miałyby ochotę.

Cały ten pomysł był monstrualnie przeraźliwy, ale przecież pozostawał margines prawdopodobieństwa. Co prawda nawet sam Fraffin nie ośmieliłby się zaludnić planety pół-immunami, gdyż Rada i tak wydobyłaby to kiedyś na światło dzienne, ale...

– Porozmawiam z dyrektorem – wykrztusił.

Rozdział piętnasty

Gdy wszedł Kelexel, Fraffin czekał za biurkiem. Oświetlenie ustawiono na maksymalną moc, toteż całe pomieszczenie zalewało oślepiające światło. Błat biurka lśnił niczym lustro. Dyrektor ubrany był w szary, skrojony na tubylczą modłę, garnitur, co Kelexel skonstatował z pewnym niedowierzaniem. W mankietach śnieżnobiałej koszuli połyskiwały złote guziki. Pod maską zamyślenia Fraffin skrywał podniecenie i głęboką radość. Ten biedny cymbał dał się złapać!

– Chciałeś ze mną rozmawiać? – spytał, nie wstając z fotela, czym podkreślał swe lekceważenie wobec gościa.

Kelexel odnotował dokładnie wszystkie gesty. Zachowanie Fraffina było niemal gburowate; z pewnością nie należało do uprzejmych. Niewątpliwie stanowiło oznakę pewności siebie i poczucia bezpieczeństwa, czego nie należało bagatelizować. Ale Prymas nie wysyłał z tak ważną misją nieuważnego durnia. O tym dyrektor wkrótce powinien się przekonać.

– Chciałbym porozmawiać o tym stworzeniu, które łaskawie oddałeś mi do dyspozycji – rzekł i nie czekając na zaproszenie, zajął miejsce naprzeciwko.

– Coś nie w porządku? – spytał Fraffin, śmiejąc się w duchu. Otrzymał już raport o ostatnich przejściach Kelexela z miejscową pięknoscią. Badacz stał się teraz nieufny, lecz było już za późno – o wiele za późno.

– Z nią być może wszystko jest w porządku – zaczął przybysz. – To prawda, że dostarcza mi niemało przyjemności. Zauważyłem jednak, iż wiem zbyt mało o tubylcach, o ich pochodzeniu i o tym, jak...

– Przeszedłeś do mnie po te informacje? – spytał niecierpliwie dyrektor.

– Byłem przekonany, że zechcesz ze mną porozmawiać.

Kelexel czekał, myśląc, iż w odpowiedniej chwili wydobył konflikt na światło dzienne. Fraffin oparł się wygodnie. Oczy miał w półprzymknięte i sprawiał wrażenie, jakby rozważał dalszą taktykę. Kelexel wyciągnął dłonie na poręczach fotela. W laboratorium, będącym zarazem gabinetem dyrektora unosił się słaby egzotyczny zapach, przesycony dziwną obcością. Chyba jakiś olejek eteryczny – pomyślał.

– Ale nie narzekasz na brak przyjemności? – upewnił się Fraffin.

– Jest wspaniała – potwierdził badacz. – Nawet lepsza od Suhi. Zachodzę w głowę, czemu nie eksportujesz tych samic.

– A zatem miałaś już Suhi – powtórzył dyrektor, chcąc zyskać na czasie.

– Owszem. Naprawdę dziwię się, dlaczego nie zacząłeś eksportu. Te stworzenia są takie śmieszne...

Aha, uważasz, że są śmieszne – pomyślał Fraffin z pewną dozą goryczy. Kelexel był najwyraźniej zadurzony po uszy w tej kobiecie. Cóż, to jego pierwsza...

– Wielu kolekcjonerów ustawiłoby się w kolejce, by móc skorzystać z takiej okazji – ciągnął dalej badacz. – Spośród wszystkich kosztowności, jakie tu masz...

– Naprawdę sądzisz, że nie mam nic lepszego do roboty, niż zabawiać się w handel tubylcami? I tylko po to, aby pewni Chemowie mogli się nimi zabawić?

W jego głosie słyhać było zdecydowany gniew; złość tak wyraźną, że aż sam się zdziwił. Czyżbym był zazdrosny?

– W czym więc, upatrujesz swój główny cel, jeśli pozwalasz, by umknął ci tak znaczny zarobek?

Kelexel odczuwał wznoszące podniecenie. Oczywiście, dyrektor zdołał się już dowiedzieć, z

kim naprawdę ma do czynienia, lecz w jego zachowaniu nie mógł dostrzec ani śladu strachu.

– Jestem kolekcjonerem plotek i innych historyjek – wyjaśnił Fraffin. – Fakt, że niektóre z nich sam produkuję, jest w gruncie rzeczy bez znaczenia. Zajmuję się tym jedynie dlatego, by nie dać zgnuśnić swemu talentowi.

Plotki? – zdziwił się badacz.

Kolekcjoner historyjek i plotek? – zastanowił się gospodarz. – Tak, coś w tym jest. Wiedział już, że zazdrości swemu rywalowi, zazdrości mu pierwszego spotkania z tą kobietą. Przypomniawsobie stare, dobre czasy, gdy Chemowie częściej wędrowali po tym świecie niczym gromada akuszerki pilnując dojrzenia nowej cywilizacji. Tak, to były czasy... Fraffin dał się porwać tym obrazom. Owe dni, kiedy to sam żył wśród tubylców, nasłuchując, ucząc i manipulując. Oczyma wyobraźni widział swą własną willę w podrzymskich Bajach, niedaleko grotu, gdzie słynna Sybilla trudniła się przepowiadaniem i dawała wyrocznie... oczywiście, wedle jego rad. Widział wybrukowany gościniec, młode brzoskwinie i przesłaniające portyk domu błękitnymi kwiatami glicynie. Tak kochała glicynie! A później zachód słońca nad morzem, płynne złoto połyskujące w zatoce, gdzie kąpała się Ischia... utopiona, przebolana.

– Tak łatwo umierają... – wyszeptał.

– Mam wrażenie, że masz skłonności do dekadencji... to podkreślanie przemocy i śmierci... Wiele tego w twych filmach.

Fraffin obrzucił gościa ponurym spojrzeniem.

– A ty myślisz pewnie, że jesteś od tego wolny? Z pewnością nie. Słyszałem, iż masz słabości do stylu życia tubylców, lubisz ich jadło i napoje. Jak marnie znasz samego siebie!

Twarz badacza poczerwieniała z gniewu. Tego już za wiele! Fraffin pogwałcił wszystkie reguły przyzwoitości.

– Dla Chemów drzwi śmierci i przemocy stoją zamknięte, zapieczętowane na zawsze. Rozpowszechnianie tych idei w charakterze rozrywki to tylko perwersyjna zabawa, nic poza tym.

– Mamy zamknięte drzwi śmierci? Nie interesuje nas przemoc i umieranie? Dekadencja? – Fraffin roześmiał się. – A jednak ciągle mamy je przed oczyma, niczym wieczną pokusę. Cóż ja takiego robię, co cię tak bardzo pociąga? Nie wiesz? No to ci powiem: igrzm z tą pokusą. Czynię to dla swych braci Chemów, aby mogli się przyglądać. A przyglądają się dlatego, że czują taką potrzebę.

Mówiąc, Fraffin gestykulował żywo. Kelexel spoglądał nań w milczeniu, urzeczony jego słowami. Śmierć – pokusa? Z pewnością nie, lecz w tym pomysle było coś, co zawierało szczyptę prawdy, a nawet zwykłej, wyważonej oczywistości.

– Naśmiewasz się ze mnie. Uważasz, że jestem zabawny!

– Nie ty jeden – odparł dyrektor. – Wszystko jest zabawne: i te biedne stworzenia, uwięzione w klatce mojego świata, i każdy z nas, którzy nie chcemy już dłużej słuchać przestróg wiecznego życia. Oczywiście, jak zawsze istnieje tu pewien wyjątek. Kto? Naturalnie, nikt inny, tylko ty sam. To właśnie widzę i to mnie bawi. Śmiejesz się z mych stworzeń, gdy widzisz je w pantovivorce, ale nie wiesz, skąd bierze się ta wesołość. Powiem ci: stąd, gdzie pogrzebaliśmy myśli o naszej śmiertelności.

Kelexel był tak zszokowany, że pozwolił sobie na rozbrajającą szczerość – brak pewności.

– My nie jesteśmy śmiertelni.

– Ależ drogi przyjacielu, oczywiście, że jesteśmy – zmiłygował go ojcowskim tonem Fraffin. –

Każdy z nas może kiedyś odmówić kuracji odmładzającej i to jest właśnie śmierć.

Kelexel spojrział na dyrektora – ten osobnik jest szalony!

Tymczasem wiecznie czuwająca świadomość odkryła przed Fraffinem sens jego nieroztropnych słów i sprawiła, że się zawstydził. Jestem zgorzkniały i pożałowania godny – pomyślał. – Przyjąłem taki system wartości, na jaki nie ważyłby się żaden spośród mojej rasy. Na samą myśl zadrżałby w fundamentach. Współczuję Kelexelowi i współczuję tym wszystkim stworzeniom, którymi bez ich wiedzy steruję i poruszam.

Pomyślał o kobiecie... ciemnej, egzotycznej pani jego wiejskiej posiadłości w okolicach Rzymu. Nie była wyższa od niego, który, choć karłowaty według miary tubylców, w jej oczach zasługiwał na pełne oddanie. Urodziła mu ośmioro śmiertelnych dzieci, aż w końcu postarzała się i straciła dawny powab. Także to sobie przypominał. Dała mu coś, czego nikt inny dać by nie potrafił – udział w jej śmiertelności, który przyjął jako swój własny. Co dałby Prymas, by wiedzieć o tym krótkim epizodzie – pomyślał.

– Mówisz niczym szaleniec... – szepnął Kelexel.

Co, nie liczyłeś się z taką otwartością? – uśmiechnął się w duchu Fraffin. – Może poświęcam temu gburowi zbyt wiele czasu? – zaniepokoił się po chwili. – Może powinienem powiedzieć mu już teraz, w jaki sposób wpadł w moje sieci? Czuł jednak, że gniew zbyt rozpałił jego umysł, by mógł pozostawić tę uwagę bez odpowiedzi.

– Niczym szaleniec? – powtórzył szyderczo. – Powiadasz więc, że my, Chemowie, jesteśmy nieśmiertelni. Zechciej jednak wyjaśnić, w jaki sposób się to dzieje? Nie wiesz? Za to ja wiem: odmładzamy się bez ustanku, raz za razem. W którym stadium naszego rozwoju, Chemie Kelexelu, zakrzepliśmy?

– Stadium? – zdumiał się Kelexel. Słowa Fraffina były jak uderzenia ognistego bicia.

– Tak, stadium. Chyba nie powiesz mi, że zakrzepliśmy w szczytowym momencie dojrzałości. Aby być dojrzałym, trzeba zakwitnąć i wydać owoce. My zaś nie czynimy ani jednego, ani drugiego. Nie robimy niczego pięknego ani dojrzałego, co byłoby esencją nas samych.

– Uzyskałem prawo do potomstwa! Fraffin nie mógł stłumić uśmiechu, a widząc gniew na twarzy Kelexela, dokończył:

– Uwiędłe nasienie, wieczna niedojrzałość, z której nie powstaje nic innego niż ona sama. Jakże pusty i tchórzliwy jesteś, mój przyjacielu.

– A czego miałbym się obawiać? – spytał Kelexel. – Śmierć nie może mnie dotknąć. Ty także nie jesteś mi groźny.

– Od wewnątrz – rzekł Fraffin. – Śmierć może dotknąć Chema od wewnątrz. Jesteśmy suwerennymi indywiduami, nieśmiertelnymi cytadelami naszej jaźni i nikt nie może skruszyć tego gmachu. Ale od wewnątrz tak. W każdym z nas drzemie bagaż naszej przeszłości, leży ziarno, które szeptem od czasu do czasu: "Czy pamiętasz te chwile, gdy byliśmy śmiertelni?"

Kelexel uniósł się z krzesła.

– Jesteś szalony!

– Usiądź, turysto!

Badacz z powrotem zajął swe miejsce. Z głębi pokładów pamięci przywołał informacje, które mówiły, że Chemowie w zasadzie byli odporni na ostre formy szaleństwa, lecz nigdy nie można do końca wiedzieć, jakie nerwowe napięcie potrafi wywołać kontakt z obcymi istotami na samej granicy potężnego uniwersum.

– Pozwól nam się przekonać, czy masz sumienie – powiedział Fraffin.

Było to tak nieoczekiwane, że Kelexel mógł odpowiedzieć tylko spojrzeniem, lecz gdy się zastanowił, dostrzegł niebezpieczeństwo w słowach.

– O czym mówisz?

Ze zdumieniem spostrzegł, jak jeden z ekipy kuglarzy wszedł do gabinetu z flakonem róż i ustawił je na szafce za biurkiem. Były czerwone i w pełni rozwinięte. Podczas gdy Kelexel oglądał kwiaty, Fraffin zajął się konsolą. Pantovivor zabrzęczał i ryknął niczym ogromny potwór. Kelexel spojrzał na prawo od dyrektora, na miejsce, leżące w polu widzenia ich obu. Zabawka przemieniała się w monstrum, a on czuł się zagrożony siłą jego uderzenia. Zrozumiał, że już od dawna nie kontrolował sytuacji, lecz co najwyżej reagował na posunięcia swego gospodarza. Czuł się bezsilny wobec wyczynów obłąkanego Fraffina.

– To godne uwagi, że w swoim czasie podarowałaś temu stworzeniu pantovivor – stwierdził dyrektor. – Może powinniśmy zajrzeć, co w tej chwili ogląda?

– A co nas to obchodzi? – spytał Kelexel. W swym głosie słyszał niepewność oraz irytację. Wiedział, że nie umknęło to uważnemu Fraffinowi.

– A jednak popatrzmy.

Scena zamieniła się w pomieszczenie – jedno z wielu, jakie można oglądać na górze, na powierzchni planety. Było to długie, wąskie pomieszczenie o szarożółtych ścianach. Pośrodku stał mocno nadwerżony, nadpalony i porysowany stół, pod jednym z okratowanych okien syczało parowe ogrzewanie. Przy stole siedziało naprzeciwko siebie dwóch mężczyzn.

– Tak – zaczął wyjaśniać Fraffin. – Ten z lewej strony to ojciec twego bawidełka, a ten z prawej to mężczyzna, z którym by teraz spółkowała, gdybyśmy nie weszli do akcji i nie wykradli jej dla ciebie.

– Głupi, bezużyteczni prostacy – zadrwił Kelexel.

– Nieważne. W każdym razie twoja zabawka siedzi teraz u siebie i ogląda tych obu.

– Jestem pewien, że czuje się tutaj zupełnie dobrze.

– Dlaczego w takim razie nie zwolnisz jej spod kontroli manipulatora?

– Zrobię to natychmiast, gdy zostanie w pełni uwarunkowana – oświadczył Kelexel. – Gdy zrozumie, co możemy jej dać, że służąc jednemu spośród Chemów, będzie bardziej niż szczęśliwa.

– A jakżeby inaczej...

Fraffin obserwował profil Andy'ego. Thurlow poruszał wargami, lecz nie było słyhać, co mówi, ponieważ wyłączono dźwięk. Dlatego właśnie ogląda te sceny z bieżącej produkcji.

– A cóż jest w nich takiego ważnego? – zdziwił się Kelexel. – Może fascynuje ją twoja sztuka.

– W istocie.

Kelexel przyjrzał się uważnie twarzy tubylca z lewej strony. Ojciec tej istoty? Zauważył, że mężczyzna przymknął ciężkie powieki. Był to potężnie zbudowany, zażywny jegomość, grubokościsty i masywny. W jaki sposób taki stwór mógł spłodzić tak subtelną istotę?

– Ten, z którym miałaby teraz spółkować, jest tamtejszym szamanem.

– Szamanem?

– Mają zwyczaj nazywać się psychologami. Chcesz posłuchać, o czym mówią?

– Chyba nikomu to nie zaszkodzi – Kelexel wzruszył ramionami – ...a może nawet będzie zabawne – dokończył, lecz w jego głosie trudno było doszukać się podniecenia. Dlaczego ta kobieta ogląda postacie ze swej przeszłości? Przecież w ten sposób przysparza sobie jedynie cierpień.

– Sza...

– Co?

– Słuchaj!

Thurlow kartkował jakieś papiery, leżące przed nim na stole. Pachniało zakurzonym suchym powietrzem. Rozległ się dobroduszny głos Joego Murpheya.

– Jestem zaskoczony, widząc cię tutaj, Andy. Słyszałem, że miałaś zawał czy coś w tym rodzaju.

– To była chyba jednodniowa grypa – rzekł Thurlow. – Wszyscy się na nią uskarżają.

– Masz jakieś nowiny o Ruth?

– Żadnych.

– Znowu ją straciłeś, ot i wszystko. A przecież mówiłem ci, byś się o nią troszczył. Ale może wszystkie kobiety są dzisiaj jednakowe.

Thurlow poprawił okulary i spojrzał do góry – prosto w oczy Chema filmującego tę scenę.

– Co ty na to? – wyszeptał Fraffin.

– Immun! – syknął wywiadowca. Mam go! – pomyślał. – Sam widziałem, że pozwala immunowi obserwować grupę zdjęciową. Głośno zaś spytał:

– Czy ta istota jeszcze żyje?

– Właśnie daliśmy mu skosztować nieco naszej mocy – rzekł dyrektor. – Ale uważam, że jest zbyt zabawny, by go tak po prostu zniszczyć.

Joe Murphey zakaszlał i odchrząknął głośno.

Kelexel usadowił się wygodniej na krześle. Jeśli ty nie chcesz go zniszczyć, ja zniszczę ciebie – rzekł w duchu.

– Gdybyś siedział razem ze mną, z pewnością byś się nie rozchorował – stwierdził lakonicznie Murphey. – Nawet wliczyłem to w koszta więzienne. A jednak nie mogę się nadziwić, jak zręcznie dopasowałem się do tutejszego porządku dnia.

Thurlow znowu skierował swą uwagę na leżące przed nim papiery.

— To znaczy, że wszystko w porządku?

— – spytał, kładąc przed Joem kartkę z atramentowymi plamami, by przeprowadzić test Rorschacha.

– Hm... jakoś leci – powiedział więzień, starając się nie spoglądać na kartę.

– Tym razem zrobimy to trochę inaczej – oświadczył Thurlow. – Tak często zabawiałeś się tym testem, że muszę wprowadzić pewne urozmaicenie.

W oczach Murpheya pojawiło się napięcie, ale jego głos pozostał przyjazny i szczerzy.

– Jak uważasz, Andy. W końcu to ty jesteś lekarzem.

– Usiądę naprzeciwko ciebie. Doktor położył obok siebie stoper.

– Poza tym zmieniłem kolejność kart.

Joe sprawiał wrażenie, jakby zahipnotyzował go stoper. Patrzył na ten przedmiot bezustannie i z napiętą uwagą. Przez jego palce przebiegło lekkie drżenie. Musiał włożyć sporo widocznego wysiłku, by nadać twarzy wyraz zrównoważonej serdeczności i gotowości do współpracy.

– Ostatnim razem usiadłeś z tyłu... zresztą doktor Wheyle też wolał oglądać moje plecy.

– Wiem. – Thurlow sprawdzał kolejność ułożenia kart.

Gdy Fraffin dotknął jego ramienia, Kelexel aż podskoczył. Spojrzał przed siebie i dostrzegł dyrektora pochylonego nad biurkiem.

– Ten Thurlow jest niezły – wyszeptał Fraffin. – Obserwuj go uważnie. Spójrz, jak zmienia kolejność kart. Jeśli test jest często powtarzany na jednym osobniku, badany wkrótce się uczy. Thurlow stara się, by zapobiec rutynie u swego pacjenta.

Kelexel słyszał w słowach Fraffina dwie warstwy znaczeń; obserwował jak dyrektor podśmiewając się opadł ciężko w głąb fotela. Badacz ponownie poczuł się niemiło, lecz tym razem

wrażenie to odczuwało się ze zdwojoną siłą. Skierował wzrok na scenę pantowivoru. Przyglądał się Thurlowowi rozmyślając, czy Ruth wróciłaby do tej kreatury, gdyby darowano jej wolność. Kto wie? Ale jak to możliwe po przeżyciu takiej przygody z Chemem? Poczul, jak kłuje go żądło zazdrości. Spochmurniał. Doktor zakończył właśnie przygotowania, odkrył pierwszą kartę, włączył stoper, a następnie przykrył go otwartą dłonią.

Joe Murphey przyglądał się obrazkowi, ściągnąwszy wargi. Po krótkiej chwili namysłu zaczął mówić.

– Wypadek samochodowy. Dwóch zabitych... być może rannych. Na skraju ulicy leżą ich ciała. Tak dużo dzisiaj wypadków. Ludzie po prostu nie wiedzą, jak obchodzić się z szybkimi maszynami.

– Czy wydobędziesz jakieś części tego rysunku, czy też całość tworzy opisywany przez ciebie obraz? Murphey spojrzął, zamrugał oczami.

– Tylko ta część tutaj.

Odłożył kartkę rysunkiem do dołu i wziął następną.

– To jest testament albo coś w tym rodzaju. Jakiś dokument, który ktoś wrzucił do wody. Pismo zupełnie się rozmyło, dlatego nie można nic odczytać.

– Testament? Do kogo, twoim zdaniem, może należeć? Murphey pomachał kartką w powietrzu.

– Wiesz, kiedy umarł mój dziadek, nie znaleziono żadnej ostatniej woli. Niczego, żadnych dyspozycji. Wiedzieliśmy, że spisał taki akt, lecz tylko w jednym egzemplarzu. Ponieważ jednak nikt niczego nie znalazł, największa część majątku przeszła na wuja Amosa. Z tego wszystkiego wyciągnąłem dla siebie jedną naukę: ostrożnie obchodzić się z papierami. Ważne dokumenty należy starannie przechowywać.

– Czy twój ojciec był równie pedantyczny?

– Mój stary? Skądże, wręcz przeciwnie. Thurlow sprawiał wrażenie, jakby w tonie głosu Murpheya odkrył coś interesującego.

– Czemu pożarłeś się z ojcem?

– Mocno powiedziane. Kłóciliśmy się czasami, i tyle. Murphey odłożył kartę i wziął następną. Przechylił głowę.

– Skóra z piżmowca, wystawiona na schnięcie. Gdy byłem młody, za jedną taką można było dostać jedenaście centów.

– Spójrz jeszcze, może znajdziesz coś innego. Niewykluczone, że przyjdzie ci do głowy jakieś nowe skojarzenie.

Murphey rzucił doktorowi szybkie spojrzenie, lecz zaraz znowu zapatrzył się w rysunek. Widać było, że cały jest spięty i nie czuje się dobrze. W końcu ponownie spojrzął na Thurlowa.

– To może być martwa mysz polna. Ktoś ją zastrzelił.

– Tak? A dlaczego?

– Ponieważ myszy polne są brudne!

Murphey położył kartkę na stole i odsunął ją od siebie. Wydawało się, że przyciśnięto go do ściany. Powoli sięgnął po kolejny rysunek. Z wahaniem, jakby obawiając się tego, co tam ujrzy, odwrócił ją obrazkiem do siebie.

Thurlow zerknął na stoper.

Joe oglądał uważnie kartkę, kilkakrotnie przymierzał się do odpowiedzi, ale za każdym razem rezygnował. W końcu zdobył się na odwagę.

– Fajerwerk. Rakiety strzelają w powietrze, rozsiewając gwiazdy i ogniste kule. Z tego może powstać pożar.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego?

– Słyszałem o tym.

– Gdzie?

– Czy ty nie czytasz żadnych gazet? Co roku przestrzega się ludzi przed niebezpieczeństwem, jakie niosą ze sobą sztuczne ognie.

Thurlow zapisał coś w notesie. Murphey obserwował go przez moment nieufnie, po czym przeszedł do następnej karty. Wyciągnął ją na odległość ramienia i spojrzął.

– To po lewej stronie może przedstawiać tę górę w Szwajcarii, skąd spadło już tylu ludzi, łamiąc sobie kark.

– Matterhorn?

– Tak.

– A reszta... czy coś ci mówi?

– Nie – Murphey odłożył kartkę na stół. Thurlow zrobił kolejną notatkę i spojrzął na Murpheya, który oglądał już następny rysunek.

– Widziałem to nieraz – rzekł – ale nigdy nie zwróciłem większej uwagi na to miejsce u góry – wskazał palcem. – To wrak okrętu, a te małe punkciki, to topielcy.

Thurlow przełknął ślinę. Sprawiał wrażenie, jakby się namyślał nad stosownym komentarzem. Nagle pochylił się do przodu i spytał zniecierpliwionym.

– Czy ktoś ocalał?

Przez twarz Murpheya przesunął się cień smutnego zaprzeczenia.

– Nie – westchnął. – A poza tym mój wujek Al umarł wtedy, gdy zatonął Titanic.

– On też był na pokładzie?

– Nie, ale w ten sposób zawsze pamiętam tę datę. Tak samo katastrofę Zeppelina... Był to rok, gdy wraz ze swą firmą wkroczyłem na plac budowy nowego biurowca.

Uniósł następną kartę i roześmiał się.

– To proste. Grzyb atomowy. Thurlow zwilżył wargi końcem języka.

– Cały rysunek?

– Nie, tylko część z tej strony. Wygląda jak zdjęcie wybuchu.

Mięsistą ręką sięgnął po następną kartę. Pochylił się i obejrzał ją z bliska, niczym krótkowidz.

Kelexel zerknął na Fraffina i stwierdził, że dyrektor przygląda mu się uważnie.

– Czemu to ma służyć? – szepnął.

– Mówisz szeptem – skonstatował Fraffin. – Nie chcesz, żeby Thurlow cię usłyszał?

– Co?!

– Tamtejsi szamani posiadają bardzo dziwne moce – rzekł dyrektor. – Niekiedy nawet widzą nadzwyczaj ostro.

– Stek bzdur, nic więcej – skrzywił się badacz. – Hokus pokus. Ten test nie ma w ogóle żadnego znaczenia. Odpowiedzi tubylca są zupełnie logiczne. Sam odpowiedziałbym w podobny sposób.

– Naprawdę?

Kelexel nie kwapił się tym razem z ripostą. W milczeniu spojrzął na scenę pantowivoru. Murphey czujnie spoglądał w twarz Thurlowa.

– Ta środkowa część może przedstawiać pożar lasu – powiedział, nie spuszczając wzroku z psychologa.

– Widziałeś już kiedyś taki pożar?

– Tak. Spaliło się całe rancho, a smród zwęglonego bydła uderzał aż pod niebiosa. Tam, wyżej, przy Siuslaw.

Thurlow zapisał coś w notesie. Murphey spojrział na niego nieufnie, przełknął ślinę i zabrał się do ostatniej karty. Gdy ją ujrzał, wziął głęboki oddech, jak gdyby ktoś walnął go wprost w żołądek. Thurlow oderwał wzrok od notatnika i spojrział nań uważnie. Murphey sprawiał wrażenie zupełnie zmieszanego. Pokręcił się na krześle, w końcu zapytał.

– Czy to jest jedna ze zwykłych kart?

– Tak.

– Nie mogę sobie jej przypomnieć.

– A pamiętasz wszystkie pozostałe?

– Mniej więcej.

– A co z tą kartą?

– Myślę, że podsunąłeś mi coś zupełnie nowego.

– Nie. To jedna ze zwykłych kart testu Roschacha. Murphey spojrział ostro na psychologa.

– Miałem prawo ją zabić, Andy. To właśnie powinniśmy twierdzić i tego należy się trzymać.

Miałem prawo. Wiesz, co dawnymi czasy robiono z wiarołomnymi żonami?

Thurlow siedział w milczeniu, czekając. Murphey oderwał odeń wzrok i marszcząc brwi zapatrzył się w kartę.

– Złomowisko... – powiedział. – To przypomina mi złomowisko.

Thurlow milczał nadal.

– Wraki samochodów, stare bojłery, sterty przerdzewiałego żelastwa...

Joe dorzucił rysunek do pozostałych, poprawił się w krześle i siedział w milczeniu z miną pełną oczekiwania. Thurlow westchnął głęboko, pobierał karty, uporządkował je i włożył do teczki, leżącej na podłodze obok krzesła. Powoli obrócił się, po czym spojrział wprost w kamerę pantovivoru. Kelexel odniósł niepokojące wrażenie, jakby tubylec patrzył mu prosto w oczy. Dopiero musiał sobie uświadomić, że ta scena odegrała się w przeszłości i nie istniały żadne związki projekcji z jego aktualnym "tu i teraz".

– Powiedz, mi, Joe – spytał Thurlow, wskazując na operatora pantovivoru – co tam widzisz?

– Hm... Gdzie?

– Tam – doktor wskazał ręką.

Teraz Murphey spojrział na operatora i widzów.

– Kurz albo dym... Coś w tym rodzaju.

– Ale co widzisz pod osłoną tego kurzu czy dymu? – nie ustępował Thurlow.

Murphey popatrzył, przechylając nieco głowę.

– Hm... gdybym miał popuścić wodze fantazji, rzekłbym, że widzę małe twarzyczki. Jakby dziecięce. Przypominają obrazki aniołów, rysowane dla dzieci... Choć raczej nie... są podobne do diabełków, które można oglądać na obrazach przedstawiających piekło.

Thurlow ponownie skierował wzrok ku więźniowi.

– Diabełki z piekła – mruknął. – Jak trafnie ująłeś. Friffin wyłączył pantovivor. Scena znikła. Kelexel stwierdził ze zdumieniem, że dyrektor śmieje się.

– Diabełki z piekła – prychnął. – To miłe. Naprawdę dobre określenie.

– Dopuszczasz do tego, by jakiś immun nas obserwował i śledził nasze akcje – przerwał mu zwiadowca. – Nie widzę w tym ani nic miłego, ani śmiesznego..

– Co myślisz o Murpheyu?

– Sprawia wrażenie jednostki zupełnie rozsądnej. Myślę, że jest równie trzeźwy umysłowo jak

my.

Fraffin ryknął śmiechem, którego nie mógł opanować. Śmiał się długo, a gdy atak minął, potrzęsnał głową i przetarł załzawione oczy.

– Murphey to dzieło moich rąk, przyjacielu. Osobiście i z najwyższą starannością formowałem go od wczesnego dzieciństwa. Czyż nie jest miły? Diabełki z piekła...

– On także jest immunem?

– Skądże znowu, zagalopowałeś się, mój drogi.

Kelexel zamyślił się. Oczywiście Fraffin przejrzał jego kamuflaż, ale czemu zdradza się, igrając przed oczyma sługi Prymasa immunem? Czy tubylcy posiadli jakieś tajemne siły, które Fraffin chciał wykorzystać na swój własny użytek?

– Nie rozumiem twoich motywów.

– To oczywiste – mruknął Fraffin. – Ale powiedz mi, co myślisz o tym Thurlowie? Czy widok kogoś, komu porwałś kobietę, wzbudza w tobie poczucie winy?

– Ten immun? Należy go unieszkodliwić, i to możliwie szybko. To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. Jakże mógłbym mu cokolwiek ukraść? Przecież Chem ma słuszne prawo brać od ras niżej stojących wszystko, co uzna za stosowne.

– Thurlow jest jednak jakąś osobowością, nie sądzisz?

– Absurd!

– O nie, przyjacielu. Ten tubylec posiada duże zdolności. Jest zamknięty. Czyż nie widziałeś, jak ciągnął Murpheya za język, aż ujawnił jego szaleństwo?

– Czy w ogóle można mówić, że ci tubylcy są szaleni?

– On jest. Z pewnością jest szalony. Sam mam w tym udział.

– Ja... ja ci nie wierzę.

– Cierpliwości i uprzejmości – rzekł Fraffin. – A co, jeśli powiem, że jestem w stanie opowiedzieć ci więcej o Thurlowie, nie uciekając się do pomocy jego samego?

Kelexel wyprostował się. Co to wszystko znaczy? Fraffin spoglądał nań nieruchomo. Wyglądało na to, że zamienili się miejscami z tubylcami, których przed chwilą widzieli na scenie pantovivoru. Fraffin przejął rolę Thurlowa, a on Murpheya. Jakie moce mógł przejąć dyrektor od tego szamana? Może nauczył się czytać w myślach? Ale przecież nie jestem psychicznie chory ani skory do przemocy – pomyślał.

– Cóż to ma być za paradoks? – spytał, czując nagły przypływ dumy. Jego głos brzmiał zupełnie opanowanie i spokojnie.

– To bardzo zabawna historia – odparł Fraffin. – Spójrz tylko.

Uczynił zapraszający gest w stronę pantovivoru, naciskając jednocześnie odpowiedni guzik. Kelexel nie bez oporu obrócił się w kierunku sceny. Ujrzał to samo obskurne pomieszczenie z zakratowanym oknem, ten sam syczący kaloryfer. Przy obdrapanym stole w tej samej pozycji siedział Joe Murphey. Jedyne zmiany polegały na tym, że miał innego gościa. Za jego plecami, obrócony tyłem do widowni siedział jakiś mężczyzna. Nogę założył na nogę, na kolanie trzymał teczkę z papierami. Podobnie jak więzień, był masywnej budowy. Miał w sobie coś z ciężkawej solidności. Mięsisty kark i jędrne policzki były głęboko wygolone i nieco zaczerwienione. Na stole leżały w nieładzie karty z atramentowymi kleksami. Te same karty testowe, które przyniósł ze sobą Thurlow. Murphey bębnił palcami po blacie.

W zachowaniu więźnia Kelexel dostrzegł pewną różnicę.

Był spokojniejszy i bardziej odprężony – można powiedzieć pewny siebie.

Fraffin westchnął.

– Ten drugi tubylec jest także szamanem. To Whe-lye. Właśnie przeprowadził na Joem ten sam test, który poprzednio zrobił Thurlow. Zwróć na niego szczególną uwagę.

– Dlaczego? – zdziwił się Kelexel. – Muszę przyznać, że to nieustanne powtarzanie tubylczych rytuałów zaczyna mnie nudzić.

– Obserwuj ich obu – polecił dyrektor. – To nie potrwa długo.

Nagle Murphey ujął leżącą na samym wierzchu kartę, przyjrzał się i odrzucił ją na stosik. Whelye obrócił się i podniósł głowę. Ujrzeni czerwoną grubą twarz z obwisłymi policzkami, małe niebieskie oczy i długi mięsisty nos nad cienką linią warg. Całe oblicze promieniowało głębokim zadowoleniem, było wręcz rozświetlone radością. Wszystko, co się tu działo, pozostawało w obszarze dostępnym zmysłom tego człowieka. Sprawował pełną kontrolę nad sytuacją. W tym samozadowoleniu leżała jednak podstępna chytrność.

– Ten rysunek... – rzekł czujnym głosem. – Czemu pan jeszcze raz przyjrzał się tej karcie?

– Ach... tak sobie. Chciałem po prostu rzucić okiem.

– Jakież nowe skojarzenia?

– Nie. Ciągłe to samo. Napięta skóra zwierzęca. Whelye obserwował tył głowy więźnia z wyrazem napiętej czujności.

– Skóra z rodzaju tych, które w młodości pan suszył i sprzedawał?

– Tak. Na tych piżmowcach zarobiłem całą górę forsy. Zawsze miałem nosa do pieniędzy.

Whelye skinął. Gdy podniósł głowę, nad ciemnym kołnierzykiem wytworzyła się fałda.

– Może chce pan jeszcze raz przejrzeć pozostałe rysunki.

– Chyba raczej nie – Murphey spojrział z niechęcią na stos papierów.

– Ciekawe... – mruknął lekarz.

Joe poruszył się, jakby chciał się obrócić w stronę psychiatry, lecz nie spojrział na siedzącego z tyłu Whelye'a, tylko rzucił z półobrotu:

– Doktorze, może zechce mi pan coś powiedzieć...

– Słucham.

– Robiłem już ten test przed jednym z pańskich kolegów. Co z tego wyszło?

Na twarzy Whelye'a pojawił się wyraz niechęci lub raczej tłumionej agresji.

– Sam Thurlow nic panu nie mówił?

– Nie. Wie pan, mam do pana więcej zaufania, niż do niego. Myślałem, że możemy porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną.

Whelye spojrział na leżące przed nim papiery i machinalnie zaczął poruszać ołówkiem. Wypełniał kratki formularza, lecz sprawiał wrażenie nieobecnego duchem.

– Thurlow nie posiada żadnego stopnia naukowego...

– Tak, ale co mówił na mój temat?

Whelye wypełnił w końcu formularz i spojrział na kartkę.

– Opracowanie danych trwa pewien czas – rzekł powoli – ale zaryzykowałbym stwierdzenie, że jest pan równie normalny jak my wszyscy.

– Czy to znaczy, że jestem zdrowy? – Murphey wstrzymał oddech i zapatrzył się w stół.

– Równie zdrowy jak ja.

Z piersi więźnia wydobyło się westchnienie. Uśmiechnął się, po czym spojrział z ukosa na karty testu.

– Dziękuję, doktorze.

Pantovivor wygasł. Kelexel kręcąc głową, odwrócił się do Fraffina. Dyrektor wykrzywił się w uśmiechu.

– Jeśli chodzi o twą najnowszą produkcję – rzekł badacz chłodno – to prorokuję zupełną plajtę. Nudne! Fraffin zignorował jednak tę jawną krytykę.

– Widziałeś? – spytał, jakby nie słyszał Kelexela. – Jeszcze jeden, który uznaje Murpheya za zdrowego. Ktoś, z kim się zgadzasz.

– Powiedziałeś, że pokażesz mi Thurlowa.

– Tak też właśnie zrobiłem!

– Nie rozumiesz...

– Nie widziałeś, z jakim przymusem wypełniał ten szaman swój formularz? Czy Thurlow robił coś podobnego?

– Nie, ale...

– Nie zauważyłeś, jak ten szaman rozkoszował się strachem Murpheya?

– Niekiedy i strach może być zabawny.

– Ci tubylcy wpadli na dość osobliwy pomysł – powiedział dyrektor. – Orzekli mianowicie, że wszystko, co lekceważy życie, jest chorobą.

– To zależy, jakiego rodzaju życie się lekceważy – odparł Kelexel. – Nawet oni nie zawahaliby się zlekceważyć na przykład robaka.

Dyrektor spojrzał nań.

– I co ty na to?

Badacz poczuł, jak ogarnia go fala wściekłości. Odwrócił wzrok.

– To tylko pewien pomysł – stwierdził w końcu wymijająco gospodarz. – Coś, czym można się zabawić. W końcu nawet idee są naszą zabawką, prawda?

– Absurdalne idee – odburknął Kelexel. – Jeśli jestem dobrze poinformowany, ten pomysł jest bardzo rozpowszechniony wśród wszystkich tubylców, co nie przeszkadza im podrzynać sobie nawzajem gardła.

Fraffin milczał, a badacz usiłował stłumić nagły atak wściekłości. Przypomniawszy sobie, że jest tu po to, aby unieszkodliwić szalonego dyrektora kreocentrum, który

tymczasem gruntownie wypowiedział się ze wszystkiego, co miał na sumieniu! Osobliwe...

– Teraz – wyszeptał znienacka gospodarz. – To stosowna chwila!

Czyżby chciał, żebym go otwarcie oskarżył – zastanawiał się sługa Prymasa. – Nie, nie pozwolę się sprowokować. Można tu odkryć jeszcze wiele ciekawych rzeczy. Dopiero gdy zgromadzę cały materiał.

– Mam przyjemność donieść ci – uśmiechnął się słodko Fraffin – że powinieneś się przygotować na kolejnego potomka.

Kelexel zdrętwiał. Siedział nieruchomo, jakby poraził go grom. Usiłował coś powiedzieć, lecz nie mógł. Po nieskończonej długiej chwili zapanował nad głosem i wychrypiął:

– Ale jak mogłeś...

– O, na pewno nie było to legalne – pospieszył Fraffin. – Takie proste to nie jest. Twoja mała pieszczoszka – kontynuował z widoczną rozkoszą – zaszła w ciążę. Będzie nosiła w swym łonie ciało z twego ciała i krew z twojej krwi, jak to było w starożytnych czasach, zanim Prymas nie zorganizował tego w inny sposób.

– To... niemożliwe... – wyszeptał Kelexel.

– Owszem, możliwe. Widzisz, to co tutaj mamy, to planeta dzikich Chemów.

Kelexel siedział milcząc. Kontemplował złe piękno kamuflażu Fraffina, który zrzucił maskę i odsłonił karty. Teraz dopiero zaczął postrzegać rzeczy takimi, jakimi były w swej istocie. Przystępstwo było w zasadzie niezwykle proste. Nieskomplikowana natura zbrodni niezwykle pasowała do charakteru przestępcy. Tylko Fraffin mógłby wymyślić coś podobnego. Kelexel poczuł jakiś perwersyjny podziw dla swego gospodarza.

– Sądzisz, że wystarczy mnie zadenuncjować, a Prymas wszystkim się zajmie? – uśmiechnął się dyrektor. – Nic bardziej naiwnego. Zważ na konsekwencję. Cała planeta zostanie wysterylizowana, aby zapobiec skalaniu dziedzictwa Chemów. Ogłosi się ten obszar strefą zakazaną aż do chwili, gdy wymrze ostatni z tubylców i będzie tu można urządzić coś innego. Twój potomek podzieli losy swych współbraci.

W Kelexelu obudziły się zapomniane instynkty. Zaczął się szamotać z własnymi myślami. Groźba Fraffina wyzwoliła siły, które jak sądził, zostały już na zawsze spętane i unieszkodliwione. W umyśle krążyły dziwne pomysły, niczym ptaki osadzone w ciasnej klatce. Podniosło się w nim coś dzikiego, a zarazem wolnego.

Mieć nieograniczoną liczbę potomstwa – myślał. A więc to samo przydarzyło się także innym badaczom. Zrozumiał, że jest stracony.

– Chcesz zniszczyć swe dzieło? – spytał Fraffin.

To było zbędne pytanie. Kelexel sam je sobie postawił i już przed chwilą udzielił odpowiedzi. Żaden Chem nie wystawiłby swego potomka na niebezpieczeństwo. Zbyt rzadki i zbyt kosztowny był to dar – dziwny ułomek utraconej przeszłości. Westchnął. Fraffin zrozumiał, że odniósł zwycięstwo i uśmiechnął się. Myśli Kelexela zwróciły się ku wewnątrz. Prymas przegrał kolejną rundę. Jego własna rola w tym pojedynku stawała się z minuty na minutę coraz bardziej klarowna. Chyba był ślepy, że dał się złapać w tę pułapkę. Fraffin manipulował nim z taką łatwością, jakby był pierwszym lepszym dzikusiem. Świadomość pogodzenia się z własną klęską przyniosła mu jednocześnie dziwne uczucie szczęścia. Będę miał nieskończoną liczbę kobiet – pomyślał. – A one będą mi płodziły potomstwo.

Ciągle jednak pozostawał doświadczoneym, logicznie myślącym zwiadowcą. W tej sytuacji był pewien element, który Fraffin z uporem odtrącał, bojąc się spojrzeć nań z całą powagą. Tak czy inaczej pewnego dnia poniesie przecież porażkę. Wieczność była zbyt długa, by można było ciągle wodzić za nos Prymasa. Prędzej czy później nabierze on pewności co do zbrodniczego charakteru działalności dyrektora, a wówczas ucieknie się do każdego środka, byleby tylko odsłonić jądro tajemnicy.

– Znajdziemy dla ciebie jakąś inną planetę – rzekł Fraffin.

Wkrótce jednak zaczął się zastanawiać, czy nie była to przedwczesna obietnica. Kelexel musiał przecież wszystko przetrwać, przemyśleć, a do tego potrzebował czasu. Usłyszawszy tę ostatnią informację gość nieco zeszywniał, lecz zaraz potem wstał i pożegnał się ukłonem uprzejmego Chema, który umie z godnością przyjmować największą nawet porażkę.

Rozdział szesnasty

Kelexel leżał na łóżku ze skrzyżowanymi pod głową rękoma, przypatrując się, jak Ruth krząta się po pokoju. Zielona suknia szeleściła za każdym krokiem.

Już od dłuższego czasu zachowywała się w ten sposób, gdy do niej przychodził. Wzrokiem podążał za jej nieustannym spacerem, obserwując, jakie zmiany wywołuje w niej ciąża. Można to było dostrzec już zupełnie wyraźnie. Ona także wiedziała o swym stanie. Po ataku hysterii, opanowanym wzmocnionym działaniem manipulatora, najwidoczniej pogodziła się z własnym losem i nic już nie mówiła na ten temat.

Minęło dziesięć okresów wypoczynku od chwili pamiętnej rozmowy z Fraffinem. Był to krótki czas, lecz zupełnie wystarczył, by Kelexel zapomniał o swej przeszłości urzędnika Biura. "Zabawna historyjka" o ojcu Ruth została już zakończona i spoczęła w pamięci pantovivoru obok innych produkcji dyrektora. Oglądając ją Kelexel za każdym razem przekonywał się, że coraz mniej go bawi. W tej chwili pozostawało tylko czekać, aż znajdzie się jakaś stosowna planeta na peryferiach, gdzie mógłby osiąść na stałe w roli dobrowolnego wygnańca. Ruth ciągle przemierzała wielkimi krokami pokój. W końcu zasiądzie przed sceną pantovivoru – pomyślał Kelexel. Do tej pory unikała tego w jego obecności, lecz widział, że coraz częściej spogląda w tamtą stronę. Maszyna wywierała na nią jakiś magnetyczny wpływ.

Sprawdził ustawienie manipulatora, kontrolującego emocje kobiety. Nacisk nie był najsilniejszy, ale też urządzenie z każdym dniem traciło swą skuteczność. W końcu Ruth uodporniła się całkowicie na jego działanie.

Westchnął. Teraz, gdy już wiedział, że kobieta stanie się dzikim Chemem, nawiedzały go mieszane uczucia. Fakt, iż miała przodków z jego rasy (prawdopodobnie któregoś z pracowników kreocentrum) znacznie go niepokoił. Nie była dla niego uciechą, lecz prawie osobą.

Czy godzi się manipulować osobą? Wmawiał sobie, że jej pochodzenie nie zostało w pełni dowiedzione, a już w żadnym wypadku nie była Chemem pełnej krwi. Poza tym nie poddano jej procesowi nieśmiertelnienia (w przeciwnym razie nie byłaby taka wysoka) ani nie zapisano w żadnym rejestrze uniwersum, ale...

Jej nieustanna krzątanina zaczęła go denerwować. Oczywiście, robiła to, aby go zezłościć, by zbadać, gdzie są granice jego cierpliwości. Tylko co z tego?

– Jesteś na mnie wściekła – powiedział. – Czemu? Przecież każde twoje życzenie spełniałem, każda twoja zachcianka była zaspokojona...

Zamiast odpowiedzieć, podeszła do pantovivoru, położyła rękę na desce rozdzielczej, zawahała się, po czym wykonała pół obrotu.

– Chciałabym, abyś mógł umrzeć. Chcę, żebyś umarł.

Choć manipulator ciągle pracował na pełnych obrotach, gdzieś w głębi duszy czuła bezgraniczną nienawiść. Bez kojącego wpływu maszyny prawdopodobnie natychmiast rzuciłaby się na swego dręczyciela i połamała paznokcie na jego odpornej skórze. Jej głos brzmiał jednak tak spokojnie i trzeźwo, że słowa dawno już przebrzmiały, zanim Kelexel zdołał uchwycić ich znaczenie.

Śmierć! Życzyła mu śmierci! Był zupełnie skonsternowany. Cóż za potworne myśli rodziły się w jej głowie!

– Jestem Chemem – rzekł. – Jak śmiesz mówić coś podobnego do Chema!

– Oczywiście nie wiesz, co mam na myśli? – zakpiła.

– Byłem w stosunku do ciebie przyjazny i wielkoduszny – powiedział. – Mogłaś przebywać w

moim towarzystwie. Czy to jest wdzięczność?

– Prawie ci współczuję – stwierdziła oschle.

Kelexel przełknął ślinę. Współczucie? Jej reakcje były zupełnie niezrozumiałe. Spojrzał na palce i zauważył, że jego paznokcie zmieniły barwę. Skutek wzmożonej aktywności seksualnej i znak ostrzegawczy. Rozmnażając się uruchomił zegar biologiczny. Ciało stawiało twarde warunki: domagało się kuracji odmładzającej i to natychmiast.

Dlaczego z tym zwlekam? – spytał samego siebie.

Nagle poczuł przyływ dumy – tak, był odważny. Już dawno przekroczył punkt, gdy inni Chemowie biegli ile sił w nogach do aparatów odmładzających. Jeszcze trochę, a celowo zaniedba kuracji. Igrał z myślami o śmierci, bawił się swymi uczuciami. Ci wszyscy wokół to tchórze! Był prawie śmiertelny, a to stworzenie tutaj złościło się na niego. W ogóle nic z tego nie rozumiała. Jak to możliwe?

Obudziło się w nim współczucie dla samego siebie. Czy ktokolwiek mógłby to zrozumieć? A jeśli tak, to kto? Inni Chemowie zapewne uważali za oczywiste przeprowadzanie kuracji odmładzającej w momencie, gdy organizm gwałtownie się jej domagał. Nikt nic nie rozumiał.

Kelexel był skłonny zwierzyć się Ruth ze stanu swego ducha, lecz usłyszawszy jej słowa, powstrzymał się. Życzyła mu śmierci.

– Jakby ci to pokazać? – rzekła pochylając się przed deską rozdzielczą pantovivoru. Przycisnęła kilka guzików.

Ta wstrętna maszyna, produkt zwyrodniałych Chemów, nabrała dla niej poważnego znaczenia. Chciała pokazać Kelexelowi, dlaczego go nienawidzi.

– Spójrz tutaj.

Na scenie pantovivoru pojawiło się długie pomieszczenie. Jeden koniec sali zajmowało podwyższenie ze stołem sędziowskim, niżej, po obu stronach, stało kilka innych stołów z krzesłami, a z tyłu ciągnęły się dwa rzędy ławek, oddzielone drewnianą barierą – najwidoczniej miejsce dla publiczności. Ściany wyłożone ciemną okładziną rozdzielały kolumny, imitujące styl koryncki. Między nimi, po obu stronach znajdowały się wysoko sklepione, duże okna.

Podczas gdy miejsca dla publiczności wypełniali niespokojni, spięci w oczekiwaniu tubylcy, po drugiej stronie bariery siedziało dwunastu ludzi. Ich miny i pozy uzewnętrzniały różne stopnie znudzenia. Przy podwyższonym stole siedział tęgi łyśy mężczyzna w czarnej todze, a wpadające przez okna promienie słoneczne odbijały się na jego wysokim czole.

Wśród tubylców zajmujących miejsca poniżej stołu sędziowskiego Kelexel rozpoznał paru znajomych. Potężna sylwetka Joego Murpheya zdominowała pierwszy plan. Obok niego ujrzał Bondellego, adwokata, którego widział już na jednej z projekcji pantovivoru. Nieco z tyłu siedzieli dwaj szamani: Whelye i Thurlow.

Ten ostatni wzbudził jego zainteresowanie. Dlaczego Ruth wybrała scenę, przedstawiającą tubylczego zaklinacza duchów? Czyżby naprawdę onegdaj miała zamiar spółkować z tą kreaturą?

– To sędzia Grimm – wyjaśniła Ruth, wskazując mężczyznę w czarnej todze. – Z jego córką chodziłam do szkoły, bywałam zapraszana do ich domu.

Kelexel usłyszał w jej głosie pewną troskę i pomyślał o możliwości ustawienia manipulatora na wyższe obroty. Postanowił jednak zostawić tak jak było. Interesowało go, jaki cel przyświecał Ruth i całemu temu przedstawieniu. Jakie motywy nią kierowały?

– Mężczyzna z laską, ten po lewej stronie to Paret, prokurator okręgowy – wyjaśniała dalej. – Jego żona i moja matka należały do tego samego klubu działkowiczów.

Kelexel uważnie przyjrzał się wskazanemu tubylcowi. Mężczyzna sprawiał wrażenie człowieka solidnego, zdecydowanego. Szpakowate włosy przykrywały kwadratową czaszkę z szerokim czołem i twardym podbródkiem. Usta stanowiły jakby zmysłową wariację z prostym, kształtnym nosem. Krzaczaste brwi wisiały nad niebieskimi oczami niczym jaskółcze gniazda. Raz po raz dotykał główki z kości słoniowej opartej o krzesło laski.

W tym pomieszczeniu działo się coś ważnego. Tak mu się przynajmniej wydawało. Gdy Ruth włączyła fonię, usłyszał pokastywania i szmer publiczności. Kelexel wstał i podszedł do fotela, gdzie siedziała kobieta. Przystanął, położył dłoń na poręcz i zapatrzył się na scenę.

Jego uwagę przykuł Thurlow. Spoglądający przez ciemne okulary szaman mógł zafascynować nawet Chema. Psycholog opuścił ławkę, po czym skierował się w stronę stojącego przed stołem sędziowskim krzesła. Po krótkim religijnym obrzędzie, mającym coś wspólnego z umiłowaniem prawdy, Thurlow usiadł, a Bondelli stanął za nim.

Od tego mężczyzny płynęło uczucie głębokiego niezadowolenia, pewnego dyskomfortu duchowego. Starannie unikał spoglądania w określonym kierunku. Kelexel uświadomił sobie, że Thurlow po prostu usiłuje ignorować ekipę Fraffina, filmującą cały proces. A zatem miał świadomość obecności Chemów. Oczywiście, był immunem!

Kelexel momentalnie poczuł nawrót świadomości zaniedbanych obowiązków. Wstydził się, miał poczucie winy. Nagle zrozumiał, dlaczego nie chciał skorzystać z aparatów odmładzających kreocentrum. Po prostu gdyby to uczynił, ostatecznie uzależniłby się od dyrektora; wpadłby mu w sieci tak samo jak wszyscy tubylcy. Dopóki się wahał, był wolny. Dobrze jednak wiedział, że jego niezależność wkrótce przeminie. To tylko kwestia czasu.

Przemówił Bondelli; nudna, męcząca i bezcelowa gadanina, zdaniem Kelexela.

– Doktorze Thurlow – rzekł adwokat. – Wyliczył pan powody, dla których nasz oskarżony powinien zostać uznany za niepoczytalnego. Co doprowadziło pana do takiego wniosku?

– Badania, które przeprowadziłem na oskarżonym.

– Doktorze Thurlow, czy nie badał pan oskarżonego już przed paroma miesiącami?

– Tak, badałem.

– W jakiej sytuacji?

Kelexel spojrział na Ruth i doznał szoku. Po policzkach kobiety spływały łzy.

– Pan Murphey bezpodstawnie zaalarmował straż pożarną – rzekł lekarz. – Został zidentyfikowany i aresztowany. Występowałem wówczas w roli biegłego sądowego.

– Dlaczego?

– Falszywy alarm to dosyć poważne zakłócenie porządku publicznego. Nie puszcza się takich spraw płazem, zwłaszcza jeśli winowajca dawno już wyrósł z wieku młodzieńczego.

– Dlatego powołano pana do tej sprawy?

– Nie. To było rutynowe badanie, normalne w takich okolicznościach.

– Jak uzasadniałby pan to, co się stało?

– W gruncie rzeczy cała sprawa miała podłoże seksualne. Incydent wydarzył się mniej więcej w czasie, gdy oskarżony zaczął skarżyć się na impotencję. Te dwa czynniki: alarm i okres przekwitania stworzyły w sumie niepokojący obraz pacjenta.

– Dlaczego?

– Ponieważ ujawniły, że oskarżony cierpi na niedostatek ciepła. To oczywiście symboliczne określenie, pod którym kryją się takie cechy natury ludzkiej, jak zdolność odczuwania i dawania przyjaźni, umiejętność dawania i odbierania miłości. Jego ówczesne reakcje na test Roschacha

wykazały niemal całkowity brak tych uczuć. Innymi słowy: oskarżony skoncentrował się na instynkcie śmierci. Uwzględniłem tu wszystkie czynniki, z jakimi się zetknąłem: chłodna natura, dążenie ku śmierci oraz zaburzenia seksualne.

Bondelli wygładził kciukiem i palcem wskazującym wąsy, po czym zajrzał do notatek.

– I to był główny wniosek, jaki wysnuł pan z przeprowadzonych badań i przedstawił sądowi? – spytał, spoglądając na sędziego Grimma.

– Sformułowałem też coś w rodzaju ostrzeżenia. Powiedziałem mianowicie, że jeśli oskarżony radykalnie nie zmieni swych zainteresowań, nie ukierunkuje rozwoju swej osobowości w inną stronę, wkrótce nastąpi u niego psychiczne załamanie.

Ciągle zwrócony ku sędziemu Bondelli zadał następne pytanie.

– Czy zechciałby pan wyjaśnić, na czym polega owo "psychotyczne załamanie"?

– Może to być na przykład nieprzemyślany atak, zamordowanie najbliższej osoby... dowolny bezsensowny akt przemocy.

Sędzia zapisał coś na kartce. Jedna z sześciu kobiet na ławie zmierzyła Bondellego spojrzeniem, marszcząc brwi.

– Wyprorokował pan tę zbrodnię, doktorze?

– W pewnym sensie tak.

Prokurator spojrział na ławę przysięgłych, potrząsnął głową, pochylił się i zaczął szeptać coś swemu asystentowi.

– Czy w związku z pana diagnozą przedsięwzięto jakieś kroki?

– O ile wiem, nie.

– Dlaczego?

– Zapewne wielu z tych, którzy zapoznali się z moją opinią, nie wiedziało, o jakim niebezpieczeństwie mówię.

– Czy usiłował pan zwrócić na to czyjąś uwagę?

– Podzieliłem się swymi obawami z prowadzącymi tę sprawę organami porządku publicznego.

– A mimo to nie przedsięwzięto żadnych kroków?

– Niektóre miarodajne czynniki zakwestionowały zasadność moich obaw twierdzeniem, że osoba tak wysoko postawiona nie może stanowić zagrożenia dla społeczeństwa. Uważano, że się mylę.

– Rozumiem. A czy przedsięwziął pan jakieś kroki, by prywatnie pomóc oskarżonemu?

– Usiłowałem zainteresować go religią.

– Bezskutecznie?

– Tak.

– Kiedy po ponownym aresztowaniu badał pan oskarżonego?

– W ostatni piątek. Było to już drugie badanie od chwili, gdy został powtórnie aresztowany.

– Do jakich wniosków pan doszedł?

– Oskarżony znajduje się w stanie określanym jako paranoidalny.

– Czy wobec tego mógł być świadomy natury i konsekwencji swego czynu?

– Nie. W tym stanie ducha nie można się zastanawiać nad normami czy prawnymi konsekwencjami swego postępowania.

Bondelli odwrócił się i przez długą chwilę spoglądał na prokuratora.

– To wszystko, doktorze. Dziękuję. Prokurator przejechał palcem po czole; ciągle studiował notatki.

Kelexel, zafascynowany zawilnością wywodów, kiwnął głową z uznaniem. Tubylcy mieli

najwyraźniej świadomość prawną, a nawet posiadali podstawowe organy sprawiedliwości, mniejsza o to, że dosyć prymitywne. Ciągłe odzywało się w nim poczucie winy. Czyżby dlatego Ruth przedstawiła mu tę scenę? Czuł, że w jakiś sposób kobieta postawiła go przed sądem i choć tego nie chciał, zaczął się identyfikować z jej ojcem, a pantovivor pozwolił mu wziąć udział w jego emocjach.

Murphey tkwił w niemej wściekłości, nienawidząc Thurlowa, który nadal zajmował krzesło dla świadków.

Ten immun musi zostać zlikwidowany – pomyślał Kelexel.

Obraz został nagle przesunięty; zaczęto go przedstawiać pod innym kątem. Teraz pośrodku sceny znajdował się prokurator. Paret powstał, wspierając się na lasce.

– Panie Thurlow – zaczął, świadomie opuszczając tytuł doktora. – Czy mam rację sądząc, iż zgodnie z pana wywodami oskarżony nie był zdolny do kwalifikacji moralnej swego postępowania w chwili, gdy zamordował swą żonę.

Thurlow zdjął okulary. Jego oczy sprawiały wrażenie krótkowzrocznych, bezbronnych i szarych. Przetarł szkła.

– Tak.

– Czy badania, które przeprowadził pan na oskarżonym, były zbliżone metodą do testu, jaki przeprowadził doktor Whelye?

– W zasadzie były identyczne: test Roschacha, Wartegga i kilka testów projektywnych.

Paret skonfrontował tę wypowiedź z notatkami.

– Zna pan diagnozę doktora Whelye'a, który uważa oskarżonego za w pełni zdrowego z medycznego punktu widzenia. Tym samym prawnie w pełni odpowiedzialnego za swój czyn.

– Tak, znam.

– Czy wie pan, że doktor Whelye pracował wcześniej jako psychiatra policyjny w okręgu Los Angeles, a przedtem służył w wojskowym korpusie medycznym, gdzie sprawował tę samą funkcję?

– Znam kwalifikacje doktora Whelye'a – ton głosu Thurlowa świadczył, że przeszedł do defensywy i Kelexel poczuł do niego coś w rodzaju sympatii.

– Widzisz, co z nim wyprawiają? – spytała gorzko Ruth.

– A co mi do tego? – odparł. – Nawet nie wiem, jaką ten człowiek gra rolę.

Wiedział jednak, że losy Thurlowa były ważne. Bronił swych zasad, mimo iż zdawał sobie sprawę z nieuchronności nadciągającej klęski. Bez wątpienia Murphey był psychicznie chory; skoro Fraffin spowodował to dla siebie znanych powodów, trudno było mieć wątpliwości. Znam te powody – pomyślał Kelexel.

– A zatem słyszał pan także, iż ekspert powołany przez doktora Whelye'a wyklucza jakąkolwiek formę organicznego uszkodzenia mózgu oskarżonego – ciągnął Paret. – Poza tym słyszał pan opinię doświadczonego lekarza, iż podsądny nie objawia żadnych skłonności maniakałnych i nie cierpi na żadne dolegliwości, które z punktu widzenia prawa kwalifikowałyby się jako choroba psychiczna?

– Tak.

– Może więc zechce nam pan wyjaśnić, dlaczego doszedł pan do wniosku tak skrajnie różnego od opinii doświadczonych lekarzy.

– Łatwo na to pytanie odpowiedzieć. W psychologii i psychiatrii uzdolnienia mierzy się wynikami, a nie tytułami. W tym wypadku opieram swą opinię na fakcie, iż przepowiedziałem to załamanie.

Twarz Pareta pociemniała z gniewu, rzucił okiem w swoje notatki, po czym ruszył do ataku.

- Jest pan psychologiem klinicznym, a nie psychiatrą. Jaka jest różnica między jednym a drugim?
- Psycholog jest specjalistą od postępowania ludzkiego i nie posiada stopni uniwersyteckich.
- I pan nie zgadza się z ludźmi, którzy takie stopnie posiadają?

– Jak właśnie powiedziałem...

– Ach, ta przepowiednia... Czytałem pańską diagnozę i w związku z tym chciałbym zadać pewne pytanie: czy zgadza się pan z tezą, iż opisał wyniki swoich badań w języku, który dopuszcza różne interpretacje, innymi słowy: że ta "przepowiednia" jest bardzo dwuznaczna?

– Dwuznaczna lub domagająca się dodatkowej wykładni może być jedynie dla tego, komu obce jest pojęcie "załamanie psychotyczne".

– Aha... a co to takiego?

– Całkowite zerwanie więzi z rzeczywistością, mogące prowadzić do aktów przemocy takich na przykład jak ten, z którym mamy do czynienia.

– A gdyby jednak nie doszło do żadnego przestępstwa, gdyby oskarżony sam wykurował się z przypisywanej mu przez pana choroby, czy można byłoby powiedzieć, że pańska diagnoza uwzględniła także tę możliwość?

– Pod warunkiem, że zostałyby dołączone wyjaśnienie, precyzujące przyczyny tak nagłego zwrotu.

– Niech pan pozwoli, że zadam następne pytanie. Czy akty przemocy można wyjaśnić jedynie psychozą?

– Z pewnością istnieją przestępstwa, popełnione także przez niepsychotycznych sprawców, ale...

– Czy to prawda, że psychoza to pojęcie dość sporne?

– Istnieją różnice zdań.

– Jak na przykład te, które ujawniły się na tej sali?

– Tak.

– I każdy dowolny akt przemocy może zostać wywołany przez czynniki, które z psychozą nie mają nic wspólnego?

– Oczywiście – Thurlow potrząsnął głową. – Ale w zdeformowanym przez obłęd systemie...

– Obłęd? – parsknął Paret. – Cóż to jest "obłęd", panie Thurlow?

– To wewnętrzna niedyspozycja, polegająca na niemożności zachowania się koherentnego z rzeczywistością.

– Koherentne z rzeczywistością... – mruknął Paret. – Proszę powiedzieć, panie Thurlow, czy wierzy pan w podejrzenia oskarżonego w stosunku do jego żony?

– Nie.

– Ale gdyby były to usprawiedliwione podejrzenia, wówczas zmieniłby pan swoją opinię o "zdeformowanym przez obłęd systemie"?

– Moja diagnoza wspiera się...

– Tak albo nie, proszę pana! Czekam na odpowiedź!

– Właśnie udzielam odpowiedzi – Thurlow wziął głęboki oddech. – Usiłuje pan oczernić bezbronego...

– Panie Thurlow. Moje pytania zmierzają ku temu, by w świetle przedłożonych dowodów wykazać, czy podejrzenia oskarżonego, jakie żywił w stosunku do swojej żony, mają jakąś rozsądną podstawę. Przyznaję, że trudno tu cokolwiek potwierdzić ani czemukolwiek zaprzeczyć, ponieważ główna bohaterka dramatu nie żyje, lecz zawsze można odpowiedzieć na pytanie, czy są to racjonalne

podejrzenia, czy nie.

– A czy racjonalne było zabić tę kobietę? – spytał Thurlow, przełknąwszy ślinę.

Twarz Pareta znowu powlekała się ciemną czerwienią. Mówił cicho, lecz słowa trzaskały niczym uderzenia batem.

– Nadszedł już chyba czas, by zaprzestać tej zabawy w słówka. Zanim pan stąd odejdzie, proszę jeszcze powiedzieć sądowi, czy z rodziną oskarżonego wiązały pana inne stosunki niż tylko... biegłego sądowego?

Thurlow zacisnął pięści na poręczach krzesła tak, że aż pobielaly.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Czy w swoim czasie był pan zakochany w córce oskarżonego?

Thurlow skinał w milczeniu głową.

– Proszę odpowiedzieć – nalegał Paret. – Czy to prawda?

– Tak.

Bondelli zerwał się z krzesła, spojrział na prokuratora i skierował się ku sędziemu.

– Sprzeciw! – krzyknął. – Wnoszę sprzeciw! Ta metoda przesłuchiwania świadka nie wnosi do sprawy żadnych istotnych treści i zmierza jedynie ku temu, by zdyskredytować doktora Thurlowa jako kompetentnego w swym fachu.

Paret obrócił się wolno, nadal wsparty o laskę.

– Panie przewodniczący – rzekł spokojnym, zrównoważonym głosem. – Ława przysięgłych ma prawo znać wszystkie motywy, które kierowały świadkiem, gdy stawiał taką a nie inną diagnozę.

– Do czego pan zmierza? – spytał sędzia.

– Niestety, nie można powołać w charakterze świadka córki oskarżonego. Zniknęła w tajemniczych okolicznościach po nie wyjaśnionej do końca śmierci jej męża. Pan Thurlow znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie domu, gdzie...

Bondelli walnął pięścią w stół.

– Panie przewodniczący, wnoszę stanowczy sprzeciw! Sędzia Grimm ściągnął wargi. Spojrział na Thurlowa, potem na Pareta. Po chwili przemówił.

– Tego, co teraz powiem, proszę nie uważać za wyraz aprobaty czy votum nieufności wobec wywodów pana Thurlowa. Chciałbym jednak stwierdzić, że właśnie ten sąd powołał go na biegłego psychologa i potwierdził jego wysokie kwalifikacje. Tak więc pan Thurlow jest uprawniony przedstawić takie opinie, ekspertyzy, które różnią się od zdania innych biegłych. Ława przysięgłych zadecyduje, do czyjej opinii się przychyli. Przyjmuję sprzeciw.

Paret wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz w końcu rozmyślił się.

– Nie mam dalszych pytań.

Gdy Ruth wyłączyła pantovivor i scena zaczęła blednąć, Kelexel zwrócił szczególną uwagę na Joego Murphey'a. Oskarżony trząsł się w cichym, ukradkowym śmiechu.

Kelexel pokiwał głową i roześmiał się również. Jeśli ofiara umiała śmiać się ze swego losu, nic jeszcze nie zostało zaprzepaszczone.

Ruth odwróciła się i ujrzała rozbawiony wyraz jego twarzy.

– Bądź przeklęty! – syknęła. – Bądź potępiony w każdej sekundzie twej przeklętej przez Boga wieczności! Kelexel zamrugnął oczyma.

– Jesteś równie szalony, jak mój ojciec! – krzyknęła dziko. – Gdy Andy Thurlow mówi o Joem Murpheyu, opisuje również twoje szaleństwo!

Zadygotała i stuknęła w pantovivor.

– Poznaj samego siebie!

Urządzenie piszczało i rzeziło, gdy Ruth waliła w deskę rozdzielczą, przyciskając guziki i przesuując potencjometry. Kelexel chciał uciec stąd jak najszybciej. Bał się tego, co obejrzy na scenie. Zobaczyć samego siebie? Cóż za myśl! Żaden Chem nie widział się nigdy w pantovivorze.

Wkrótce ukazało się biuro Bondellego: wielkie biurko i kryształowe szyby, osłaniające długie rzędy ciemnoczerwonych tomów z pozłacanymi literami na grzbietach. Za biurkiem siedział adwokat, obracając w palcach długopis. Naprzeciwko niego siedział Thurlow, w lewej ręce trzymał okulary, którymi gestykulował żywo, mówiąc coś do gospodarza.

– Ten zdeformowany obłędem system jest niczym maska – wyjaśniał. – To za nią schował się prawdziwy Joe Murphey. Chce być uznany za zdrowego, rozsądnego i w pełni odpowiedzialnego za swój czyn, choć dobrze wie, że zostanie skazany na śmierć.

– To nie brzmi logicznie – mruknął Bondelli.

– Wewnątrz systemu jest najzupełniej logiczne – rzekł psycholog. – Trudno opisać ten mechanizm słowami zrozumiałymi dla laika. Gdybyśmy jednak wdarli się w obręb tego systemu i zniszczyli go, sytuacja Joego przypominałaby nieco opowieść o zwykłym człowieku, który wieczorem jak co dzień położył się spać w swoim własnym łóżku, a gdy obudził się rano, stwierdził, że i łóżko, i pokój są jakieś inne, niepodobne do tych, które widział wieczorem. W końcu podeszłaby doń jakaś nieznaną kobietą, twierdzącą uparcie, iż jest jego żoną oraz gromada dzieci, wrzeszczących, że to on je spłodził. Taki człowiek zostałby przytłoczony odmiennością swego położenia. Jego wyobrażenia i cały dotychczasowy dorobek ległby w gruzach.

– Totalna nierzeczywistość... – wyszeptał Bondelli.

– Świat ujmowany oczyma zewnętrznego obserwatora niewiele się tutaj liczy – sprostował Thurlow. – Dopóki Murphey utrzymuje się w obrębie szaleństwa, ratuje się przed psychologicznym ekwiwalentem cielesnego unicestwienia. I to jest oczywiście strach przed śmiercią.

– Strach przed śmiercią? – adwokat sprawiał wrażenie zadziwionego. – Ale przecież musiał to czuć jeszcze wcześniej, gdy był zdrowy...

– Istnieją dwa rodzaje śmierci, proszę pana. Murphey daleko mniej boi się śmierci w komorze gazowej aniżeli tego, co mogłoby go spotkać w wyniku załamania się systemu jego chorej psychiki...

– Ale nie może dostrzec różnicy między jednym a drugim?

– Nie.

– To szaleństwo!

Thurlow spojrział z zaskoczeniem znad okularów.

– Przecież o tym właśnie mówimy. Bondelli upuścił długopis i westchnął.

– A co się stanie, jeśli zostanie uznany za zdrowego i w pełni odpowiedzialnego za swoje czyny?

– Wówczas będzie przekonany, że sprawuje kontrolę nawet nad ostatnimi minutami swego nieszczęśliwego losu. Choroba psychiczna oznacza dlań utratę takich możliwości, a to z kolei jest równoznaczne ze stwierdzeniem, że nie stanowi mocnej, skonsolidowanej osobowości, dzierżącej we własnym ręku swe sprawy. Jeśli zachowa kontrolę do ostatka, zostanie utwierdzony w przekonaniu o swej wielkości; śmierć w komorze gazowej stanie się dla niego czymś w rodzaju wypadku przy pracy, fatalnej wpadki, wobec której jest bezsilny; lecz w niczym nie zmieni to jego wielkości.

– Wreszcie zrozumiałem – przyznał Bondelli. – Ale pana wywód należy do tych rzeczy, których nie można dowodzić w obliczu sądu.

– A już na pewno nie w tym miasteczku i nie teraz – dodał Thurlow. – Właśnie to chciałem panu uświadomić już na samym początku. Może zna pan Yauntmana, mojego sąsiada? Otóż konar orzecha, rosnącego w moim ogródku, sięga do ogródka Yauntmana. Pozwalałem mu zrywać owoce i niekiedy nawet żartowaliśmy sobie na ten temat. Ostatniej nocy sąsiad odpiłował gałąź i przerzucił ją za siatkę, na moją część ogrodu. Wszystko dlatego, że występowałem jako świadek obrony.

– Absurd.

– W tej chwili raczej norma – stwierdził nie bez goryczy Thurlow. – Yauntman zachowuje się na ogół zupełnie przyzwoicie, jak każdy przeciętny zdrowy człowiek. Lecz sprawa z Murpheyem odkryła szczerze gniazdo podświadomych i tłumionych kompleksów winy, strachu i wstydu. Ludzie nie mogą się z tym uporać, a Yauntman to tylko pojedynczy przykład ogólnej prawidłowości. Wszyscy wiedzą, że Joe jest psychicznie chory, lecz nikt nie chce tego przyznać, ponieważ najchętniej widzieliby go w ziemi. Tego rodzaju wewnętrzne konflikty wyzwalają najzacieklejszą agresję. Całe miasteczko zmierza ku psychotycznemu kryzysowi.

Thurlow założył okulary, odwrócił się i spojrzał wprost w pantovivor.

– Całe miasteczko – mruknął.

Ruth wyciągnęła rękę i wyłączyła pantovivor. Gdy scena ciemniała, Thurlow jeszcze spoglądał ku niej. Kochany Andy – westchnęła w duchu. – Zrujnowany Andy! Nigdy cię już nie zobaczę.

Kelexel ciągle miał w uszach słowa tego szamana: wielkość! szaleństwo! śmierć! Cóż takiego jest w tych tubylcach, co przyciąga umysł i przykuwa zmysły? Obrócił się znowu, spoglądając na plecy Ruth. Przeklinał dzień, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Myśl o wybuchach jej wściekłości obudziła w nim ślepy gniew. Jak w ogóle ta istota śmiała powiedzieć, że jestem taki sam, jak jej ojciec? Jak mogła myśleć o tym małodusznym tuziemczym kochanku, skoro ma mnie?

Od Ruth dochodziły go chrapliwe odgłosy. Jej ramiona drżały. Kelexel zrozumiał, że płacze i to pobudziło jeszcze jego złość. Był zbyt nadskakujący. Na jej życzenie obniżył próg manipulacji. Z oczu odczytywał każde jej pragnienie.

Powoli odwróciła się w jego stronę.

– Powinieneś żyć wiecznie! – syknęła. – I każdego dnia wieczności powinna cię gryźć świadomość twojej winy i zbrodni.

Splunęła; w jej oczach tliła się naga nienawiść.

Absurd! – pomyślał zszokowany Kelexel. – Jaka znowu winy? Jaka zbrodni? A cóż ona może wiedzieć o moim przestępstwie? Przecież nie jest Chemem, a tylko Chemowie znają prawa uniwersum.

Lecz jego gniew pospieszył mu na pomoc. Aaa... z pewnością została zatruta przez tego immuna. Ten przeklęty pantovivor przypomniał jej starą historię. Cóż, przekonamy się, co może zrobić Chem z tym nędznym kochankiem. Sięgnął pod ubranie i przekręcił gałkę manipulatora do oporu. Nagły impuls zupełnie ją oszołomił. Oczy omal nie wyskoczyły jej z czaszki. Patrzyła na Kelexela przerażona. Załopotana rękoma w powietrzu, po czym osłabła i bezprzytomnie zapadła się w sobie.

Rozdział siedemnasty

Fraffin maszerował długim, gniewnym krokiem przez platformę ładowniczą. Z drugiej strony kopulasto rozpiętego pola siłowego wisiał ocean, niczym ciemnozielona szyba. Na szarej rampie stało w gotowości dziesięć maszyn. W gęstym powietrzu unosiły się gryzące, wilgotne opary ozonu.

Zbliżył się do kontroli lotu, żółtej kuli, panującej nad całą platformą, i zwolnił kroku. Dziś pełnił służbę sam Lutt, kierownik działu technicznego. Szeroka, przysadzista postać kontrolera mogła dawać uczucie pewności. Ale w twarzy Lutta czaiła się jakaś chytrość i Fraffin przypomniał sobie maksymę Katona: "Niech drżą królowie, których niewolnicy są przebiegli". Ach, co to był za tubylec, ten Kato! Godny najwyższego podziwu. Dyrektor przypomniał sobie kartagińskich wrogów tego męża, nieszczęśliwego Hannibala i zdradzieckiego Masynisę, który jeszcze zdążył zawrzeć pokój z Rzymem. Ale Kato już nie żył; Rzym i Kartagina także.

Ten meldunek o Kelexelu to z pewnością jakaś pomyłka – pomyślał. – Niemożliwe, aby było inaczej. Logika przemawia przeciwko tej wersji.

Wygląda nieco podobnie do podstarzałego Katona -

pomyślał, gdy stanął przed Luttem. – Ta sama budowa kości twarzy. Tak, niemało posiadliśmy z dziedzictwa tubylców. Otulił się szczelniej płaszczem.

– Czcigodny dyrektor! – zawołał Lutt. Jakże ostrożnie mówił!

– Słyszałem właśnie niepokojący meldunek na temat badacza...

– Badacza?

– Kelexela, idioto!

Lutt zwilżył wargi. Spojrzał raz na prawo, raz na lewo, później znowu na dyrektora.

– On... on miał twoje pozwolenie... Miał też przy sobie tę tuziemkę... Ona... Co się stało?

Fraffin potrzebował nieco czasu, by dojść do siebie.

– A zatem badacz odjechał? – spytał, dumny z siebie, że jego głos brzmi tak spokojnie.

– Powiedział, iż chce zrobić krótką wycieczkę – Lutt odchrząknął nerwowo. – Na szybującej platformie znajdowała się ta kobieta. Była nieprzytomna... Twierdził, że w ten sposób łatwiej ją kontrolować.

– Mówił, dokąd się wybiera? – spytał Fraffin, czując w ustach nagłą suchość.

Lutt wskazał palcem przed siebie. Dyrektor podążył wzrokiem za tym ruchem. Rejestrował brodawko watą skórę dłoni, jednocześnie pełen zadziwienia, iż taki zwykły gest może zawierać w sobie ogromny ciężar wielu przerażających ewentualności.

– Wziął swoją maszynę?

– Powiedział, że z innymi nie jest tak dobrze obeznany, jak ze swoją własną.

Lutt powoli zaczynał się bać. Można to było dostrzec w jego twarzy. Zewnętrzny spokój dyrektora nie mógł pokryć niepokoju, kryjącego się w dociekliwych pytaniach.

– Zapewniał mnie, że ma twoją zgodę – wyjaśnił technik. – Powiedział, że jest to część jego treningu, że...

Gniewne ogniki w oczach Fraffina zmusiły go do zamilknięcia. Po chwili dodał jednak:

– Twierdził, że ta kobieta bardzo się ucieszy.

– Ale przecież była nieprzytomna – rzucił sucho dyrektor.

Lutt kiwnął głową.

Dlaczego była nieprzytomna? – zastanawiał się Fraffin. Powoli zaczynała ożywać w nim

nadzieja. Co należy robić? Co można zrobić? Przecież i tak go posiadamy... Byłem głupcem, wpadając od razu w panikę. Tuż obok kontrolera zamigotało czerwone światelko. Komunikator zabrzączał głośno i w powietrzu ukazała się okrągła twarz Ynvic, z trudem skrywającej gorycz i zatroskanie.

– Tu jesteś... – odetchnęła. Potoczyła wzrokiem dookoła, zbadła otoczenie i wróciła do Fraffina. – Uciekł?

– Tak. Z tą kobietą.

– Nie dał się odmłodzić! – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Chyba minuta minęła, zanim Fraffin odzyskał głos.

– Ale... ale wszyscy inni...

– Tak, wszyscy inni natychmiast poddali się kuracji – potwierdziła lekarka. – Dlatego myślałam, że zajął się nim któryś z asystentów, albo sam to zrobił, podobnie jak ty masz w zwyczaju. Któżby myślał inaczej? Ale dokumenty nic nie mówią o tym, by skorzystał z czyjejkolwiek pomocy. Gdyby zaś posłużył się automatami, mielibyśmy natychmiastowy wydruk. Nie został odmłodzony! Oto cała prawda!

Fraffin przełknął ślinę, choć w ustach miał zupełnie sucho. To przecież nie do pomyślenia! Nie odmłodzony!

– Czas... – wyszeptał ochryple. – Musiało co najmniej...

– Jeden z moich ludzi widział go niedawno i powiadomił mnie – rzekła Ynvic. – Kelexel wykazuje wyraźne oznaki rozkładu!

Dyrektor oddychał z trudem. Bolało go w piersi.

Nie odmłodzony! Gdyby Kelexel zniszczył wszelkie ślady po tej kobiecie... Ale to i tak bez znaczenia. Kreocen-trum posiada pełną dokumentację tych amorów. Gdyby jednak ją zabił...

– Czego chcesz? – rzucił się wściekle Fraffin. Technik wciągnął głowę i odskoczył do tyłu, spoglądając bojaźliwie na uosobienie gniewu, jakim był teraz dyrektor.

– Czcigodny... interkom... – Lutt dotknął zawieszzonego na karku urządzenia. – Właśnie widziano statek Kelexela.

– Gdzie?

– W ojczystych stronach tej kobiety.

– Jeszcze go widzą?

Fraffin wstrzymał oddech. Lutt nasłuchiwał przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Statek zauważono w chwili, gdy leciał bez osłony kamuflującej. Jeden z obserwatorów natychmiast zgłosił to zlekceważenie przepisów bezpieczeństwa, ale w tym momencie stracił statek z oczu.

– Należy przerwać wszystkie zajęcia – polecił dyrektor. – Zmobilizujesz wszystkie dostępne maszyny oraz pilotów. Statek musi zostać odnaleziony!

– Ale, co mamy zrobić, gdy go już znajdziemy?

– Kobieta... – podpowiedziała Ynvic. Fraffin spojrzał na bezcielesną twarz chirurga, po czym zwrócił się do technika.

– Tak, kobieta. Tę tuziemkę należy natychmiast zabrać w jakieś bezpieczne miejsce i przewieźć tutaj. Stanowi naszą własność. Z Kelexelem jakoś się porozumiemy później. Tylko żadnych głupich kroków! Macie go dostarczyć wprost do mnie. A jeśli będzie stawiał opór, użyć siły. Najważniejsza jest jednak ta kobieta.

– Zrobię, co będę mógł, czcigodny.

– Na twoim miejscu zrobiłbym wszystko, by ich odnaleźć. Pamiętaj, od tego zależy twoja przyszłość.

Rozdział osiemnasty

Thurlow obudził się, gdy tylko budzik zadzwonił. Nacisnął guzik, zanim jeszcze dzwonek zdołał rozkrzyczeć się na dobre. Usiadł na łóżku i zaczął zmagać się z samym sobą. Cholernie nie chciało mu się zaczynać tego dnia. W klinice czeka go prawdziwe piekło, był tego świadomy. Whelye obrzydzał mu życie wszędzie, gdzie tylko mógł, i będzie to trwało aż do chwili, gdy... Thurlow westchnął. Rozumiał, że niedługo zagrzeje miejsca na tej posadzie. Szef chciał po prostu wylać go z pracy i jak łatwo przewidzieć, prędzej czy później dopnie swego. Trzeba rozejrzeć się za jakąś robotą, zanim nerwy odmówią mu posłuszeństwa. Z kolei opinia publiczna czyniła wszystko, by ułatwić mu tę decyzję: listy z pogrózkami, pełne nienawiści telefony... Był tutaj pariasem. Natomiast stanowisko profesjonalistów stanowiło jakiś osobliwy kontrast. Wszystko, co czynili i mówili na sali sądowej w porównaniu z ich zachowaniem poza gmachem sądu pozwalało przypuszczać, że prowadzili coś w rodzaju podwójnego życia, którym sterowały dwie różne, ściśle odseparowane części mózgowia.

– Ta burza kiedyś ucichnie – powiedział Grimm. – Proszę im dać tylko trochę czasu.

– Takie jest to życie, Andy – stwierdził Paret. – Dzisiaj wygrana, jutro przegrana, pojutrze...

Thurlow zastanawiał się, czy śmierć Murpheya obudziła w nich jakiegokolwiek emocje. Paret jako prokurator został oczywiście zaproszony na egzekucję i plotkarze koniecznie chcieli wiedzieć, czy skorzystał z okazji. Czyżby nikt go nie przestrzegł, że obecność przy straceniu Joego będzie poczytana za akt ostatecznej zemsty?

A dlaczego ja tam poszedłem? Czy dlatego, że klęsce zawodowej chciałem nadać jeszcze jakiś osobisty wymiar bólu? – Pytanie było w zasadzie retoryczne. Dobrze wiedział, że poszedł tam, by się przekonać, czy również przed komorą gazową spotka obserwatorów w szybującej kuli. Dlatego przyjął zaproszenie skazańca i odprowadził go do samych drzwi piekieł. Oni... a może tylko iluzja... W każdym razie kula także tam była.

Wrócił myślami do owego dnia. Będzie potrzebował sporo czasu, znacznie więcej niż jeden weekend, by wymazać z pamięci to wspomnienie... Zgrzyt metalu, kroki wartowników i stąpienie skazańca. Nieprzytomne spojrzenie Murpheya na zawsze odcisnęło się w jego umyśle. Podczas procesu i później, oczekując na egzekucję, Joe stracił sporo na wadze. Więzienne ubranie luźno zwisało na zgarbionych ramionach, poruszał się ciężkim, posuwistym krokiem. Poprzedzał go czarno odziany ksiądz, po bokach miał strażników, do których został przykuty kajdankami. Minęli gromadę nagle ucichłych urzędników, których spojrzenia niczym na komendę skoncentrowały się na kacie.

Wyglądał jak handlarz galanterią – wysoki, szczupły, o twarzy bez wyrazu. Otworzył obite gumą drzwi małej, zielonej komórki, zaopatrzonej w okrągłe okienka, przez które tylko z zewnątrz można było cokolwiek dostrzec.

Strażnik przeciągnął przez lewe ramię skazańca pasek i powiedział, że ma usiąść na krześle.

– Proszę położyć rękę na poręcz... Tak... nieco dalej. Teraz już dobrze. Ścisnął pasek.

– Nie za mocno?

Murphey potrząsnął głową. Oczy miał nadal nieprzytomne; jego spojrzenie przypominało wzrok pojmanego zwierzęcia.

Kat spojrział na strażnika z dezaprobatą.

– Al, czemu nie jesteś przy nim i nie przytrzymasz drugiej ręki?

W tej samej chwili Joe jakby obudził się ze swej bierności. Odwrócił głowę, dostrzegł Thurlowa i wzrokiem zmusił go, by nań spojrział.

– Powodzenia, Andy – rzekł. – Zajmij się Ruth.

Gdy dobrnął wspomnieniami do tego punktu, westchnął i przerzuciwszy nogi przez krawędź łóżka, stopami dotknął zimnej podłogi. Włożył kapcie, zarzucił na ramiona płaszcz kąpielowy i podszedł do okna. Przystanął przy parapecie i kontemplował widok, który kiedyś tak poruszył jego ojca, że kupił ten dom. Tak, to było przed pięćdziesięciu laty. Blask porannego słońca przyprawił go o ból. Pocięły łzy. Wziął ze stolika okulary, założył je i tak ustawił soczewki, by działanie światła utrzymywało się tuż na granicy bólu.

Dolina leżała w woalu jesiennych mgieł. Na konarze wiecznie zielonego dębu siedziały dwa gawrony, przywołując chrapliwym krakaniem niewidocznych krewniaków. Kropla rosy spadła z liści akacji wprost na parapet. Gdzieś z drugiej strony drzew zauważył jakiś ruch. Wychylił się. Dostrzegł coś w rodzaju stalowego cygara. Dziesięciometrowy stwór szybował w kierunku dębu. Gawrony załopotwały skrzydłami, zakrakały głośno i skryły się we mgle.

Widzą to – pomyślał Thurlow. – Skoro one widzą, nie mogłem ulec złudzeniu!

Nagle dziwny obiekt wystrzelił w górę, wziął kurs na lewo i poszybował ku niebu. Za nim ruszył cały zastęp kul oraz krążków. Wkrótce wszystko zniknęło za cienką warstwą chmur. Zapanowała cisza tak głęboka, że nawet ciężki oddech Thurlowa nie był w stanie jej zakłócić. Nagle w milczenie wdarł się dziwny, mlaszczący głos.

– Jesteś tubylcem, Thurlow?

Mężczyzna drgnął i obrócił się. W drzwiach sypialni dostrzegł jakąś zjawę. Mały, przysadzisty, krzywonogi osobnik, ubrany w zielony płaszcz i takie same spodnie, o nieco kanciastej twarzy, srebrnej skórze, ciemnych włosach oraz szerokich ustach. Pod gęstymi brwiami pałały ogniste oczy.

Usta poruszyły się i znowu usłyszał ten sam mlaskliwy lecz dźwięczny głos.

– Jestem Kelexel.

Thurlow zdrętwiał. Karzeł? Szaleniec? W głowie kłębiło się mnóstwo pytań.

Kelexel spojrział za okno. Miło było widzieć, jak pościg Fraffina ugania się za pustym statkiem. Oczywiście, automatyczny pilot nie mógł wiecznie wodzić za nos pogoń, ale zanim schwytają jego maszynę, zdąży wszystko załatwić. Śmierć została postanowiona. Fraffin jakoś będzie się musiał z tym pogodzić. Duma utwierdzała go w powziętej decyzji. Znam swoje obowiązki – pomyślał. – Ta kobieta wkrótce się obudzi i przyjdzie do siebie, a wówczas będzie świadkiem jego najwyższego triumfu. Później będzie jeszcze dumna, że należała do Chema.

– Obserwowałem cię, szamanie.

W głowie Thurlowa zaświtała nagle myśl: czy to przypadkiem nie psychopata, który tu przyszedł, by mnie wykończyć z powodu zeznań na procesie Murpheya?

– Jak się tu dostałeś?

– Dla Chema to nic trudnego.

Thurlowa opadły nagle koszarne przeczucia. Uświadomił sobie, że ta istota może mieć coś wspólnego z latającymi obiektami; obserwatorami, śledzącymi go już od dłuższego czasu. Chem? – pomyślał oszołomiony.

– Jak mnie obserwowałeś?

– Twoje poczynania utrwalono na czymś, co jest podobne do waszej taśmy filmowej. – Kelexel machnął lekceważąco ręką, tak trudno porozumieć się z tymi istotami. – To oczywiście coś więcej, niż tylko zwykły film – dodał. – Nagrywa się postrzegania zmysłowe, nastroje, które poza stymulacją

empatyczną przenosi się wprost na widza.

Thurlow chrząknął. Z tych słów nie mógł wycisnąć ani odrobiny sensu, lecz jego niepokój wzrósł.

– To jakaś nowość – rzekł lekko ożywionym głosem.

– Nowość? – roześmiał się Kelexel. – Stare jak świat. Jak ten świat.

Szurnięty karzeł – pomyślał Thurlow, czując budzącą się odwagę. – Ten facet musi być zdrowo kopnięty. Tylko czemu takie typy napastują zawsze psychologów? Przypomniał sobie jednak gawrony. Żadna logika nie była w stanie podać w wątpliwość faktu, że ptaki, uciekły, bo zobaczyły te dziwne obiekty.

– Nie wierzysz mi – odezwał się Kelexel. – Nie chcesz mi uwierzyć.

Odprężył się. Sytuacja zaczynała go powoli bawić. Poznał tę fascynację, która musiała być udziałem ludzi Fraffina, gdy otwarcie żyli w świecie tych stworów. Jego gniew i zazdrość jakby wygasły. To naprawdę mogło być zabawne!

Thurlow przełknął ślinę. Jedna myśl ścigała drugą, pytania mnożyły się z coraz większą szybkością.

– Gdybym ci uwierzył – zaczął – wówczas musiałbym uznać, że jesteś kimś...

– ...nie z tego świata? – dokończył przybysz.

– Tak.

– Łatwo tego dowiodę – Kelexel roześmiał się. – Bez problemu mogę sprawić, byś się zaczął pocić ze strachu. Strzelił palcami. Dziwnie wyglądał ten ludzki gest u tak mało przypominającego człowieka osobnika. Zadziwiające, lecz nie przyczyniło się to do przełamania lodów. Thurlow ciągle czuł się niepewnie. Wziął głęboki oddech. Wygląda niczym karzeł z cyrku... niewiele powyżej metra wzrostu. Nagle przeszył go niemal paniczny strach.

– Po co tu przyszedłeś?

Po co tu przyszedłem? Przez moment Kelexel nie mógł znaleźć żadnego logicznego powodu, którym potrafiłby usprawiedliwić swą wizytę. Pomyślał o nieprzytomnej Ruth, leżącej w szybującym pojemniku.

– Mam pewną niespodziankę – powiedział. – Ale może powinienem najpierw zmienić twoją wizję świata. Czy nie należałoby cię wziąć na statek i uraczyć obrazem tej nędznej planety... marnego pyłku w bezgranicznej przestrzeni?

Powinienem czymś go zająć – zdecydował Thurlow.

– Powiedzmy, że nie jest to jakiś marny dowcip i...

– Chemowi nie mówi się, że robi marne dowcipy – rzekł Kelexel.

Thurlow wyczuł porywczosć w tym głosie i mimowolnie podniósł rękę w obronnym geście. Wysiłkiem woli zmusił się do regularnego oddechu.

– Złamałem najświętsze prawa swego społeczeństwa tylko po to, by móc tu przybyć – powiedział Kelexel. – Mój czyn zadziwia mnie.

Należy sprawić, by mówił jak najdłużej – pomyślał Andy. – Jak długo mówi, tak długo jest niegroźny.

– Co to jest "Chem"?

– Dobrze – pochwalił go Kelexel. – Przynajmniej masz normalną ciekawość świata.

Po czym zaczął wyjaśniać, kim byli Chemowie, ich siła, nieśmiertelność i kreocentrum.

– Dlaczego przybyłeś do mnie? – powtórzył swe pytanie Thurlow. – Co by się stało, gdybym komuś opowiedział o tej wizycie?

– Bardzo możliwe, że wkrótce nie będziesz w stanie o niczym opowiadać – mruknął Kelexel. – A gdyby nawet, i tak nikt by ci nie uwierzył.

To prawda – zgodził się w duchu Andy. Ale dlaczego on tutaj jest? Świadomość drażyły mu ułamki wyjaśnień. Nieśmiertelność... kreocentrum... tęsknota za rozrywką... nuda jako przeznaczenie... nieśmiertelność...

Spojrzał na gościa.

– Powątpiewasz w swój rozsądek? – spytał. – Dlaczego tu jesteś?

To był błąd. Thurlow zorientował się, zanim jeszcze zdążył wypowiedzieć ostatnie słowa.

– Jak śmiesz? – zripostował Kelexel. – Moja cywilizacja pilnie czuwa nad zdrowiem psychicznym wszystkich jej członków. Porządek zawartości nerwowych jest ustalony tuż po narodzeniu, gdy tylko noworodek otrzymuje dar nieśmiertelności. Włókno Tiggywauka wszczepia się wszystkim bez wyjątku.

– Włókno Tiggy... Tiggywauka? – wyjąkał Thurlow. – Czy to jakieś mechaniczne urządzenie?

– Mechaniczne? Hm... I tak można to określić.

Dobry Boże! – zdumiał się Thurlow. – Czy ten karzeł przybył tutaj, by sprzedać jakąś maszynę do psychoanalizy? Czy to wszystko nie jest przypadkiem częścią wyrafinowanej akcji reklamowej?

– Włókno łączy wszystkich Chemów – zaczął wyjaśniać Kelexel. – Jesteśmy wielością i jednością zarazem.. Daoine Sithe. Daje nam to perspektywy, o których nie masz nawet pojęcia, nędzna istoto. Nie macie czegoś podobnego, dlatego jesteście ślepi.

Thurlow stłumił gniew.

– Czy ja jestem ślepy? – spytał tonem głośnego rozważania. – Być może. Ale nie na tyle, by nie wiedzieć, że jakakolwiek maszyna do psychoanalizy to tylko czczy slogan, bezużyteczny złom.

– Co? – zdziwił się Kelexel, zupełnie nie pojmując, jak można wyznawać tego rodzaju poglądy. – Prawdopodobnie myślimy o całkiem innych rzeczach, ale nie zbaczajmy z tematu. Potrafisz zrozumieć swoich pobratymców bez takich urządzeń?

– Mam pewne sukcesy – przyznał Thurlow.

Kelexel postąpił dwa kroki. Zmierzył wzrokiem szamana. To, co zobaczył w pantovivorze, wskazywałoby, iż ten tubylec rozumie sobie podobnych. Niewykluczone, że nie była to tylko czcza gadanina. Czy jednak mógł wejrzeć w głąb Chema i zrozumieć to, co się w nim kryło?

– Co widzisz we mnie? – spytał. Thurlow przyjrzał się bacznie kanciastej, lecz wrażliwej twarzy.

– Może przez pewien czas grałeś pewną rolę i utożsamiałeś się ze swym bohaterem, tak że już nie wiesz, który z was jest prawdziwy.

Grać rolę – zastanowił się Kelexel. Poszukał innego znaczenia tych słów, lecz nie znalazł żadnego.

– Moje mechaniczne zabezpieczenie nie może popełnić żadnego błędu, który zdarzyłby się człowiekowi.

– Jaka to pociecha na pewną przyszłość – rzekł Thurlow. – Naprawdę jesteś nieśmiertelny?

– Tak.

Andy zorientował się, że tym razem mu wierzy. W osobie i zachowaniu tego natręta było coś, co wykluczało wszelką grę i oszustwo. Nagle zrozumiał, po co Kelexel tu przybył.

– Nieśmiertelny... – przeciągnął. – Chyba już wiem, dlaczego tu jesteś. Upiłeś się życiem. Jesteś podobny do kogoś, kto wspina się po stromej skale. Im wyżej jesteś, tym większy upadek. Lecz głębia, która się pod tobą rozciąga, fascynuje cię. Przyszedłeś tutaj, ponieważ boisz się wypadku.

Kelexel roześmiał się. Ten Thurlow jest tak łatwy do rozgryzienia, że dyskusja z nim przypomina zabawę.

– Jak mogę się obawiać wypadku, skoro jestem nieśmiertelny? Chem nie zna podobnych problemów. Jesteśmy istotami dojrzałymi...

– Nie jesteście dojrzały – przerwał mu Thurlow. Kelexel przypomniał sobie, że Fraffin powiedział to samo. Uśmiech zszedł z jego twarzy. Spojrzał ponuro.

– Przyszedłeś tutaj, by pytać o śmierć i ze śmiercią się bawić. Chciałbyś umrzeć, lecz boisz się tego.

Kelexel przełknął ślinę i ze zdumieniem spojrzał na mężczyznę. Tak – pomyślał – Po to tutaj przyszedłem. Ten szaman przejrzał mnie.

– Przyszedłeś w poszukiwaniu jakiejś atrakcyjniejszej filozofii – ciągnął ośmielony Thurlow – nie pojmując, że wszystkie filozofie są ślepyimi uliczkami, dziurami, wydrążonymi przez robaki w zdrowym pniu. Kto miałby wiedzieć więcej o tych dziurach niż same robaki?

Kelexel zwilżył wargi.

– Ale gdzieś musi istnieć jakaś doskonałość! – zawołał, bliski zwątpienia.

– Wyobraźmy sobie osobnika, który żyje w takim doskonałym systemie – zaproponował Andy. – Nie zdążyłby zawędrować z jednego końca doskonałości na drugi, gdy popadłby we frustrację i nudę. Doskonałości bywają śmiertelne i one także mogą mieć swój kres.

Kelexel przetarł oczy. Choć ten tubylec był prymitywny, miał rację – absolutną rację.

Thurlow drgnął, słysząc szelest w pobliżu drzwi. Gdy w progu stanęła kobieta, jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Ruth!

Jej rude włosy były zaczesane wysoko, przewiązane srebrnym, wysadzonym szmaragdami łańcuchem. Miała długą zieloną suknię, spiętą pasem z czworokątnych złotych płytek, w których osadzono ciemnoczerwone granaty. Biła z niej egzotyczna obcość, która wzbudziła w Andym strach. Później dostrzegł jej duży brzuch.

– Ruth!

Nie zwracała na niego uwagi. Jej pałające nienawiścią oczy spoglądały na Kelexela.

– Ty ohydny karle! – syknęła. – Zbrodniarzu! Diable! Zejdź mi natychmiast z oczu. Ach, jakże ja cię nienawidzę! – Jej głos załamał się w dzikim szlochu. – Andy, on mnie zupełnie zniszczył.

Drżąc opadła przy ścianie.

Gdy weszła, Kelexel obrócił się ze spokojną godnością. Była tu wreszcie, zupełnie wolna, mogła go oglądać nie oszołomiona wpływem manipulatora. A to właśnie była jej reakcja. Czy to cała prawda? Nienawidziła go. Nie mogła znieść jego widoku. Poczul w ustach niesmak. On, Chem, ośmielił tę tubylkę, by mogła się doń zbliżyć, a ona go znenawidziła. Teraz główne miejsce w jego świadomości zajmowała myśl, którą się kierował, przybywając na powierzchnię tej planety. Oczywiście zrobi to, co zamierzał, choć nie będzie to już żaden triumf – w każdym razie nie w oczach Ruth... Ani nie w oczach tego tubylca.

Cóż oni właściwie wiedzieli? Będzie to jego własny triumf i Fraffin na pewno się o tym dowie... Fraffin, którego zwycięstwo nieoczekiwanie zmieni się w klęskę.

Wściekły szaman podchodził do niego.

– Co jej zrobiłeś?! – zgrzytnął zębami.

– Pozostań na swoim miejscu! – krzyknął ostro Kelexel, podnosząc prawą rękę, ustawioną wewnętrzną częścią dłoni w stronę tubylca.

– Andy! – dotarł doń przerażony głos Ruth. – Nie... Przystanął, spoglądając na nią pytającym wzrokiem. Ruth położyła rękę na obrzmiałym brzuchu.

– To właśnie zrobił – zaszlochała. – Zabił mego ojca i matkę, zrujnował ciebie...

– Tylko bez przemocy, proszę – odezwał się Chem. – I tak byłaby wobec mnie bezskuteczna. W każdej chwili mogę zlikwidować was oboje.

– On mówi prawdę – wyszeptala Ruth przez łzy. – Zrobi to, jeśli zechce.

Kelexel spojrział na jej brzuch. Jaki to dziwny sposób hodowania potomstwa.

– Nie chciałybyś, żebym zlikwidował twego przyjaciela?

Ruth potrząsnęła w milczeniu głową. Na Boga, co zamierza ten zwariowany mały potwór? Z jego oczu biła jakaś przerażająca siła.

– Żałuję – rzekł Chem z godnością – że powierzyłem ci swego potomka, ponieważ za to, co powiedziałaś powinnaś ponieść śmierć. Nie zapominaj, że tylko dzięki niemu zdołałaś zachować życie.

Thurlow prześlizgnął się pod ścianą. Doszedł do Ruth i spróbował położyć jej rękę na ramieniu. Odepchnęła go z histeryczną gwałtownością. Jej wargi poruszały się bezgłośnie, oczami śledziła każdy skurcz twarzy Kelexela.

– Co... co zamierzasz? – wyjąkała. Kelexel odwrócił się plecami i podszedł w stronę łóżka. Po chwili wahania zaczął wyrównywać pościel.

– Uczynię to czego nie zrobił jeszcze żaden nieśmiertelny Chem.

Gdy tak się krzątał, Ruth pomyślała, że za pomocą manipulatora uczyni ją powolną i zmusi Andy'ego, by przyglądał się ich sprzecznemu z naturą aktowi.

O Boże – szepnęła. – Tylko nie to!

Chem odwrócił się w ich stronę. Usiadł na brzegu łóżka, podparłszy się rękoma. Czuł, że jest mu miękko; kołdra była ciepła i przytulna. Co prawda śmierdziało potem tubylca i ten zapach przypominał mu pierwsze chwile z Ruth, stłumił jednak erotyczne skojarzenia.

– Macie pozostać tam, gdzie jesteście – rozkazał.

Przymknął oczy i wyszukał miejsce, gdzie biło serce. To całkiem możliwe – pomyślał. To powinno być możliwe. Skoncentrował się na rytmicznym pulsie. Nie zauważył żadnej reakcji. Później jednak poczuł prawie niedostrzegalne zwolnienie akcji. W chwilę potem, gdy przejął kontrolę nad pracą serca, tempo pulsu wyraźnie opadło. Dopasował rytm serca do rytmu oddechu: wdech – jedno uderzenie, wydech – drugie uderzenie.

Ustało. Opadła nie kontrolowana panika. Przez sekundę usiłował powrócić do dawnego, normalnego stanu. Jednak przemógł strach.

Nie – zadecydował z żelazną stanowczością. – Przecież nie tego chciałem. Ten przeklęty strach!

Teraz już nie musiał się wysilać. Był w mocy innej siły. Zmysły się zamgliły, stłumione niewypowiedzianą grozą nieznanego przeżycia. Coś gigantycznego sięgnęło z przygniatającą siłą do jego piersi. Westchnął, pochylił się, gotów wpaść w czarną, wirującą otchłań. Gdzieś z gęstego mroku dobiegł go odległy głos.

– On jest chory... Z nim coś nie w porządku!

Zauważył, że upadł plecami na łóżko. Ból w piersi stał się przeszywającym skurczem agonii. Wewnątrz drgało tylko jego serce. Coraz wolniej, wolniej i wolniej... Bądź pozdrowiona... – pomyślał. – Weź mnie. Otchłań rozwarła się. Gdy tak leciał w ciemności, miał wrażenie, jakby w uszach huczał prawdziwy wiatr. Dotarł doń jakiś głos, lecz zaraz rozmył się w pustce.

– Boże... on umiera!

Thurlow oparł się o łóżko, usiłując wyczuć na skroni i szyi bicie pulsu. Nic. Skóra sprawiała wrażenie zupełnie suchej, gładkiej, niczym metal. Pewnie nie są do nas podobni – pomyślał. – Być może wyczuje puls w innym miejscu. Chwycił za przegub prawej dłoni. Ręka opadła jakby senna, zupełnie pusta. Tu także nic.

– Naprawdę umarł? – spytała Ruth.

Thurlow wypuścił dłoń Chema i spojrzał na kobietę. Poczula coś w rodzaju żalu. Myślała o Chemach, o ich nieśmiertelności; o zdawałoby się nieskończenie długim życiu. Czy to ja go zabiłam?

– Czy to my go zabiliśmy? – powtórzyła na głos.

Thurlow rzucił okiem na małą martwą postać. Przypomnił sobie dziwną rozmowę, jaką przed chwilą przeprowadzili. Kelexel szukał u niego czegoś w rodzaju metafizycznego ukojenia. Czy naprawdę wierzył, że ten, którego nazywał "prymitywnym szamanem", może mu coś powiedzieć o umieraniu? Nic mu nie powiedziałem. Ale stało się to, czego pragnął. Chciał umrzeć i śmierć przyszła.

– Był szalony – szepnęła Ruth. – Oni wszyscy są szaleni.

– Nie szaleni – mruknął Thurlow. – Po prostu inni.

Przypomnił sobie krótki opis społeczeństwa, z którego pochodził. A zatem było ich więcej. Jak zareagują, gdy znajdą dwoje tubylców przy zwłokach nieśmiertelnego?

– Czy powinniśmy coś zrobić? – spytała Ruth.

Thurlow chrząknął... o czym ona myśli? Sztuczne oddychanie? Czuł, że nie na wiele by się to zdało. Ten Chem sprowadził na siebie śmierć siłą woli. Spojrzał na kobietę i w tej samej chwili dojrzał dwóch dalszych Chemów, wdzierających się do sypialni. Nie zwracali uwagi ani na niego, ani na nią. Spieszyli w stronę łóżka.

Thurlow przyglądał się im jak we śnie. Jedno z tych na zielono ubranych indywiduów było rodzaju żeńskiego. Łysa, o okrągłej twarzy, jej ciało przypominało beczkę. Pochyliła się – nad zmarłym, badając go sprawnymi, świadomymi rzeczy ruchami. Ten drugi, w czarnym płaszczu miał popękana twarz i ostry haczykowaty nos. Oboje mieli srebrzystometaliczną skórę. Gdy kobieta badała Kelexela, panowała kompletna cisza. Nie zamienili nawet jednego słowa.

Ruth stała obok jak porażona. Jakby jakaś siła przygwoździła ją do podłogi. Żeński Chem Ynvic; pamiętała spotkanie z nią i utarczkę. Tego drugiego знаła tylko pośrednio, z projekcji komunikatora, gdy rozmawiał z Ke-lexelem. To Fraffm, dyrektor. Nawet Kelexel zmieniał ton, gdy zwracał się do szefa i właściciela kreocentrum; także wtedy, gdy o nim mówił.

Ynvic wyprostowała się.

– Tak. Zrobił to – rzekła do Fraffina. – Naprawdę to zrobił.

Jej głos był zupełnie bezbarwny, pusty, bez wyrazu. Spoglądali na siebie. W ich wzroku kryła się świadomość klęski. Oboje dobrze wiedzieli, co tu się naprawdę stało. Fraffm westchnął i drgnął. Przez włókno Tiggywauka dokładnie poczuł moment śmierci Kelexela. Była to chwila, gdy wszechogarniająca jedność wszystkich Chemów została na pewien czas zerwana. Gdy odebrał ten zew śmierci oraz kierunek, skąd pochodził, nabrał przerażającej pewności co do osoby zmarłego. Oczywiście, wszyscy Chemowie istniejący w uniwersum poczuli to samo i zwrócili się w tym samym kierunku, lecz Fraffm wiedział, że jest jednym z niewielu, którzy mogą rozpoznać tożsamość umierającego.

Poprzez swą śmierć Kelexel pokonał go. Wygrał partię, która zdawała się przechylać na stronę dyrektora. Fraffm był tego świadomy, gdy wraz z Ynvic wsiadł do pierwszej spotkanej maszyny i brał kurs w stronę tego miejsca na powierzchni ziemi. Całe niebo pełne było pojazdów z

kreocentrum, lecz załogi wahały się. Nikt nie chciał lądować bez wyraźnego rozkazu. Większość z nich musiała wiedzieć, kto umarł. Musieli też zdawać sobie sprawę, że Prymas nie spocznie, póki nie zidentyfikuje bezimiennego zmarłego. Żaden Chem nie ustanie w gorliwych wysiłkach, zanim nie odsłoni tej tajemnicy.

Tak oto tu i teraz umarł pierwszy nieśmiertelny Chem, pierwszy w całym nieskończonym czasie. Wkrótce cała planeta zaroi się od zauszników Prymasa. Wszystkie tajemnice zostaną bezlitośnie wydobyte na światło dzienne.

Dzicy Chemowie! Ta eksplozja wstrząśnie całym uniwersum. Nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie z tymi stworzeniami.

– Co go zabiło? – szepnęła Ruth w języku Chemów.

Ynvic skierowała wzrok na ciężarną kobietę. Cóż za głupia, uwarunkowana istota! Co ona może wiedzieć o życiu i naturze Chemów!

– Sam się zabił – odparła. – Tylko w ten sposób Chem może umrzeć.

– Co ona powiedziała? – spytał Thurlow. Jego głos brzmiał zbyt donośnie w tej głębokiej ciszy.

– Że sam się zabił.

Sam się zabił – powtórzył w duchu Fraffin. Spojrzał na Ruth i oczyma wyobraźni ujrzał wszystkie egzotyczne tuziemki, jakie znał. Nie mają żadnej innej przeszłości prócz tej, którą im dałem – pomyślał. Poczuł nagle gorzko-słony zapach, którym onegdaj oddychał w Kartaginie... Całe jego życie stanowiło jakąś paralelę losów tego miasta.

Prymas oczywiście skaże go na banicję. Była to najcięższa kara, jaką można nałożyć na Chema, niezależnie od rodzaju zbrodni, którą popełnił. Jak długo wytrzymam? – zastanawiał się w duchu. – Jak długo wytrzymam, zanim wybiorę wyjście Kelexela? Ponownie wciągnął nozdrzami gorzko-słony zapach. Kartagina zburzona, wypalona, zrównana z ziemią, a ci, którzy przeżyli, spędzeni przez nielitościwych zdobywców w niewolnicze szeregi.

– Mówiłam ci, że to się tak skończy – rzekła Ynvic.

Pod naporem jej spojrzenia Fraffin przymknął oczy. Z ciemności wyłaniały się jakieś kształty... z mroków nadchodziła przyszłość... ta, którą sam sobie wybrał. Wspomnienia z planety nie dadzą mu chwili spokoju. Jego myśli były niczym kamień, który wrzucony do jeziora, mąci powierzchnię wody. On sam był tym kamieniem. Od eonów samotnie zapadający się w błotnistych głębinach, sam ze swymi wspomnieniami: drzewo, twarz... przelotne spojrzenie w czyjąś twarz... córka Kallimasina, taka, jaką oddano Amenophisowi III za żonę trzy i pół tysiąca lat temu. Trzy tysiąclecia i jeszcze pół... drobna chwilka. I fakty. Przypomniawszy sobie, że Karol V wolał samotność klasztoru Yuste od bogactw tronu... Głupiec!

I miasta. Mury jakiejś nędznej wioski na pustynnym szlaku... osada imieniem Muajjar. Zburzone mury, przywołujące na myśl potężne Ur, takie, jakim je widział po raz ostatni. W jego wyobraźni legion Tiglata nie umarł, lecz maszerował wciąż procesyjną aleją przez bramę Isch-tar w sercu Babilonu. Nieskończenie długa parada, utrwalona przez jego operatorów: Sanherih, Salmanassar, Sin-sar-ikun, Nabopolassar i jego syn Nebukadnezar. Oni wszyscy, a także wielu innych tańczyło na tę samą śpiewkę.

W duchu Fraffina biło serce świata, który stworzył i którym sterował. Ślady, ciągnące się przez niezliczone pokolenia. Jego myśli powstawały w akadyjsko-babilońskim, przyoblały formę języka, który przez dwa tysiące lat służył światu jako narzędzie porozumienia, zanim on, Fraffin, nie zamieszkał w tym garnku i dał im Jezusa.

Teraz czuł, że jego duch jest jedynym miejscem, gdzie mogłyby znaleźć schronienie te istoty, a jego osoba jedyną dla nich ostoją; miejscem chciwego pożądania, pełnym głosów i twarzy, całych

ludów, które przemijając nie pozostawiły po sobie żadnego innego śladu poza delikatnym muśnięciem jego pamięci.

Z czasów królestwa Saby pamięć podała mu wizję Maribu – stolicy państwa, miasta bogatego w wielbłądy, którego mury forsowali dopiero chciwi złota Rzymianie pod wodzą Aelisa Gallusa – forsowali i odeszli z kwitkiem. Lecz w końcu i one minęły, rozsypały się w pył, tak jak Kartagina – miasto cierpliwie czekające na archeologa, który wydobędzie na światło dzienne jego pusty czerep.

Auvum et ferrum...

Złotem i żelazem...

Zastanawiał się, czy zdąży rozbłysnąć ogień rozumu, zanim paląca ciemność zapadnie nad wszystkim. Nie ma już dla mnie żadnego zajęcia, któremu mógłbym oddać duszę – pomyślał. – Nic, co ochroniłoby mnie przed nudą.

Epilog

Zarządzenie Prymasa:

Podczas obecnego cyklu nie będzie się przyjmowało żadnych podań osób, które chcą obserwować dzikich Chemów w ich naturalnym środowisku. Podania na kolejny cykl będzie się przyjmowało jedynie od osób, które wystarczająco dokładnie zgłębiły genetykę, socjologię, filozofię oraz historię Chemów, a także potrafią dowieść, że kierują nimi usprawiedliwione naukowymi zainteresowaniami motywy.

W kontaktach z tubylcami zachowują ważność dotychczasowe zarządzenia.

Poza tym zabrania się zwiedzającym:

1. Dyskutować problem śmiertelności.

2. Wspominać wydarzenia związane z byłym kreocentrum, jego personelem oraz wchodzić w jakiegokolwiek kontakty z ukaranym dyrektorem Fraffinem, chirurgiem Ynvic i pozostałymi.

3. Prowadzić rozmowy, o których nie zameldowano odpowiednim organom bezpieczeństwa lub takie, których treść nie odpowiada obowiązującym zarządzeniom.

Podkreśla się fakt, iż wszyscy tubylcy, którzy mieli coś wspólnego z karygodnymi machinacjami Fraffina lub weszli w kontakt z Chemami, zostali poddani częściowej amnezji, toteż wszelkie próby, zmierzające do ustnego lub pisemnego przedstawienia owych przeżyć, z góry skazane są na niepowodzenie.

Ze względów bezpieczeństwa publicznego wszystkie niedozwolone próby obserwacji wymienionej planety podlegają najsurowszej karze.

(Opieczętowano w Imieniu Prymasa)

Koniec

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Rozdział pierwszy.	3
Rozdział drugi	6
Rozdział trzeci	10
Rozdział czwarty.	16
Rozdział piąty.	18
Rozdział szósty.	23
Rozdział siódmy.	26
Rozdział ósmy.	37
Rozdział dziewiąty.	39
Rozdział dziesiąty.	41
Rozdział jedenasty.	44
Rozdział dwunasty.	46
Rozdział trzynasty.	53
Rozdział czternasty.	59
Rozdział piętnasty.	62
Rozdział szesnasty.	74
Rozdział siedemnasty.	83
Rozdział osiemnasty.	85
Epilog.	94